

PETER V. BRETT

**MALOWANY
CZŁOWIEK**

KSIĘGA DRUGA

2009

trident

Wydanie oryginalne

Data wydania:

2008

Tytuł oryginału:

The Painted Man

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Przełożył:

Marcin Mortka

Ilustracja na okładce:

Larry Rostant

Projekt okładki:

Paweł Zaręba

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-7574-050-9

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

*Dla Otziego,
oryginalnego Malowanego człowieka*

Część III

Krasja

328

Roku Plagi

Inicjacja

328 RP

Triumfalny okrzyk Jednorękiego, który niespodziewanie znalazł się tak blisko znenawidzonej ofiary, rozciął ciszę nocy w promieniu dziesiątek jardów. Arlen siłą woli zmusił się, by oddychać jednostajnym rytmem, usiłował też kontrolować bicie serca. Nawet jeśli magia włóczni zdolna była wyrzucić demonowi krzywdę – a miał jedynie taką nadzieję – nie wystarczyło to do wygrania starcia. By odnieść zwycięstwo, musiał wykorzystać całą swą pomysłowość i każdy element wyszkolenia.

Powoli rozstawił nogi, przyjmując postawę bojową. Wiedział, że piasek spowolni jego ruchy, ale dotyczyło to także Jednorękiego. Nadal utrzymywał kontakt wzrokowy i nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. Otchłaniec zaś napawał się chwilą. Miał o wiele większy zasięg ramion od przeciwnika, nawet uzbrojonego we włócznie. Arlen postanowił więc zaczekać na atak.

Nagle zrozumiał, że całe jego dotychczasowe życie zmierzało właśnie ku tej chwili, a on dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie miał pewności, czy sprosta próbie, ale Jednoręki prześladował go od ponad

dziesięciu lat i sama myśl o zaniechaniu starcia wydała mu się nie do zniesienia. W każdej chwili mógł się cofnąć do azylu runów, gdzie ataki skalnego demona nie wyrządziłyby mu najmniejszej krzywdy. Świadom tego, postąpił krok do przodu. Nie miał zamiaru uciekać przed wyzwaniem.

Jednoręki zmarszczył pysk, bacznie obserwując manewry przeciwnika. Jego gardziel opuściło głucho warknięcie. Kolczasty ogon śmignął szybciej, zwiastując natarcie.

Demon ryknął i zaatakował. Długie szpony ze świstem przecięły powietrze. Arlen ruszył do przodu, uniknął ciosu i odskoczył poza zasięg otchłańca. Ułamek sekundy później zanurkował między jego nogi, dźgnął włócznią w ogon i błyskawicznie odtoczył się na bok. Zdążył jednak z satysfakcją zauważyć rozbłysk magii, gdy ostrze włóczni przebiło pancerz potwora i wniknęło w jego ciało. Otchłaniec zawył z bólu.

Arlen spodziewał się, że demon odpowie uderzeniem ogona, nie sądził jednak, że tak szybko. Padł na ziemię w ostatniej chwili, a straszliwe kolce minęły jego głowę ledwie o cal. Skoczył na równe nogi, ale Jednoręki już odwracał się w jego kierunku, a ciężar rozpędzonego ogona przyspieszył tylko obrót. Jak na tak ogromne rozmiary, demon był zręczny i szybki.

Ponownie zaatakował, lecz tym razem Arlen wiedział, że nie zdąży uniknąć ciosu. Zastawił się włócznią, choć zdawał sobie sprawę, że uderzenie okaże się zbyt potężne, by je zablokować. Znów pozwolił, by emocje zatryumfowały nad zdrowym rozsądkiem; podjął wyzwanie zbyt wcześnie. Przeklął swą głupotę.

Ale gdy tylko pazury demona dotknęły włóczni, runy rozbłysły na całej jej długości. Arlen ledwie odczuł cios, a Jednoręki zatoczył się do tyłu, zupełnie jakby wpadł na zaporę. Momentalnie odzyskał jednak

równowagę. Wydawał się nietknięty.

Zaszarżował w zapamiętaniu, zdecydowany pokonać i tę przeszkodę. Arlen stłumił oszołomienie i zmienił pozycję, doceniając błogosławieństwo broni i gotów wykorzystać je w pełni.

Rzucił się do biegu, wzbijając piach w powietrze. Przesadził resztki przewróconej kolumny i przygotował się do uniku w prawo lub w lewo, w zależności od tego, z której strony nadejdzie atak.

Jednoręki uderzył w kolumnę i rozłupał ją na pół, choć miała niemalże cztery stopy średnicy. Naprężył mięśnie potężnej łapy i odrzucił jedną z jej części. Ten przerażający pokaz siły sprawił, że Arlen ruszył w kierunku kręgu. Musiał odpocząć choć krótką chwilę.

Otchłaniec przewidział jednak ten ruch, napiął mięśnie nóg i wystrzelił w powietrze. Wylądował dokładnie między ofiarą a otoczonym runami obszarem.

Arlen wyhamował gwałtownie, zaś Jednoręki zawył z tryumfem. Przetestował już determinację przeciwnika i odkrył, że nie ma do czynienia z bezmyślną ofiarą. Ukąszenie włóczni nauczyło go respektu, ale w jego ślepiach próżno było szukać strachu. Ruszył w stronę młodzieńca, a Arlen celowo cofał się powoli, by nie sprowokować bestii nagłym ruchem. Dotarł tak daleko, jak to było możliwe – nie mógł przecież przekroczyć zewnętrznego kręgu kamieni runicznych i narazić się na atak piaskowych demonów, które tylko czekały na taką okazję.

Jednoręki, pewien, że przejrzał taktykę przeciwnika, zaryczał, po czym rzucił się do miażdżącej szarży. Arlen stanął pewnie, lekko uginając nogi. Tym razem nawet nie pomyślał, by unieść włócznię do bloku. Zamiast tego odrobinę ją cofnął, gotując się do pchnięcia. Potężny cios demona z łatwością zmiażdżyłby ofierze czaszkę, ale nie mógł dotrzeć do celu. Na

drodze stanął mu bowiem zapasowy krąg. Runy niespodziewanie ożyły, odpierając atak, a Arlen wykorzystał moment, skoczył przed siebie i pchnął włócznią prosto w podbrzusze oszołomionego otchłańca.

Ogłuszający wrzask Jednorękiego rozbrzmiał w ciszy nocy niczym najpiękniejsza muzyka. Młodzieniec szarpnął za włócznię, lecz ta tkwiła mocno w trzewiach bestii, uwieczona przez gruby czarny pancerz. Szarpnął ponownie i niemalże kosztowało go to życie, gdyż Jednoręki zaparł się i wyprowadził jeszcze jeden cios. Jego szpony przedarły ramię i klatkę piersiową młodego Posłańca.

Odrzucony siłą uderzenia, Arlen zakręcił się jak fryga, ale zdołał skontrolować upadek i runął z powrotem do kręgu. Zaciskając dłoń na ranach, przyglądał się bezsilności skalnego demona. Jednoręki raz za razem usiłował pochwycić włócznię i wyrwać ją z ciała, lecz wykute w niej runy odrzucały jego dłoń. Magia zaś nie przestawała pracować – rana potwora bezustannie rozbłyskiwała, a przez ciało bestii przemykały zabójcze wyładowania.

Gdy Jednoręki wreszcie zwałił się na ziemię, Arlen pozwolił sobie na lekki uśmiech. Niemniej gdy konwulsje potwora osłabły i przeszły w nieznaczne drżenie, poczuł, jak jego serce wypełnia pustka. Marzył o tej chwili niezliczoną ilość razy, wyobrażał sobie, jak się będzie czuć, co powie... Rzeczywistość jednakże wyglądała zupełnie inaczej. Zamiast uniesienia ogarnęło go jedynie przygnębienie i poczucie straty.

– To dla ciebie, mamó – szepnął, gdy olbrzymi demon wreszcie znieruchomiał. Spróbował przywołać w wyobraźni obraz matki, by poczuć jej aprobatę, ale ze wstydem i zdumieniem uświadomił sobie, że nie pamięta jej twarzy. Krzyknął z rozpacz, czując się sponiewierany i mały w chłodnym blasku gwiazd.

Omijając ciało potwora szerokim łukiem, Arlen ruszył ku sakwojażom i zabrał się do opatrywania ran. Założył szwy niezdarnie, ale przynajmniej trzymały razem brzegi ran, a okład z rozchodnika aż palił, co najlepiej świadczyło o tym, że był potrzebny. W ranę wdało się zakażenie.

Nie zaznał tej nocy spokoju. Nawet jeśli cierpienie i ból nie wystarczyły, by odpędzić sen, z pewnością dopomogła świadomość, że kolejny rozdział jego życia został zamknięty, i niepewność, co przyniesie przyszłość.

Wreszcie rąbek słońca wynurzył się zza wydm, a światło biegło w kierunku obozowiska z szybkością niespotykaną nigdzie poza pustynią. Piaskowych demonów już dawno nie było, umknęły na widok pierwszych oznak świtu. Arlen skrzywił się z bólu, kiedy wstawał. Podeszedł do ciała Jednorękiego i wyrwał włócznie.

Ledwie promienie słońca padły na truchło, czarny pancerz zadymił i zaraz potem buchnął płomieniami. W jednej chwili ogromne ciało zamieniło się w stos pogrzebowy. Młodzieniec znieruchomiał, zahipnotyzowany tym widokiem. Gdy w końcu ogień dogasł, a wiatr porwał popiół, Arlen po raz pierwszy ujrzał nadzieję dla ludzkości.

Pierwszy Wojownik Krasji

328 RP

Pustynne trakty w niczym nie przypominały dróg. Składały się z szeregu oddalonych od siebie drogowskazów, niekiedy noszących ślady pazurów lub do połowy zagrzebanych w piachu. Arlen nie kwestionował stwierdzenia Rageny, że pustynia to nie tylko piasek, ale w jej sercu znajdowało się go wystarczająco wiele, by brnąć w nim przez całe dni i nie widzieć nic więcej. Na obrzeżach pustyni przez setki mil ciągnęły się twarde, pyliste równiny, na których rzadkie grupki zmizerniałej roślinności zbyt suchej, by zgnić, uparcie trzymały się spękanej gliny. Jedynie cień rzucany przez wydmy na owym morzu piasku zapewniał jakąkolwiek ochronę przed zabójczym słońcem. Arlen z trudem pojmował, jak to możliwe, że to samo słońce opromieniało Fort Miln. Musiał zakrywać twarz, by nie wdychać piasku, bowiem silne podmuchy wiatru nigdy nie ustawały. Gardło miał szorstkie i wyschnięte na wiór.

O wiele gorsze były jednak noce, które wysysały wszelkie ciepło zaraz po zachodzie słońca i zapraszały otchłające do zimnej, opustoszałej krainy.

Na przekór tym niedogodnościom istniało w niej życie. Węże i

jaszczurki polowały na drobne gryzonie. Padlinożerne ptaki poszukiwały ścierw stworzeń, które padły ofiarą otchłańców lub zapędziły się na pustynię i nie znalazły drogi powrotnej. Znajdowały się tam przynajmniej dwie duże oazy otoczone gęstą roślinnością. Nawet strużka wody wyciekająca ze skały lub bajoro nie szersze od kroku dorosłego człowieka potrafiły podtrzymać życie garstki karłowatych roślin i drobnych stworzonek. Arlen natrafił też na zwierzęta, które kryły się przed grasującymi po wydmach demonami w piasku, niewrażliwe na zimno dzięki ciepłu nagromadzonemu w ciałach.

Na pustyni nie pojawiały się skalne demony, gdyż zabrakłoby dla nich pożywienia. Nie było też ognistych, bo mało co dawało się spalić. Demony drzew nie znalazłyby kory, z którą mogłyby się zespolić, ani konarów umożliwiających skok na ofiarę spomiędzy listowia. Wodne demony nie potrafiły pływać w piasku, a wietrzne nie miałyby gdzie przysiąść. Wydmy i pustynne równiny należały więc niepodzielnie do piaskowych demonów. W głębi pustyni stanowiły one rzadkość, wołały gromadzić się wokół oaz, ale widok ognia mógł je przyciągnąć z odległości wielu mil.

Podróż z Fortu Rizon do Krasji trwała jakieś pięć tygodni, z czego połowa wypadła przez pustynię. Z tego względu nawet najtwardsi i najbardziej zahartowani Posłańcy z rzadka się na nią decydowali. Choć kupcy z Północy oferowali bajońskie sumy za krasjańskie przyprawy i jedwabie, mało kto okazywał się na tyle zdeterminowany – lub wręcz szalony – by podjąć tak ryzykowną wyprawę.

Tym razem Arlen uznał ową podróż za stosunkowo spokojną. Najgorętszą porę dnia po prostu przesypiał w siodle, zawczasu pieczołowicie owinąwszy się luźnym białym płótnem. Często poił konia, a nocą układał kręgi na płachtach płótna, by nie przysypał ich piasek. Kusilo

go, by zaatakować krążące wokół kręgu demony, ale rana odebrała mu wiele sił. Wiedział, że jeśli włócznia utkwi w ciele otchłańca, który odbiegnie daleko w mrok, stanie się równie nieosiągalna jak w zapomnianym grobowcu.

Pomimo zawodzenia piaskowych demonów Arlenowi, przyzwyczajonemu do ogłuszających ryków Jednorekiego, noce wydawały się ciche i spokojne. Nigdy wcześniej nie spał pod gołym niebem tak dobrze.

Dopiero teraz zrozumiał, że będzie kimś więcej niż tylko otoczonym sławą chłopcem na posyłki. Zawsze przeczuwał, że jego przeznaczenie wykracza poza zwykłe zadania Posłańca, że jego przeznaczeniem jest walka. Nie do końca jednak miał rację – jego prawdziwym celem będzie prowadzenie innych do walki.

Był przekonany, że potrafi skopiować zaginione runy, i już się zastanawiał, jak je przenieść na inne rodzaje broni: kije, strzały, kamienie do proc... Istniało nieskończenie wiele możliwości.

Ze wszystkich ludów, które do tej pory poznał, tylko Krasjanie nie chcieli przystać na życie w strachu i z tego względu cenił ich ponad wszystko. Zdecydował, że to właśnie im pokaże włócznię, bowiem żaden inny naród nie zasługiwał na ten dar. W zamian poprosi o wszystko, co tylko potrzebne, by wykuć więcej broni zdolnej odwrócić losy wojny prowadzonej w blasku gwiazd.

Myśli pierzchły, gdy tylko ujrzał oazę. Czasami piasek odbijał błękit nieba, a oszołomiony zjawiskiem człowiek zbiegał z traktu i pędził w kierunku fatamorgany, ale gdy koń przyspieszył, Arlen zrozumiał, że to nie złudzenie. Świt potrafił wyczuć wodę.

Bukłaki osuszyli już poprzedniego dnia i widok niewielkiego zbiornika

wody spotęgował suchość w gardle. Arlen pospiesznie zeskoczył z wierzchowca. Obaj pochylili głowy i zaczęli łapczywie pić.

Gdy zaspokoił pragnienie, uzupełnił bukłaki i postawił je w cieniu jednego z wielu piaskowych monolitów otaczających oazę milczącym kręgiem. Wryte na nich runy okazały się kompletne, ale miejscami nieco zatarte. Nawiewany bezustannie piasek stopniowo ścierał ich ostre krawędzie. Młodzieniec sięgnął więc po narzędzia i przystąpił do pogłębiania znaków, by ocalić barierę.

Podczas gdy Świt skubał mizerną trawę i listki skarłałych krzewów, Arlen zrywał z rosnących w oazie drzew daktyle i figi. Nappełnił nimi żołądek, a resztę rozłożył na słońcu.

Oazę zasilała podziemna rzeka. Aby do niej dotrzeć, przed wiekami ludzie odgarnęli piasek i przebili się przez zalegające niżej skały. Arlen zszedł po kamiennych stopniach do chłodnej podziemnej pieczary, pozbiarał rozwieszane tam sieci i wrzucił je do wody. Wrócił na powierzchnię ze sporą ilością ryb. Kilka wybrał dla siebie, pozostałe oczyścił, osolił i ułożył przy owocach.

Przeszukał znajdujące się w oazie narzędzia i wybrał dwuząb, z którym ruszył między monolity. Po chwili dostrzegł zmarszczki na piasku, które zdradzały obecność zagrzebanego tam węża. Przygwoździł gada dwuzębem, ujął go za ogon, a potem strzelił nim o kamień jak biczem. Najprawdopodobniej w pobliżu znajdowało się gniazdo z jajami, ale zaniechał poszukiwań. Ogołocenie oazy z wszelkich dóbr byłoby niehonorowe. Podobnie jak w przypadku ryb, odciął kawałek węża dla siebie, resztę zaś położył na rozgrzanej ziemi.

Następnie nachylił się nad wykutą w boku piaskowca jamą i wydobył z niej pozostawiony przez innego Posłańca zapas twardych suszonych

owoców, ryb oraz mięsa. Wszystko to schował do juków. Miał zamiar uzupełnić kryjówkę prowiantem dla następnego gościa, który będzie szukał w oazie schronienia, ale musiał wpieryw poczekać, aż żywność dostatecznie wyschnie.

Przekroczenie pustyni bez postoju w Oazie Świtu graniczyło z niemożliwością. Stanowiła ona jedyne źródło wody w promieniu stu mil, dlatego też pełniła rolę punktu przejściowego dla ludzi podróżujących we wszystkich kierunkach. Zwykle byli to Posłańcy, a zatem Patroni Runów. Przez całe lata przedstawiciele tego elitarnego zawodu upamiętniali swą wędrówkę podpisem na którymś z licznych piaskowców. Widniało na nich wiele tuzinów imion – zarówno prymitywne, wyryte w skale litery, jak i istne arcydzieła kaligrafii. Niektórzy Posłańcy obok podpisu dodawali listę odwiedzonych miast lub ilość wizyt w Oazie Świtu.

Dla Arlena był to jedenasty postój. Już dawno zarzucił zwyczaj rycia nazw wszystkich miast i wsi, do których zawitał podczas licznych wypraw. Nigdy jednak nie przestawał badać i odkrywać nowych miejsc, dzięki czemu zawsze miał coś do dodania. Powoli i starannie, niemalże z nabożeństwem, wykaligrafował „Słońce Anocha” na liście przeszukanych ruin. Nigdzie indziej nie dostrzegł tej nazwy, co napełniło go dumą.

Następnego dnia kontynuował powiększanie zapasów. Każdy Posłaniec starał się pozostawić je w lepszym stanie niż jego poprzednik – było to kwestią honoru. Czyniono tak, na wypadek gdyby któryś z nich wkroczył między piaskowce wykończony przez słońce lub zbyt dotkliwie zraniony, by samemu znaleźć coś do jedzenia.

Tej nocy Arlen napisał do Coba. W sakwach trzymał dużo więcej listów, nigdy niewysłanych. Słowa zawsze wydawały mu się nieadekwatnym zadośćuczynieniem za porzucenie obowiązków, ale tym

razem miał do przekazania zbyt ważne wieści. Dokładnie opisał runy z czubka włóczni, pewien, że stary mistrz bezzwłocznie przekaże te informacje każdemu Patronowi w mieście.

Po kolejnej nocy spędzonej w oazie skierował się na południowy zachód. Przez pięć dni oglądał głównie żółte wydmy i piaskowe demony, ale rankiem szóstego dostrzegł w oddali zabudowania Fortu Krasja – Pustynnej Włóczni – na tle odległych gór.

Wykonane z piaskowca mury zlewały się z otoczeniem, przez co z oddali miasto przypominało jeszcze jedną wydnię. Wybudowano je wokół oazy znacznie większej od Oazy Świtu, zasilanej jednakże, jeśli wierzyć starożytnym mapom, przez tę samą podziemną rzekę. Mury dumnie lśniły w blasku słońca, prezentując ryte na całej długości ochronne runy. Wysoko nad dachami zabudowań powiewała chorągiew Krasji, włócznie skrzyżowane nad wschodzącym słońcem.

Strażnicy przy bramie nosili czarne szaty *dal'Sharum*, krasjańskiej kasty wojowników, które szczelnie chroniły przed bezlitosnym piaskiem. Byli żyłastymi, twardymi ludźmi. Nie dorównywali wzrostem Milneńczykom, ale o głowę przewyższali przeciętnych Angieriańczyków czy Laktończyków. Arlen pozdrowił ich skinieniem głowy, gdy przejeżdżał przez bramę.

Strażnicy w odpowiedzi unieśli włócznie, co wśród mieszkańców Krasji oznaczało wyraz wielkiego respektu. Młodzieniec musiał ciężko pracować, by witano go w podobny sposób. W Krasji mężczyznę oceniano po tym, ile nosił blizn i ile *alagai* – otchłańców – zabił. Przybyszów z zewnątrz, zwanych *chin*, a w ich liczbie również i Posłańców, uważano za tchórzy, którzy zarzucili walkę, za gorszy gatunek ludzi, niegodnych szacunku ze strony *dal'Sharum*. Słowo *chin* było w istocie obelgą.

Arlen zadziwił jednak Krasjan prośbą o możliwość przyłączenia się do walczących, a po tym, jak nauczył wojowników nowych runów i pomógł w zgładzeniu wielu otchłańców, został ochrzczony imieniem Par'chin, co znaczyło „odważny przybysz”. Wiedział, że nigdy nie będzie równy rodowitym Krasjanom, ale *dal'Sharum* przestali spluwać mu pod nogi, a kilku zaczęło nawet darzyć go sympatią.

Zaraz za bramą znajdował się Labirynt. Był to szeroki dziedziniec biegnący wzdłuż głównych murów, pełen pomniejszych obwarowań, rowów i dziur. Co noc po zamknięciu rodzin w bezpiecznych kryjówkach *dal'Sharum* rozpoczynali tam *alagai'sharak*, Świętą Wojnę przeciwko demonom. Zwabiali otchłańce do Labiryntu i runicznych pułapek, które więziły je aż do wschodu słońca. Krasjanie ponosili w tych bojach dotkliwe straty, ale wierzyli, że śmierć podczas *alagai'sharak* zapewni im miejsce u boku Everama – Stwórcy – przez co bez lęku wychodzili potwornościom nocy naprzeciw.

Wkrótce będą tu ginąć jedynie otchłańce, pomyślał Arlen.

Nieco dalej, na Wielkim Bazarze, pokrzykiwania kupców niosły się nad setkami wozów wyładowanych po brzegi towarami. Powietrze było ciężkie od woni krasjańskich przypraw, kadzideł i egzotycznych perfum. Leżały tam dywany, bele znakomitych materiałów, pięknie malowane garnki i amfory, piętrzyły się stosy owoców, beczało bydło. Tłum ludzi otaczał stragany, a jarmarczny jazgot zagłuszał wszelkie inne odgłosy.

Na każdym z odwiedzonych przez Arlena targowisk widok mężczyzn stanowił codzienność, lecz na Wielkim Bazarze w Krasji uwijały się niemal wyłącznie kobiety, odziane od stóp do głów w grube czarne szaty. Biegały między straganami, kupowały i sprzedawały, wrzeszczały na siebie z pasją i z najwyższą niechęcią rozstawały się z wytartymi złotymi

monetami.

Choć na bazarze sprzedawano ogromne ilości biżuterii i jaskrawych płócien, Arlen nigdy nie widział, by je noszono. Mężczyźni zdradzili mu, że kobiety zazwyczaj chowają bogate szaty lub złote ozdoby pod czarnymi okryciami, ale prawdę znali tylko ich mężowie.

Prawie każdy Krasjanin po ukończeniu szesnastego roku życia stawał się wojownikiem. Niewielka ich liczba pełniła funkcję *dama*, Świętych Mężów, którzy byli zarazem świeckimi przywódcami Krasji. Żadne inne zajęcia nie zasługiwały na szacunek. Rzemieślników nazywano *khaffit* i traktowano z lekceważeniem. W krasjańskiej hierarchii niżej stały już tylko kobiety. Te z kolei brały na swe barki wszelkie codzienne prace, od uprawiania ziemi przez gotowanie aż po wychowywanie dzieci. Kopały glinę, wyrabiały garnki, budowały i naprawiały domy, ubijały zwierzęta, biegały za sprawunkami. Krótko mówiąc, zajmowały się wszystkim z wyjątkiem walki.

Niemniej pomimo niekończącej się harówki były całkowicie podporządkowane mężczyznom. Żony i niezamężne córki stanowiły ich własność, z którą mogli zrobić wszystko, co dusza zapragnie, nie wyłączając maltretowania czy nawet zabijania. Każdy mężczyzna miał prawo do posiadania wielu żon, ale jeśli któraś z nich pozwoliła innemu spojrzeć na siebie w chwili, gdy nie była zakryta tradycyjną czarną szatą, mogła zostać skazana na śmierć, co zresztą nie należało do rzadkości. Krasjańskie kobiety uważano za mało wartościowy towar.

Arlen dobrze wiedział, że bez nich Krasjanie szybko przeszliby do historii, ale to kobiety traktowały mężczyzn z ogromnym respektem, zaś mężów otaczały niemalże nabożnym szacunkiem. Przybywały co rano do Labiryntu i zawodziły nad poległymi w nocnym *alagai'sharak*, zbierając

cenne łyzy do niewielkich fiolek. Woda stanowiła w Krasji walutę, a status wojownika za życia można było ocenić na podstawie ilości fiolek ze łyzami, które zapełniono po jego śmierci.

Jeśli któryś z wojowników ginął, oczekiwano, że jego bracia lub przyjaciele zaopiekują się owdowiałymi kobietami, by te zawsze miały komu służyć. Pewnej nocy konający w Labiryncie mężczyzna zaoferował Arlenowi swe żony.

– Są piękne, Par'chin – zapewniał. – Dadzą ci wielu synów. Przysięgnij, że je weźmiesz!

Arlen skinął głową i wkrótce znalazł chętnego, który je przygarnął. Ciekawiło go, co się kryje pod szatami krasjańskich kobiet, ale nie na tyle, by zamienić przenośny krąg runiczny na dom z gliny, a wolność na rodzinę.

Za niemalże każdą kobietą podążała grupka ogorzałych, odzianych w brązowe stroje dzieci: dziewczynki w chustach, a chłopcy w czapkach uszytych ze szmatek. Dziewczynki wychodziły za mąż już w wieku jedenastu lat i przywdziewały czarne szaty dorosłej kobiety, zaś chłopców zaczynano przyuczać do walki jeszcze wcześniej. Wielu z nich zakładało czerń *dal'Sharum*, nieliczni – przeznaczeni do służby Everamowi – biel *dama*. Ci, którzy nie nadawali się do żadnej z tych dwóch profesji, zostawali *khaffit* i po kres życia ze wstydem nosili brunatne ubrania.

Kobiety dostrzegły jadącego przez targowisko młodzieńca i zaczęły szeptać do siebie z podnieceniem. Arlen nie mógł powstrzymać rozbawienia, gdyż żadna nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy, nie mówiąc już o podejściu bliżej. Umierały z ciekawości, co też kryją juki Posłańca. Doskonałą rizoniańską wełnę? Angieriański papier? A może milneńskie klejnoty lub jeszcze piękniejsze skarby Północy! Był jednak mężczyzną, a

co gorsza – *chin*. Nie miały odwagi go zagadnąć. *Dama* widzieli wszystko.

– Par'chin! – zawołał znajomy głos. Arlen ujrzał przyjaciela Abbana, tłustego kupca, który kuśtykał w jego kierunku, wspierając się na lasce.

Będąc kaleką od dziecka, Abban został *khaffit*, a więc kimś zarówno niezdolnym do podjęcia walki u boku *dal'Sharum*, jak i niegodnym do wstąpienia w szeregi *dama*. Umiał jednak o sobie zadbać, głównie dzięki handlowi z Posłańcami z Północy. Gładko golił twarz, nosił czapkę z brunatnego materiału i koszulę typową dla *khaffit*, lecz narzucał na to bogaty turban, kamizelkę i pantalony z kolorowego jedwabiu. Utrzymywał, że jego żony dorównują urodą kobietom któregokolwiek z wojowników.

– Na Everama, dobrze cię widzieć, synu Jepha! – zawołał w czystym thesańskim, klepiąc Posłańca po ramieniu. – Słońce zawsze świeci jaśniej, gdy zaszczytasz nasze miasto swą obecnością!

W Krasji imię ojca mężczyzny znaczyło o wiele więcej niż jego własne. Arlen żałował, że zdradził kupcowi imiona swych rodziców. Zastanawiał się czasem, jak by zareagował na wiadomość, że Jeph był tchórzem.

Odpowiedział jednak równie serdecznym klepieniem i szczerym uśmiechem.

– Ciebie również miło ujrzyć, mój przyjacielu.

Nie zdołałby opanować krasjańskiego ani nauczyć się zwyczajów dziwnej, czasami niebezpiecznej kultury tej krainy, gdyby nie pomoc kalekiego kupca.

– Chodź, chodź! – zapraszał Abban. – Złóż utrudzone stopy w cieniu mej jurty i splucz kurz z gardła mą wodą!

Poprowadził gościa do kolorowego namiotu rozstawionego za wozami. Klasnął w dłonie, a jego żony i córki – Arlen nigdy nie potrafił ich rozróżnić – popędziły, by rozchylić przed mężczyznami kotarę oraz zająć

się Świttem. Ściągnęły załadowane po brzegi toboły i młodzieniec znów musiał stłumić chęć ruszenia im z pomocą. Dla Krasjanina praca fizyczna była czymś poniżającym. Jedna z kobiet sięgnęła po owiniętą w materiał runiczną włócznie, zawieszoną przy łęku siodła, ale Arlen pochwycił ją szybko za nadgarstek. Ukłoniła się głęboko, przerażona, że popełniła wielki nietakt.

Podłogę wewnątrz namiotu zasłano utkanymi w fantazyjne wzory dywanami i kolorowymi jedwabnymi poduszkami. Arlen zzuł zakurzone buty przed wejściem, głęboko w nozdrza wciągając chłodne, przesycone zapachem kadzideł powietrze. Gdy opadł na poduszki, kobiety uklęknęły, podając mu wodę i owoce.

Po chwili Abban klasnął, a jego żony przyniosły herbatę i miodowe ciastka.

– Udała ci się podróż przez pustynię? – zapytał.

– A jakże! – Arlen uśmiechnął się. – I to jeszcze jak.

Przez chwilę gawędzili na niezobowiązujące tematy. Nie zdarzało się jeszcze, by Abban pominął ten nakazany tradycją rytuał, choć co rusz umykał spojrzeniem ku jukom, bezwiednie zacierając ręce.

– Czas chyba przejść do interesów – zasugerował Arlen, gdy uznał, że formalnościom stało się zadość.

– Ależ oczywiście – przytaknął kupiec. – Nasz Par'chin jest zajęтым człowiekiem.

Strzelił palcami, a kobiety w mig ułożyły przed nim rzędy przypraw, perfum, jedwabi, biżuterii, dywanów i innych miejscowych cudeniak.

Podczas gdy Arlen przeglądał towary Abbana, Krasjanin dokładnie badał te przywiezione przez Posłańca, głośno wyrzekając na ich stan.

– Przemierzyłeś całą pustynię, by handlować tą lichotą? – zapytał z

niesmakiem. – Nie sędzę, byś wyszedł na swoje na tej wyprawie.

Arlen powstrzymał uśmieszek, gdy znów zasiedli na poduszkach i ujęli filiżanki ze świeżą herbatą. Targi zawsze zaczynały się w ten sposób.

– Bzdura – odparł. – Nawet ślepe oko by dostrzegło, że przybyłem do ciebie z najwspanialszymi skarbami, jakie Thesa ma do zaoferowania. O wiele lepszymi od tej tandety, którą przyniosły twe żony. Mam nadzieję, że kryjesz w zanadrzu coś jeszcze, bo jeśli chodzi o to – ujął róg najbliższego dywanu, który stanowił arcydzieło sztuki tkackiej – to kilka gnijących szmat, jakie ostatnio widziałem w ruinach, było w lepszym stanie.

– Ranisz moje serce! Mnie, który ugościłem cię wodą i cieniem! Niech będę przeklęty! Żeby gość w mym własnym namiocie tak mnie traktował! – lamentował Abban. – Moje kobiety dnia i nocę ślęczały przy krosnach, a użyły najprzedniejszej wełny! Nigdzie nie znajdziesz lepszego dywanu!

Po takim wstępie zwykle przechodzili do targów. Arlen nigdy nie zapomniał lekcji udzielonej mu przez Wieprza i Ragenę całe wieki temu. Po przypieczętowaniu umowy zarówno on, jak i Abban głośno lamentowali, że zostali obrabowani w biały dzień, niemniej każdy z nich miał przecucie, że wyszedł na handlu lepiej.

– Córki zapakują towary i przechowają je do chwili twego wyjazdu – rzekł w końcu kupiec. – Zjesz z nami wieczorem kolację? Nic, co jadasz na Północy, nie może się równać z posiłkiem, który przygotowują moje żony!

Arlen z żalem pokręcił głową.

– W nocy będę walczyć.

– Obawiam się, że przejąłeś zbyt wiele spośród naszych tradycji, Par'chin – stwierdził gospodarz. – Szukasz tej samej śmierci co my.

– Nie szukam śmierci. Nie spodziewam się też obudzić w raju.

– Ech, przyjacielu, nikt przecież nie zamierza odchodzić na łono

Everama w kwiecie wieku, ale taki właśnie los czeka wszystkich tych, którzy uczestniczą w *alagai'sharak*. Dobrze pamiętam czasy, gdy było nas tylu co ziarenek piasku na pustyni, ale teraz...

Pokręcił ze smutkiem głową.

– Miasto jest właściwie puste. Robimy, co w naszej mocy, by brzuchy kobiet pęczniały, ale więcej nas ginie po zmierzchu, niż rodzi się za dnia. Jeśli nie zmienimy zwyczajów, za jakieś dziesięć lat Krasję przysypie piach.

– A gdybym ci powiedział, że przybyłem tu, by to zmienić?

– Serce syna Jepha jest szczere, ale *Damaji* nie zechcą słuchać. Twierdzą, że Everam domaga się wojny, i żaden *chin* nie zmieni ich przekonań.

Damaji stanowili radę rządzącą miastem, w skład której wchodziłi najstarsi rangą *dama* z każdego z dwunastu plemion Krasji. Wszyscy oni podlegali Andrahowi, *dama* najbardziej ukochanemu przez Everama, którego decyzje nie podlegały dyskusji.

– Nie zdołam ich odwieść od *alagai'sharak* – przytaknął z uśmiechem Arlen. – Ale mogę pomóc go wygrać.

Z tymi słowami odkrył włócznię i podał ją Abbanowi.

Kupiec zachłysnął się powietrzem na widok wspaniałej broni, ale uniósł dłonie i pokręcił głową.

– Jestem *khaffit*, Par'chin. Mój dotyk jest nieczysty, nie wolno mi ujmować broni.

Arlen cofnął włócznię i przeprosił gospodarza głębokim ukłonem.

– Nie chciałem cię urazić.

– Ha! Możliwe, że jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek mi się uklonił. Nawet Par'chin nie musi się obawiać, że urazi któregoś z

khaffit.

Twarz Arlena spochmurniała.

– Jesteś mężczyzną. Niczym się nie różnisz od innych.

– Z taką postawą na zawsze pozostaniesz *chin* – rzekł Abban, ale uśmiechnął się. – Nie ty pierwszy wyryłeś znaki na włócznie. Bez runów wojennych z dawnych czasów nic to nie daje.

– Ale to są runy z dawnych czasów. Znalazłem tę broń w ruinach Słońca Anocha.

Kupiec pobladł.

– Odnalazłeś zaginione miasto? Mapa była dokładna?

– Skąd to zdziwienie? Myślałem, że osobiście poręczyłeś za jej dokładność!

– W istocie. – Abban odkaszlnął. – Źródła mojej wiedzy uważam za wiarygodne, ale nikt nie dotarł do Słońca Anocha od trzystu lat! Kto miał mi zagwarantować, że mapa mówi prawdę? Poza tym – wyszczerzył zęby – gdybym się pomylił, raczej nie wróciłbyś po zwrot pieniędzy, nieprawdaż?

Obaj zaśmiali się głośno.

– Na Everama, toż dopiero wspaniała opowieść, Par'chin – zdołał wydukać Abban, kiedy jego gość skończył opisywać perypetie w zaginionym mieście. – Niemniej jeśli życie ci miłe, lepiej nie mów *Damaji*, że splądrowałeś święte miasto.

– Nie powiem – przyrzekł Arlen – ale przecież docenią wartość tej włócznie.

Kupiec pokręcił głową.

– Nawet jeśli zgodzą się udzielić ci audiencji, w co zresztą wątpię, z pewnością będą umniejszać wartość wszystkiego, co przyniesie im *chin*.

– Może masz rację – odparł z westchnieniem młodzieniec – ale mimo to powinienem przynajmniej spróbować. Tak czy owak, muszę dostarczyć wieści do pałacu Andraha. Chodź ze mną.

Abban potrząsnął znacząco laską.

– Do pałacu daleka droga.

– Będę szedł powoli. – Arlen wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że laska stanowi tylko pretekst dla odmowy.

– Musisz zrozumieć, Par'chin, że lepiej, by cię nie widziano w moim towarzystwie poza targowiskiem. Samo to wystarczy, byś utracił szacunek, na który pracowałeś podczas walk w Labiryncie.

– A zatem zdobędę go jeszcze więcej. Poza tym cóż wart jest ten szacunek, skoro mogę go stracić, spacerując u boku przyjaciela?

Abban uklonił się głęboko.

– Któregoś dnia chciałbym ujrzeć krainy, gdzie rodzą się mężowie tak szlachetni jak syn Jepha.

– Gdy ten dzień nadejdzie, sam przeprowadzę cię przez pustynię.

* * *

Abban chwycił Posłańca za ramię.

– Zatrzymaj się – nakazał.

Arlen usłuchał, choć sam nie dostrzegł nic niepokojącego. Kobiety maszerowały ulicą, dźwigając ciężary, a daleko z przodu szło kilku *dal'Sharum*. Inna grupa nadchodziła z naprzeciwka, na czele każdej maszerował zaś *dama* w białych szatach.

– To plemię Kaji. – Kupiec skinął w kierunku idących przed nimi wojowników. – Ci drudzy to Majah. Lepiej będzie, jak chwilę zaczekamy.

Arlen zmrużył oczy, przyglądając się uważnie obu grupom. Wszyscy wojownicy nosili takie same czarne szaty, a ich włócznie były proste i pozbawione wszelkich ozdób.

– Po czym ich odróżniasz? – zapytał.

– Nadziwić się nie mogę, że sam tego nie potrafisz. – Abban pokręcił głową.

Naraz jeden z *dama* krzyknął coś do drugiego. Po chwili dostojnicy stanęli naprzeciw siebie i pograżyli się w żarliwej kłótni.

– O co im chodzi? – zapytał Arlen.

– Zawsze o to samo. *Dama* z plemienia Kaji utrzymują, że piaskowe demony żyją w trzecim kręgu Piekieł, a demony wiatru w czwartym. *Dama* z Majah są przeciwnego zdania. Ewejah nie wyraża się jasno w tej kwestii. – Abban miał na myśli świętą księgę Krasjan.

– A cóż to za różnica?

– Te z otchłańców, które żyją na niższych poziomach, są bardziej oddalone od Everama i powinny zostać zabite w pierwszej kolejności.

Dama zaczęli już wrzeszczeć, a *dal'Sharum* po ich bokach zaciskali z wściekłością dłonie na włóczniach, gotowi stanąć w obronie przywódców.

– Będą ze sobą walczyć tylko o to, które z demonów należy pozabijać najpierw? – zapytał młodzieniec z niedowierzaniem.

Kupiec splunął w pył ulicy.

– Kaji są gotowi walczyć z Majah z byle powodu, Par'chin.

– Ale po zachodzie słońca pojawi się prawdziwy nieprzyjaciel!

– A wtedy Kaji i Majah staną na polu bitwy ramię w ramię. Jak mawiamy, nocą mój wróg staje się mym bratem. Tyle że od zachodu dzielą nas długie godziny.

Któryś z Kaji uderzył wojownika Majah tępym końcem włóczni w twarz, przewracając go na ziemię. W ułamku sekundy na ulicy rozgorzała zaciekle bójka, a obaj duchowni stali na uboczu i nie przestawali Powrzaskiwać, nie zwracając uwagi na walczących.

– Czy Andrah nie może tego zakazać? – zapytał wciąż zdumiony Arlen. Abban pokręcił głową.

– Lud oczekuje, że Andrah wzniesie się ponad podziały, ale w rzeczywistości zawsze będzie sprzyjał plemieniu, z którego pochodzi. Zresztą gdyby tak nie było, nawet on nie jest w stanie położyć kresu każdej krwawej waśni w Krasji. Nie można przecież zakazać mężczyznom, by byli mężczyznami.

– Moim zdaniem, zachowują się raczej jak dzieci.

– *Dal'Sharum* nie widzą poza koniec włóczni, a *dama* poza karty świętej księgi – ze smutkiem zauważył Abban.

Wojownicy tłukli się drzewcami broni, ale starcie nabierało coraz większej gwałtowności i tylko szybka interwencja mogła zapobiec śmiertelnym ranom.

– Nawet o tym nie myśl – rzucił Abban, chwytając za rękę Posłańca, który już zrobił krok do przodu.

Młodzieniec odwrócił się, chcąc zaprotestować, ale wtedy jego przyjaciel spojrzał mu przez ramię i nagle sapnął z przestrawieniem. Ukląkł na jedno kolano i szarpnął Arlena, by ten uczynił to samo.

– Na kolana, jeśli cenisz swą skórę! – syknął. Arlen rozejrzał się i dostrzegł powód przerażenia kupca. Drogą szła kobieta odziana w świętą biel.

– *Dama'ting* – wymamrotał.

Widok tajemniczych krasjańskich Zielarek należał do rzadkości.

Gdy kobieta przechodziła obok, posłusznie spuścił wzrok, ale nie uklęknął. Nie miało to zresztą znaczenia, albowiem nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Z godnością i spokojem kroczyła w kierunku bijatyki, niezauważona, dopóki nie znalazła się niemalże na wyciągnięcie ręki od wojowników. Obaj *dama* pobledli na jej widok i wykrzyknęli coś do swych ludzi. Mężczyźni natychmiast odskoczyli od siebie, by *dama'ting* mogła swobodnie przejść. W chwilę później członkowie obu grup rozeszli się jak niepyszni, a na ulicy zapanował spokój, jak gdyby nie wydarzyło się nic szczególnego.

– Czy to odwaga, Par'chin? – zapytał Abban, gdy *dama'ting* znikła. – Czy może raczej szaleństwo?

– Od kiedy to mężczyźni klękają przed kobietami? – odparł zdziwiony Arlen.

– Mężczyźni nigdy nie klękają przed *dama'ting*, ale *khaffit* i *chin* – a jakże, jeśli starcza im rozumu. Nawet *dama* i *dal'Sharum* odczuwają przed nimi lęk. Mówi się, że one znają przyszłość i wiedzą, którzy z mężczyzn polegą w nocnej bitwie.

– I co z tego? – spytał z powątpiewaniem Arlen. Jedna z *dama'ting* wróżyła mu przyszłość przed jego pierwszą walką w Labiryncie, ale nie wydarzyło się nic, co utwierdziłoby go w przekonaniu, że Zielarka naprawdę znała jego los.

– Rzucić wyzwanie *dama'ting* to jakby rzucić wyzwanie samemu przeznaczeniu – burknął Abban takim tonem, jakby uważał przyjaciela za skończonego głupca. Młodzieniec pokręcił tylko głową.

– Jesteśmy panami własnego losu – oznajmił. – Nawet jeśli *dama'ting* dzięki rzutom swych kości Potrafią go ujrzyć z wyprzedzeniem.

– Ciekawe, jaki los sobie zgotujesz, gdy się narazisz *dama'ting*. Chyba

nie chcę go znać.

Ruszyli w dalszą drogę i wkrótce dotarli do pałacu Andraha, ogromnej budowli z białego kamienia, najprawdopodobniej równie starej co samo miasto. Chroniące ją runy wymalowano złotą farbą, a odbijany przez nie blask słońca opromieniał wysokie wieżyczki. Ledwie jednak postawili stopę na schodach wiodących do wejścia, ujrzeli biegnącego ku nim *dama*.

– Precz, *khaffitl* – wykrzyknął mężczyzna.

– Przykro mi. – Abban uklonił się nisko i z opuszczoną głową postąpił kilka kroków w tył. Młodzieniec ani drgnął.

– Jestem Arlen, syn Jepha, Posłaniec z Północy znany jako Par'chin – wyrecytował po krasjańsku. Oparł o ziemię włócznię, która nawet owinięta w materiał sugerowała swe prawdziwe przeznaczenie. – Przynoszę listy oraz podarki Andrahowi i jego ministrom – dodał, unosząc sakwę.

– Jak na człowieka, który włada naszą mową, otaczasz się nędznymi przyjaciółmi, przybyszu z Północy – stwierdził *dama*, patrząc z niechęcią na ukorzonego *khaffit*.

Arlen już miał gotową ciętą odpowiedź, ale w porę ugryzł się w język.

– Par'chin potrzebował przewodnika – wybełkotał Abban. – Ja tylko chciałem go przyprowadzić...

– Nie pozwoliłem ci się odezwać! – Dostojnik wymierzył kupcowi mocnego kopniaka. Arlen napiął mięśnie, ale ostrzegawcze spojrzenie przyjaciela pomogło mu zachować spokój.

Wtedy *dama* przeniósł uwagę na przybysza.

– Wysłucham twych wieści – powiedział beznamiętnym tonem, jakby nic się nie wydarzyło.

– Książę Rizon prosił, bym przekazał podarki *Datnaji* do rąk własnych – wykrztusił młodzieniec.

– Za żadne skarby nie pozwolę, by jakiś *chin* wraz z byle *khaffit* weszli do pałacu!

Reakcja *dama* była rozczarowująca, ale łatwa do przewidzenia. Arlenowi nigdy nie udało się stanąć przed obliczem *Damaji*. Przekazał *dama* listy oraz paczki i odprowadził go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Ostrzegalem cię, że tak to się skończy, przyjacielu – westchnął Abban. – Przykro mi. Moja obecność bynajmniej ci nie pomogła, ale nie mylę się, kiedy mówię, że *Damaji* nie ścierpią obecności żadnego cudzoziemca, choćby nawet i samego księcia Rizon. Najpewniej uprzejmie kazano by ci czekać na audiencję, po czym siedziałbyś długie godziny na jedwabnych poduszkach, zapomniany i upokorzony.

Arlen zacisnął zęby. Zastanawiał się, jak Ragen postępował podczas wizyt w Pustynnej Włóczni. Czy również musiał znosić takie traktowanie?

– Zjedz ze mną kolację – zaproponował kupiec. – Mam piękną córkę, która właśnie skończyła piętnaście lat. Będzie dla ciebie dobrą żoną na Północy, taką, co to zadba o twój dom, gdy będziesz podróżował.

Jaki znów dom? Arlen powrócił myślami do zagraconej księgami izdebki w Forcie Angiers, której nie widział już od roku. Spojrzał na Abbana. Zdawał sobie sprawę, że jego bezustannie knującego przyjaciela bardziej interesują kontakty handlowe, jakie mógłby nawiązać dzięki córce, niż jej szczęście bądź porządek w domu Arlena.

– Byłby to zaszczyt – odpowiedział – ale nie chcę jeszcze rezygnować z zawodu.

– Cóż, tak właśnie myślałem. – Kupiec westchnął nieszczęśliwie. – Pewnie teraz będziesz chciał odwiedzić... Sam wiesz kogo.

– To prawda.

– Zniesienie mojej obecności przyjdzie mu z równym trudem, co

każdemu *dama*.

– On zna twą wartość – przypomniał Arlen, ale Abban pokręcił tylko głową.

– Jest gotów mnie ścierpieć wyłącznie ze względu na ciebie. Sharum Ka uczy się języka Północy, odkąd po raz pierwszy pozwolono ci zejść do Labiryntu.

– A Abban jest jedynym człowiekiem w Krasji, który nim biegle włada – odparował Arlen. – Co czyni go wartościowym nawet pomimo tego, że należy do *khaffit*.

Abban uklonił się, choć nie sprawiał wrażenia przekonanego.

Ruszyli ku usytuowanym nieopodal placom ćwiczebnym. Centralna część miasta była miejscem neutralnym dla wszystkich plemion, gdyż tam się zbierano na wspólne modły i wprawiano w walce.

Późnym popołudniem okolice pałacu tętniły życiem. Arlen i Abban minęli warsztaty kowali oraz Patronów Runów, jedynych dwóch rodzajów rzemiosła tolerowanych przez *dal'Sharum*. Za nimi ciągnęły się otwarte przestrzenie placów, gdzie przy akompaniamencie pokrzykiwań nauczycieli wojownicy doskonalili umiejętności. Po przeciwnej stronie wznosiła się siedziba Sharum Ka oraz jego oficerów, zwanych *kai'Sharum*. Wielkością ustępująca jedynie wspaniałemu pałacowi Andraha, ta piękna, zwieńczona kopułą budowla stanowiła dom dla najwybitniejszych spośród Krasjan, tych, którzy niejednokrotnie dawali dowody waleczności na polu bitwy. Mówiono, że w jej podziemiach mieści się wielki harem, gdzie najdzielniejsi *dal'Sharum* mogli przekazywać męstwo następnym pokoleniom.

Obecność utykającego, wspartego na lasce Abbana przyciągała pogardliwe spojrzenia i wywoływała stłumione przekleństwa, ale nikt nie

ośmielił się zastąpić im drogi. Abban był protegowanym Sharum Ka.

Minęli szereg wojowników ćwiczących walkę włócznią, a potem przeszli obok innych, doskonalących brutalne, lecz skuteczne ciosy *sharusahk*, krasjańskiej sztuki walki wręcz. Jeszcze inni strzelali z łuków bądź zarzucali sieci na biegnących chłopców, przygotowując się do nadchodzącej bitwy. Na samym środku placu stał wielki pawilon, gdzie odnaleźli Jardira, studiującego plan bitwy wraz z jednym z przybocznych.

Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir był krasjańskim Sharum Ka, co należało tłumaczyć na thesański jako „Pierwszy Wojownik”. Strój tego wysokiego, mierzącego ponad sześć stóp mężczyzny składał się z czarnej szaty i śnieżnobiałego turbanu. Arlen nie wiedział tego na pewno, ale biel nakrycia głowy sugerowała, że tytuł Sharum Ka niósł również znaczenie religijne.

Skóra Jardira miała miedziany odcień, a czarne, natłuszczone włosy opadały mu do ramion. Równie ciemna broda została rozdzielona na dwie części i starannie rozczesana, ale próżno było dopatrywać się w tym człowieku jakichkolwiek oznak zniewieściałości. Jego ruchy, szybkie i pewne, przypominały ruchy drapieżnika, a podwinięte rękawy szaty odsłaniały mocne, muskularne ramiona, poznaczone wieloma bliznami. Jardir niedawno przekroczył trzydziestkę.

Jeden z gwardzistów strzegących pawilonu zobaczył gości i pochylił się, by wyszeptać kilka słów do ucha przełożonego. Pierwszy Wojownik uniósł wzrok znad porysowanej kredą tabliczki.

– Par'chin! – zawołał. Wstał i z uśmiechem ruszył w kierunku przybyszów, rozkładając ramiona. – Witaj w Pustynnej Włóczni!

Mówił po thesańsku, a jego wymowa znacznie się poprawiła od ostatniej wizyty Arlena. Pochwycił Posłańca w objęcia i ucałował go w

policzek.

– Nie wiedziałem, że powróciłeś. *Alagai* będą dziś w nocy dygotać ze strachu!

Gdy Arlen po raz pierwszy zawitał do Krasji, Pierwszy Wojownik okazał mu tylko ten rodzaj zainteresowania, jakim zwykle obdarza się wszelkie osobliwości. Wkrótce jednak obaj przelali za siebie krew w Labiryncie, a w Krasji nie trzeba było więcej, by zaskarbić sobie czyjąś przyjaźń.

Jardir zwrócił się ku Abbanowi.

– A czego ty szukasz pośród mężczyzn, *khaffit*? – zapytał z niesmakiem. – Nie wzywałem ciebie.

– Jest tu ze mną – oznajmił Arlen.

– Był – rzucił z naciskiem wojownik. Kupiec uklonił się nisko i oddalił tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to chroma noga.

– Wciąż nie wiem, dlaczego marnujesz czas z tym *khaffit*, Par'chin. – Jardir splunął.

– Tam, skąd pochodzę, wartości człowieka nie ocenia się po tym, czy potrafi unieść włócznie.

– Tam, skąd pochodzisz, ludzie w ogóle tego nie potrafią!

– Twój thesański się poprawił – zauważył Arlen.

– Język *chin* nie jest łatwy, a konieczność uczenia się go w towarzystwie *khaffit*, gdy ciebie nie ma, czyni go dwakroć trudniejszym.

Pierwszy Wojownik odprowadził wzrokiem utykającego Abbana i uśmiechnął się z pogardą na widok jego jaskrawych jedwabi.

– Spójrz tylko. – Skinął głową. – Przecież on się nosi jak kobieta.

Arlen zerknął na odziane w czerń kobiety, które targały wiadra z wodą po drugiej stronie placu.

– Nigdy nie widziałem tak ubranej kobiety – odrzekł.

– Zapewne dlatego, że wciąż nie pozwoliłeś mi wybrać dla ciebie żony, która mogłaby rzucić przed tobą szatę.

– Wątpię, by *dama* pozwolili bezplemiennemu *chin* poślubić jedną z waszych.

Jardir machnął ręką.

– Bzdura. Ramię w ramię przelewaliśmy krew w Labiryncie, mój bracie. Gdybym chciał cię przygarnąć, sam Andrah nie ośmieliłby się zaprotestować!

Arlen raczej w to powątpiewał, ale wolał nie wspominać o tym głośno. Krasjanie zwykli wpadać we wściekłość, gdy ktoś kwestionował ich przechwałki, a poza tym niewykluczone, że Jardir mówił prawdę. Wydawał się przynajmniej równy *Damaji*. Wojownicy słuchali go bez szemrania, nie zważając na swych *dama*. Arlen nie miał jednak zamiaru przysięgać wierności ani plemieniu Jardira, ani jakiegokolwiek innemu. Jego obecność w mieście – *chin*, który dołączył do *alagai'sharak*, ale mimo to przyjaźnił się z *khaffit* – była dla Krasjan ogromnie niewygodna. Wstąpienie w szeregi plemienia rozwiązałoby ową niejasną sytuację, lecz z drugiej strony zmusiłoby go do podporządkowania się jednemu z *Damaji*. Od tej pory nie mógłby już opuszczać Krasji i wymagano by od niego uczestnictwa w każdej krwawej waśni plemiennej.

– Nie sądzę, aby nadszedł już mój czas na ożenek – powiedział.

– Cóż, nie zwlekaj zbyt długo, bo jeszcze zostaniesz uznany za *push'ting!* – Jardir zarechotał i szturchnął Posłańca w ramię.

Arlen nie miał pewności, co oznacza to słowo, ale na wszelki wypadek skinął głową.

– Kiedy przybyłeś do miasta, przyjacielu?

– Ledwie kilka godzin temu – odparł. – Właśnie dostarczyłem wieści do pałacu.

– I już przybyłeś zaoferować swą włócznie?! Na Everama! – zawołał Pierwszy Wojownik, by wszyscy go usłyszeli. – W żyłach tego Par’chin musi płynąć krasjańska krew!

Strażnicy wybuchli gromkim śmiechem.

– Chodź ze mną. – Otoczył gościa ramieniem i odszedł z nim na stronę. Młodzieniec wiedział, że Jardir już próbuje zadecydować, jaką funkcję przydzielić mu podczas nocnego starcia.

– Bajin stracili zeszłej nocy Wnykarza. Mógłbyś go zastąpić.

Wnykarze stanowili elitę krasjańskich wojowników. Przygotowywali runiczne potrzaski, które więziły otchłańce aż do wschodu słońca. Najważniejszą częścią ich zadania było dopilnowanie, by znaki zadziałały zaraz po tym, jak demon nastąpił na pułapkę.

Ryzykowali wiele, jeśli bowiem płachty maskujące jamy w ziemi nie zostały w pełni ściągnięte i nie odsłoniły wszystkich runów, nic nie mogło powstrzymać demona przed zabiciem pechowego wojownika. Tylko jedną pozycję na placu boju uważano za bardziej niebezpieczną.

– Wolałbym walczyć jako Spychacz – powiedział Arlen.

Jardir pokręcił głową, choć nie przestawał się uśmiechać.

– Zawsze prosisz o najtrudniejsze zadania. Kto będzie dostarczać nasze listy, jeśli zginiesz?

Młodzieniec wychwycił sarkazm w głosie rozmówcy, nawet pomimo niewyraźnego akcentu. Pierwszy Wojownik miał listy w głębokim poważaniu. Niewielu spośród *dal’Sharum* posiadało sztukę pisania.

– Tej nocy nie będzie ono tak trudne. – Nie potrafiąc dłużej ukrywać podniecenia, Arlen odwinął materiał okrywający włócznie i z dumą podał

ją Jardirowi.

– Królewska broń – przyznał tamten – ale wojownik doczekał świtu dzięki umiejętnościom, a nie broni. – Położył dłoń na ramieniu Posłańca i spojrzał mu prosto w oczy. – Nie pokładaj w niej zbytnich nadziei. Widziałem już wojowników o wiele bardziej doświadczonych od ciebie, którzy malowali runy na broni, a i tak źle skończyli.

– To nie ja wykonałem tę włócznię. Znalazłem ją w ruinach Słońca Anocha.

– W miejscu narodzin Wybawiciela? – Jardir parsknął. – Włócznia Kajego to mit, Par'chin, a zaginione miasto pochłonęły piaski.

– Ale ja tam byłem. Jeśli chcesz, mogę cię tam zabrać.

– Jestem Sharum Ka Pustynnej Włóczni, nie mogę tak po prostu obłożyć wielbłąda jukami i wyruszyć na poszukiwanie miasta, które istnieje wyłącznie na kartach starożytnych ksiąg.

– Myślę, że zdołam cię przekonać, gdy tylko zapadnie noc.

Pierwszy Wojownik uśmiechnął się cierpliwie.

– Obiecuj mi jednak, że nie zrobisz niczego głupiego. Bez względu na to, jakie runy okrywają twoje ostrze, nie jesteś Wybawicielem. Przykro by mi było cię chować, gdy wszędzie słońce.

– Obiecuję – rzekł Arlen.

– A więc dobrze. – Jardir klepnął go w ramię. – Chodźmy, robi się późno. Zjesz wieczerzę w moim pałacu, zanim zbierzemy się przed Sharik Hora!

* * *

Na wieczerzę podano dobrze przyprawione mięso, mielony groszek

oraz cienki niczym papier chleb, który krasjańskie kobiety piekły, rozsmarowując moką mąkę na gorących wypolerowanych kamieniach. Arlen zasiadł na honorowym miejscu, tuż obok Jardira, otoczony przez *kai'Sharum*. Usługiwały mu żony Pierwszego Wojownika. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego Jardir podejmował go z taką atencją, ale po tym, czego doznał w pałacu Andraha, była to miła odmiana.

Mężczyźni poprosili go, by przypomnieli im historię o okaleczeniu Jednorękiego, choć słyszeli ją wiele razy. Zawsze domagali się opowieści o Alagai Ka, jak go nazywali. Skalne demony należały w Krasji do rzadkości i gdy Arlen przystał wreszcie na ich prośbę, publiczność chłonęła każde słowo.

– Zbudowaliśmy nową balistę po twojej ostatniej Wizycie, Par'chin – powiedział jeden z *kai'Sharum*, gdy popijali nektar po posiłku. – Potrafi przebić mur z piaskowca. Znajdziemy jeszcze sposób na zmiżdżenie pancerza Alagai Ka!

Młodzieniec zachichotał i pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie zobaczycie tej nocy Jednorękiego. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy więcej. Ujrzał już słońce.

Kai'Sharum wybałuszyli oczy.

– Alagai Ka nie żyje? Jak zdołałeś tego dokonać?

– Opowiem wam o tym po zwycięstwie tej nocy – rzekł Arlen z uśmiechem i pogładził leżącą obok włócznię. Pierwszy Wojownik bynajmniej nie przeoczył tego gestu.

Alagai'sharak

328 RP

O Wielki Kaji, Włócznie Everama, użyż siły naszym wojownikom!
Napełnij ich serca odwagą, gdy tej nocy znów podejmą Świętą Wojnę.

Arlen wiercił się niespokojnie, gdy *Damaji* udzielali *dal'Sharum* błogosławieństwa Kajego, ich Wybawiciela. Na Pólnocy za samo stwierdzenie, że Wybawiciel należał do zwykłych śmiertelników, można było oberwać pięścią, ale nie stanowiło to grzechu ani przestępstwa. W Krasji podobne herezje karano śmiercią. Kaji był Posłańcem Everama, który został zesłany, by przewodzić ludzkości w walce przeciwko *alagai*. Nazywano go Shar'Dama Ka – Pierwszym Kapłanem-Wojownikiem – i utrzymywano, że pewnego dnia wróci i znów zjednoczy ludzi, gdy ci staną się godni uczestnictwa w *Sharak Ka* – Pierwszej Wojnie. Każdego, kto twierdził inaczej, czekała szybka i brutalna śmierć.

Arlen nie był na tyle głupi, aby głośno kwestionować boskość Kajego, niemniej jednak Święci Mężowie działali mu na nerwy. Wyglądało na to, że dobrze pamiętali o jego pochodzeniu i wykorzystywali każdą sposobność, by sprowokować go do urażenia czyjejsz czci, co w Krasji z

reguły kończyło się śmiercią.

Młody Posłaniec czuł się nieswojo w towarzystwie *Damaji*, ale widok Sharik Hora, ogromnej, kopulastej świątyni Everama, budził w nim nabożny podziw. W dosłownym tłumaczeniu jej nazwa oznaczała „Kości bohaterów”. Każdemu, kto na nią patrzył, budowla ta przypominała, jak wspaniałe konstrukcje wznosiła niegdyś ludzkość. Nawet Książęca Biblioteka Miln przy niej wydawała się Arlenowi drobna.

Świątynia Sharik Hora budziła jednakże lęk i zachwyt nie tylko ze względu na swe rozmiary. Udekorowana wybielonymi kośćmi wszystkich wojowników, którzy polegli w *alagai'sharak*, stanowiła symbol bezgranicznej odwagi. Kości biegly wysoko w górę dookoła kolumn i wsporników, okalając otwory okienne. Wielki ołtarz wykonano w całości z czaszek, a ławy z kości udowych. Kielich, z którego współwyznawcy pili wodę, zrobiono z wydrążonej czaszki wspartej na dwóch kościanych dłoniach. Nóżkę kielicha stanowiły kości przedramienia, a podstawę para stóp. Każdy z gigantycznych kandelabrow składał się z dziesiątek czaszek i setek żeber, natomiast wielkie sklepienie dwieście stóp nad głowami wiernych udekorowano czaszkami przodków krasjańskich wojowników, które spoglądały w dół, wymuszając poszanowanie dla zasad honoru.

Arlen próbował kiedyś porachować, ile ciał poległych złożyło się na makabryczną dekorację świątyni, ale wkrótce tego poniechał. Wszystkie miasta, wsie i sioła w Thesie, liczące razem może nawet dwieście pięćdziesiąt tysięcy dusz, nie zapewniłyby nawet cząstki tego, czym wyłożono świątynię Sharik Hora. Swego czasu Krasjanie rzeczywiście byli niezliczonym narodem.

Teraz wszyscy krasjańscy wojownicy, w liczbie może czterech tysięcy, swobodnie wypełniali wnętrze budowli. Spotykali się tu dwa razy dziennie,

o świcie i o zmierzchu, by uczcić Everama, podziękować mu za łowy poprzedniej nocy i błagać, by zechciał ich wesprzeć Swą siłą podczas kolejnej bitwy. Przede wszystkim jednak modlili się o rychłe przybycie Shar'Dama Ka i rozpoczęcie *Sharak Ka*. Za swym Wybawicielem gotowi byli pomaszerować choćby i w głąb Otchłani.

* * *

Wyczekujący z niecierpliwością w pułapce Arlen usłyszał wreszcie dzikie wrzaski niesione przez pustynny wiatr. Wojownicy wokół poruszyli się nerwowo, polecając swe dusze Everamowi. W Labiryncie rozgorzał *alagai'sharak*.

Wkrótce dobiegły ich meldunki, że rozmieszczeni na miejskich murach wojownicy z plemienia Mehnding powitali salwą nacierające piaskowe demony. W kierunku otchłańców pomknęły ogromne włócznie i ciężkie głazy. Niektóre z pocisków okaleczyły demony na tyle, że ich pobratymcy rozszarpali je na strzępy, lecz prawdziwym celem ataku było doprowadzenie napastników do obłędu. Demony z łatwością wpadały we wściekłość, a gdy do tego doszło, pozwalały się zapędzać niczym owce – wystarczyło pokazać im potencjalną ofiarę.

Rozsierdzonym otchłańcom otwierano bramy miasta, przerywając tym samym zewnętrzną barierę ochronną. Do środka wpadały wówczas piaskowe i ogniste demony, a wichrowe nurkowały tuż nad ich głowami. Zazwyczaj wpuszczano kilka tuzinów napastników, po czym zawierano bramy, na powrót uruchamiając barierę.

Na dziedzińcu oczekiwała grupa wojowników zwanych Naganiaczami, którzy głośno tłukli włóczniami o tarcze. W jej skład wchodziłi najczęściej

ludzie starzy bądź słabi, lecz ich honor i odwaga nie miały granic. Z głośnymi okrzykami rozbiegali się w umówiony wcześniej sposób, rozdzielając atakujące demony i zaciągając je w głąb Labiryntu.

Rozmieszczeni na murach Miotacze zarzucali na wichrowe demony obciążone sieci i bolasy. Gdy potwory padały na ziemię, z chronionych runami kryjówek wyskakiwali wojownicy. Błyskawicznie krępowali kończyny otchłańców kajdanami, które przymocowywano do runicznych pali wbitych głęboko w ziemię. Tak unieruchomione demony nie były już w stanie czmychnąć do Otchłani przed wschodem słońca.

W międzyczasie Naganiacze kluczyli w Labiryncie, wiodąc piaskowe, a czasem również ogniste demony ku zagładzie. W innych okolicznościach otchłańce bez trudu doścignęłyby biegnącego człowieka, ale wewnątrz ciasnych tuneli Labiryntu nie potrafiły manewrować z taką samą łatwością, co doskonale zaznajomiony z nimi wojownik. Gdy któryś z napastników znalazł się zbyt blisko Naganiacza, Miotacze próbowali spowolnić go sieciami. Często udawała im się ta sztuka. Nie zawsze.

Arlen i pozostali Spychacze napięli mięśnie, gdy usłyszeli wołanie Naganiaczy:

– Uwaga!

– Widzę dziewięć! – wrzasnął Miotacz z góry.

Dziewięć piaskowych demonów. Naganiacze zawsze usiłowali rozdzielić grupy szarżujących otchłańców, tak że do pułapki z rzadka docierało ich więcej niż pięć. Arlen zacisnął dłonie na runicznej włócznie. Oczy *dal'Sharum* płonęły dzikim podnieceniem. Śmierć w *alagai'sharak* oznaczała tryumfalny pochód do raju.

– Światło! – doleciał ich okrzyk.

Gdy Naganiacze wprowadzali demony do pułapek, Miotacze rozpalali

namoczone olejem pochodnie przed odpowiednio rozstawionymi lustrami. Załomy Labiryntu zalewało jaskrawe światło.

Zaskoczone otchłańce skrzeczały ze strachu i cofały się, zasłaniając oczy. Światło nie mogło ich zabić, ale dawało wyczerpanym Naganiaczom czas na ucieczkę. Przygotowani na eksplozję blasku wojownicy z wprawą obiegali doły i zeskakiwali do płytkich, chronionych runami okopów. Piaskowe demony szybko odzyskały rezon i podjęły pościg, nieświadome, że niedoszła zdobycz dawno im umknęła. Trzy z nich wbiegły na płótno brunatnego koloru zakrywające dwa ogromne doły i z wrzaskiem wpadły do głębokich na dwadzieścia stóp jam.

Gdy zadziały pułapki, z kryjówek wyskoczyli Spychacze. Zasłonięci okrągłymi runicznymi tarczami natarli włócznie na pozostałe otchłańce, chcąc je zepchnąć do dziur.

Arlen dzikim rykiem odegnał strach i zaatakował wraz z innymi, porwany upajającym szaleństwem Krasji. Tak właśnie wyobrażał sobie wojowników z dawnych czasów, którzy wrzaskiem pokonywali lęk i pędzili na oślep do boju. Na krótką chwilę zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje.

Ale potem ugodził włócznią piaskowego demona. Znaki na ostrzu zapłonęły, w cielsko potwora wniknęły srebrne błyskawice. Ofiara zaskowyczała w agonii, lecz w tej samej chwili została zepchnięta do jamy przez dłuższe włócznie towarzyszy młodzieńca. Ci, oślepieni rozbłyskami runów ochronnych, nie zdołali dostrzec skuteczności broni *chin*.

Oddziałek Arlena poradził sobie z obydwoma demonami, które znalazły się po ich stronie pułapki. Obwodzące dół runy stanowiły osobliwość znaną jedynie w Krasji – otchłańce mogły bowiem wskoczyć do środka utworzonego z nich kręgu, ale nie były w stanie z niego

wyskoczyć. Dno jamy wykładano zaś ciasno głazami, co uniemożliwiało potworom ucieczkę do Otchłani przed nastaniem świtu.

Arlen uniósł głowę. Wojownikom po drugiej stronie potrzasku nie poszło tak dobrze. Zsuwające się płótno zawadziło o brzeg jamy i nadal zasłaniało niektóre znaki. Zanim Wnykarz zdołał odrzucić płachtę, oba otchłańce wypełzły z dziury i zabiły nieszczęśnika.

Wybuchło zamieszanie. Spychacze, których było ledwie dziesięciu, mieli naprzeciw siebie pięć piaskowych demonów, a ich pułapka właśnie została pozbawiona mocy. Demony wpadły w sam środek oddziału, tnąc i gryząc.

– Do kryjówki! – rozkazał *kai 'Sharum* oddziału Arlena.

– Prędeż mnie Otchłań pochłonie! – wrzasnął młodzieniec i rzucił się na pomoc towarzyszom.

Na widok takiego pokazu odwagi ze strony przybysza *dal 'Sharum* skoczyli w ślad za nim, ignorując okrzyki dowódcy.

Arlen zwolnił jedynie na tyle, by celnym kopniakiem zrzucić płachtę z brzegu jamy i uruchomić pułapkę. Nie tracąc płynności ruchów, wtargnął w sam środek starcia. Włócznia zamigotała w jego ręku.

Dźgnął pierwszego demona w bok. Tym razem wojownicy nie mogli przeoczyć magicznego rozbłysku broni. Śmiertelnie ranny otchłańiec zwałił się na ziemię, a Arlen poczuł, jak przepływa przez niego fala dzikiej energii.

Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Zawirował, zasłaniając się włócznią przed długimi kłami kolejnego piaskowego demona. Runy ochronne na całej jej długości rozbłysły, gdy potwór zwarł szczęki. Jego paszcza została unieruchomiona w tej pozycji. Wtedy młodzieniec szarpnął bronią, a magia eksplodowała światłem, wyłamując napastnikowi żuchwę.

Trzeci demon już wyskoczył w powietrze, ale w ciele jego przeciwnika gorzała nowa siła. Arlen pchnął tępym końcem włóczni. Moc wyrytych tam znaków oderwała otchłańcowi połowę pyska. Gdy bestia padała na ziemię, odrzucił tarczę, zakręcił włócznią w dłoniach, pochwycił ją u nasady ostrza i wbił w serce potwora.

Zaryczał triumfalnie, rozglądając się za następnymi demonami, lecz jego towarzysze zdążyli zepchnąć je do jamy. Wszyscy wpatrywali się teraz w niego z nabożnym podziwem.

– Na co czekamy? – ryknął Arlen, wbiegając do Labiryntu. – *Alagai* tylko czekają, by je pozabijać!

Dal'Sharum ruszyli za nim, skandując:

– Par'chin! Par'chin!

Pierwszym napotkanym przeciwnikiem był wichrowy demon, który zanurkował i rozdarł jednemu z towarzyszy Arlena gardło. Nim zdążył odbić się do lotu, młodzieniec cisnął włócznią i trafił otchłańca prosto w łeb. Zalana snopem iskier bestia gruchnęła o ziemię.

Arlen wyrwał broń z ciała ofiary i pognał dalej. Nieposkromiona magia włóczni niosła go niczym berserka z dawnych legend. Pokonywał kolejne załomy Labiryntu w szalonym pędzie, a liczba biegnących za nim wojowników błyskawicznie rosła. Z każdym ubitym demonem coraz więcej Krasjan podejmowało okrzyk:

– Par'chin! Par'chin!

Nikt już nie pamiętał o otoczonych runami kryjówkach wokół jam, nikt nie czuł strachu przed nocą. Uzbrojony w metalową włócznię przybysz wydawał się niezniszczalny, a bijąca od niego pewność siebie upajała Krasjan niczym narkotyk.

Odurzony zwycięstwem Arlen czuł się jak motyl uwolniony z kokonu, tak jakby starożytny oręż uczynił go zupełnie nowym człowiekiem. Obecnie mu było znużenie, choć biegał i walczył od długich godzin. Ignorował ból, choć jego ciało pokrywały liczne rany i zadrapania. Jego myśli krążyły nieustannie wokół kolejnego starcia, kolejnego demona do zglądzenia. Za każdym razem, gdy czuł drżenie potężnej magii przeszywającej pancierz otchłańca, w jego umyśle rozbrzmiewała ta sama myśl:

Każdy z nas musi mieć taką broń.

Naraz ujrzał przed sobą Jardira i uniósł wysoko włócznie w geście szacunku. Od stóp do głów pokryty był posoką demonów.

– Sharum Ka! – wykrzyknął. – Ani jeden demon nie ucieknie dziś z twego Labiryntu!

Jardir zaśmiał się i wyrzucił własną włócznie w powietrze. Ucisnął Posłańca niczym brata.

– Nie doceniałem cię, Par'chin. Już nigdy nie popełnię tego błędu.

Arlen odpowiedział ironicznym spojrzeniem.

– Za każdym razem tak mówisz. Mężczyzna skinął głową w kierunku dwóch ubitych właśnie piaskowych demonów.

– Ale tym razem mówię poważnie – obiecał i przypieczętował swe słowa szerokim uśmiechem, a potem zwrócił się ku ludziom, którzy biegli za Arlenem.

– *Dal'Sharum!* – zawołał, wskazując martwe otchłańce. – Bierzcie się za te ścierwa i wyrzucicie je za mury! Naszym Miotaczom dobrze zrobi odrobina wysiłku. Niech te przekłete potwory za murami zrozumieją, jaką głupotą jest atakować Fort Krasja!

Ludzie zakrzyknęli z tryumfem i pospieszyli wypełnić rozkazy. Jardir zwrócił się ku Arlenowi:

– Miotacze meldują, że w jednej ze wschodnich pułapek nadal wrze walka. Zostało w tobie jeszcze choć trochę siły?

Młodzieniec uśmiechnął się złowieszczo.

– Prowadź!

Pobiegli w kierunku jednego z najodleglejszych zakątków Labiryntu.

– To tam! – rzucił Jardir, gdy pokonali ostry zakręt. – Tuż przed nami!

Arlen nie zwrócił uwagi na fakt, że w zaułku, w którym się właśnie znaleźli, panowała cisza. Słyszał jedynie tupot własnych stóp i dudniący w uszach łomot serca. Nie zauważył też nogi, która zahaczyła o jego stopę i posłała go na ziemię. Przetoczył się, nie puszcżając cennej broni, ale nim zdążył wstać, krasjańscy wojownicy zablokowali jedyną drogę odwrotu.

Rozejrzał się dookoła w oszołomieniu. Żadnych śladów demonów ani walki. Pułapki, do której dotarł, nie zastawiono na otchłańce.

Jesteś tylko *chin*

328 RP

Sharum powoli wypełniali zaulek. Arlen znał ich wszystkich doskonale, należeli do elitarnego oddziału Pierwszego Wojownika. Jeszcze tego wieczoru jadł i zaśmiewał się z nimi do rozpuku, sam zaś nie potrafiłby zliczyć, jak wiele razy walczyli bok w bok.

– O co chodzi? – zapytał, choć w głębi duszy wiedział, jak zabrzmiał odpowiedź.

– Włócznia Kajego należy do Shar’Dama Ka – wycedził Jardir. – Ty nim nie jesteś.

Arlen zacisnął dłonie, jakby się obawiał, że broń wyfrunie mu z rąk. Choć ludzie, którzy go teraz otaczali, kilka godzin temu dzielili z nim smutki i radości, teraz próżno było szukać w ich oczach choćby cienia sympatii. Jardir potrafił dobierać sobie popleczników.

– To nie musi się tak skończyć. – Młodzieniec cofał się, póki nie stanął na krawędzi jamy. Dobiegł go syk uwięzionego w niej piaskowego demona. – Mogę ich zrobić więcej, po jednej dla każdego *dal’Sharum*. Właśnie po to tutaj przybyłem.

Brodatą twarz Jardira przeciął zimny uśmiech. Jego zęby błysnęły w blasku księżyca.

– Zdołamy to zrobić bez twojej pomocy. Przecież nie możesz być naszym zbawcą. Jesteś tylko *chin*.

– Nie chcę z tobą walczyć.

– Więc tego nie rób, przyjacielu – rzekł łagodnie Pierwszy Wojownik. – Oddaj mi włócznie, wskakuj na konia, wyjedź o brzasku i nigdy tu nie wracaj.

Arlen zawahał się. Miejscowi Patronowie Runów bez wątpienia umieli odtworzyć runy z włóczni równie dobrze jak on sam i Krasjanie mogliby rychło odwrócić koleje Świętej Wojny. Uratowaliby tysiące istnień, zgładzili tyleż samo demonów. Czy to ważne, komu przypadną zasługi?

Chodziło jednak o coś więcej niż tylko zasługi. Włócznia stanowiła dar dla całej ludzkości. Czy Krasjanie podzieliliby się swą wiedzą z pozostałymi narodami? Zważywszy na zajście, w którym Arlenowi przyszło właśnie uczestniczyć, należało w to wątpić.

– Nie – powiedział. – Chyba zatrzymam ją na dłużej. Zrobię taką włócznie dla ciebie, a potem odejdę. Nigdy więcej już mnie nie ujrzysz, a zdobędziesz to, czego tak pragniesz.

Jardir strzelił palcami. Wojownicy ruszyli ostrożnie w kierunku Posłańca.

– Proszę... – głos młodzieńca przybrał błagalny ton. – Nie chcę was skrzywdzić.

Krasjańscy weterani zarechotali. Byli ludźmi, którzy całe swe życie poświęcili doskonaleniu sztuk walki.

Podobnie jak Arlen.

– To otchłańce są waszymi przeciwnikami! – wrzasnął, gdy rzucili się

do ataku. – Nie ja!

Nie czekał jednak na reakcję. Machnięciem włóczni odbił dwa zmierzające ku niemu ostrza i kopnął któregoś z wojowników w żebra, przewracając go na towarzysza. Zanurkował w powstały zgiełek i wyłonił się w jego środku, tłukąc naokoło włócznią jak kijem. Ani razu nie użył ostrza.

Rąbnął któregoś z wojowników w twarz tępym końcem broni. Kości łamanej szczęki zagruchotały. Pod rannym ugięły się nogi, a Arlen przypadł wraz z nim do ziemi i zdzielił innego przeciwnika metalowym drzewcem w kolano. Gdy Krasjanin upadał, ostrze włóczni przecięło powietrze tuż przed nosem młodzieńca.

Broń jednakże w niczym nie przypominała tej, którą walczył z otchłańcami. Wydawała się ciężka, a źródło nieskończonej energii prowadzącej go przez Labirynt już wygasło. W walce przeciwko ludziom włócznia nie posiadała nawet części swej mocy. Arlen wbił ją w ziemię, wsparł się na niej i wyskoczył w powietrze, by kopnąć w krtań napastnika. Uderzeniem w żołądek posłał na ziemię kolejnego. Jeszcze inny upuścił broń, by zatamować krwotok, gdy ostrze włóczni przedarło mu udo. Mimo to Krasjanie nie przestawali napierać. Arlen cofnął się do krawędzi jamy, by nie mogli go okrążyć.

– Znów cię nie doceniłem, choć przyrzekłem, że już tego nie uczynię – syknął Jardir.

Machnął dłonią i kolejni z jego popleczników doskoczyli do Poślańca. Arlen stawiał zaciekły opór, ale wynik starcia był z góry przesądzony. Drzewce czyjejs włóczni rąbnęło go w bok głowy. Zwalił się na ziemię, a wojownicy natychmiast do niego przypadli i okładali go dopóty, dopóki nie puścił włóczni, by osłonić głowę.

Ciosy w jednej chwili ustały. Silnymi szarpnięciami poderwano go na nogi, a dwaj zwaliści mężczyźni wykręcili mu ręce za plecy. Młodzieniec patrzył bezsilnie, jak Jardir podnosi jego broń i przyciskają do piersi. Pierwszy Wojownik spojrzał przybyszowi w oczy.

– Jest mi naprawdę przykro, przyjacielu. Żałuję, że nie ma innego sposobu.

Arlen plunął mu w twarz.

– Everam patrzy na twą zemstę! – krzyknął.

W odpowiedzi Jardir uśmiechnął się i otarł policzek.

– Nie waż się używać imienia Everama, *chin*. To ja jestem jego Sharum Ka, a nie ty. Beze mnie Krasja upadnie. A kto zatęskni za tobą? Łzami po tobie nie napełni się choćby jednej buteleczki.

Potem przeniósł wzrok na swych ludzi.

– Wrzucicie go do jamy.

Oszołomiony upadkiem, Arlen kątem oka dostrzegł Wspaniałą włócznie Jardira, której ostrze zadzwoniło na kamieniach jamy. Omiótł wzrokiem wysokie na dwadzieścia stóp ściany. Pierwszy Wojownik patrzył nań z góry.

– Żyłeś z honorem, Par'chin – powiedział. – Zachowaj go, umierając. Zgiń w walce, a przebudzisz się w raju.

Arlen parsknął i przeniósł uwagę na piaskowego demona, który podźwignął się po drugiej stronie jamy. Potwór odsłonił ostre kły, głucho powarkując.

Młodzieniec wstał, ignorując ból potłuczonych mięśni. Powoli sięgnął po włócznie, podtrzymując kontakt wzrokowy z bestią. Nie próbował jej

przestraszyć ani rozzłościć, co zbiło ją nieco z tropu. Stała na czterech łapach i przesuwała się to w przód, to w tył, niepewna dalszych posunięć człowieka.

Zabicie piaskowego demona przy pomocy zwykłej włóczni nie było niemożliwe. Jego niewielkie, pozbawione powiek oczy, zazwyczaj chronione przez masywne narośle ciągnące się wzdłuż brwi, otwierały się szeroko, gdy bestia wyskakiwała w powietrze. Precyzyjne pchnięcie w ów wrażliwy punkt mogło ją zabić, o ile ostrze dotarło do mózgu. Otchłānce dysponowały jednakże mocą błyskawicznego zaleczania obrażeń i niedokładne lub nie dość głębokie uderzenie tylko je rozwścieczało. Bez tarczy, przy nikłym świetle księżyca i dogasających lamp pokonanie demona graniczyło z cudem.

Otchłāniec nadal wiercił się niespokojnie. Wykorzystując jego wahanie, Arlen zaczął prowadzić ostry czubek włóczni po kamieniach z piaskowca, by wydrapać runy ochronne na linii prawdopodobnego ataku. Wiedział, że bestia prędzej czy później odnajdzie drogę dookoła znaków, ale mógł zyskać odrobinę cennego czasu. Pociągnięcie za pociągnięciem domykał kolejne symbole.

Piaskowy demon przyłgnał do ściany jamy w miejscu, gdzie padało najwięcej cienia. Jego łuski zlały się z barwą gliny, czyniąc potwora niemal niewidocznym. Widać było jedynie czarne ślepie odbijające słabe światło.

Arlen w porę zrozumiał, że bestia szykuje się do natarcia. Naprężyła mięśnie, przenosząc ciężar ciała na tylne odnóża. Stała za kilkoma ukończonymi runami, przyjęła pozycję do ataku, a potem opuściła wzrok, jakby na znak uległości.

Z warknięciem, które błyskawicznie przerodziło się w ryk, wystrzeliła

ku ofierze. Przez moment przypominała pocisk złożony z ponad stu funtów kłów, szponów i opancerzonych mięśni. Arlen czekał, aż otchłaniec wyróżnie w barierę, a gdy tylko runy rozbłysły, wyprowadził cios w szeroko otwarte ślepie. Pęd napastnika dodatkowo spotęgował siłę uderzenia.

Obserwujący starcie Krasjanie wiwatowali.

Arlen poczuł, jak ostrze wchodzi głęboko, ale niewystarczająco, by zabić. Runy rozbłysły ułamek sekundy za wcześnie i magia odrzuciła skrzeczącego otchłanca aż pod przeciwległą ścianę. Młodzieniec zerknął na włócznię – grot został odłamany. Tkwił w oczodole demona, odbijając blask księżyca. Bestia pokonała ból i znów się podniosła. Wyszarpała kawałek stali z rany, a krwotok niemal natychmiast ustał.

Warknęła głucho, przypadła do ziemi i zaczęła się czołgać w kierunku przeciwnika. Arlen nie reagował, pospiesznie pracując nad barierą. Demon znów spiął się do skoku, lecz prowizoryczna osłona zatrzymała go po raz drugi. Młody Posłaniec wykorzystał moment i zaatakował. Tym razem chciał wbić ułamany koniec drzewca prosto w gardziel potwora, która również stanowiła jego czuły punkt. Otchłaniec okazał się jednak zbyt szybki. Pochwycił broń między zęby i wyrwał ją z uścisku człowieka.

– Na noc! – wycedził Arlen. Bez włóczni nie mógł dokończyć bariery.

Oszołomiony rozbłyskiem magii demon nie spodziewał się, że jego przeciwnik wyskoczy zza runów. Zgromadzeni wzdłuż krawędzi jamy widzowie zawyli z uciechy.

Otchłaniec drapał i gryzł, ale Arlen zwinnie omijał ciosy. Błyskawicznie znalazł się za potworem, wsunął mu ręce pod pachy i splótł palce za jego łbem. Następnie wyprostował się, unosząc go w powietrze.

Choć był większy i cięższy, nie potrafił sprostać sile miotającej się bestii. Pazury jej tylnych łap lada chwila mogły rozorać mu nogi, a jej

twarde mięśnie przypominały napięte stalowe postronki używane w kamieniołomach Miln. Zdołał rąbnąć otchłańcem o ścianę raz i drugi, ale nic to nie dało. Słabnąc z sekundy na sekundę, zdecydował się na jeszcze jeden rzut, tym razem na osłonę runiczną. Blask magii opromienił jamę. Odepchnięty demon poszybował na jej drugą stronę, a Arlen pochwycił drzewce włóczni i wskoczył za linię znaków.

Rozwścieczona bestia natarła, ale Posłaniec zdążył domknąć barierę. Za plecami miał teraz ścianę, a przed sobą prowizoryczną sieć. Modlił się w duchu, by potwór nie odnalazł istniejących w niej niewielkich luk.

Otchłaniec rozwiął jego nadzieje już chwilę później, wskakując na ścianę i uczepiając się zaschniętej gliny długimi pazurami. Powoli przesuwiał się w stronę ofiary, a jego obnażone kły ociekały śliną. Moc w pośpiechu nakreślonych znaków nie miała wielkiego zasięgu, dzięki czemu mógł bez trudu zeskoczyć w wyznaczony przez nie obszar. Arlen zdawał sobie sprawę, że jego oprawca wkrótce to zrozumie.

Napiąwszy mięśnie, zasłonił stopą znajdujący się najbliżej ściany run, otwierając tym samym barierę. Trzymał stopę jakiś cal nad ziemią, by nie uszkodzić znaku. Począł, aż demon zaatakuje, a wtedy cofnął nogę, na powrót zamykając osłonę.

Bariera zadziałała, w chwili gdy demon znalazł się dokładnie nad nią. Jej magia rozerwała go na dwie części – przód korpusu z miękkim plaśnięciem upadł po wewnętrznej części kręgu, a reszta na zewnątrz.

Choć pozbawiony zadu, otchłaniec wciąż gryzł i wymachiwał pazurami. Arlen cofał się, odpychając go włócznią. Przekroczył linię runów, wiążąc w kręgu okaleczoną maskarę, której czarna posoka wsiąkała w szczeliny między kamieniami.

Arlen spojrzał w górę. Krasjanie przyglądali mu się z szeroko

otwartymi ustami. Skrzywił twarz w gniewie i złamał włócznię na kolanie. Zainspirowany przykładem demona, wbił jedną jej część w miękką glinę, napiął mięśnie i podciągnął się nad ziemię, wbijając drugą część nieco wyżej.

Wkrótce dotarł w ten sposób do szczytu ściany i wydostał się z potrzasku. Nie myślał o tym, co zostawił na dole, ani o tym, co go czekało na górze. Skupił się tylko na jednym zadaniu, ignorując ból wycieńczonych mięśni.

Krasjanie cofnęli się, nie potrafiąc wyjść ze zdumienia. Wielu z nich wzywało imię Everama i dotykało pospiesznie piersi lub czoł, inni kreślili w powietrzu runy, jakby właśnie powstawał przed nimi demon.

Arlen zdołał stanąć na nogi, choć jego kończyny drżały z wysiłku. Wbił w Pierwszego Wojownika mętne, półprzytomne spojrzenie.

– Jeśli życzysz mi śmierci – wycharczał – sam będziesz musiał mnie zabić. Nie ma już w Labiryncie otchłańców, które mogłyby to zrobić za ciebie.

Jardir postąpił krok do przodu, ale zawahał się, słysząc pomruk dezaprobaty niektórych towarzyszy. Młody Posłaniec udowodnił, że jest wielkim wojownikiem, zabicie go nie byłoby honorowym czynem.

Arlen liczył na taką reakcję, lecz nim Krasjanie zdążyli zaprotestować, Jardir wziął zamach i zdzielił go w skroń tępym końcem włóczni.

W głowie zahuczało, świat zawirował i młodzieniec zwałił się na ziemię. W ostatniej chwili zdążył wyciągnąć ręce, by załagodzić upadek. Zebrał resztki sił, by raz jeszcze się podnieść. Wtedy dostrzegł kolejny ruch. Ułamek sekundy później włócznia znów trafiła go w twarz. Świat ogarnęły ciemności.

Granie po wsiach

329 RP

Wędrowali. Rojer lekko płasał, a cztery drewniane piłki w jaskrawych kolorach orbitowały wokół jego głowy. Żonglerka wciąż stanowiła zadanie ponad siły, gdy stał nieruchomo, ale Rojer Bezpalczy musiał pracować na swą reputację, więc nauczył się wykorzystywać do granic możliwości okaleczonych rąk. Po długich miesiącach ćwiczeń poruszał się z płynną gracją, a jego okaleczona dłoń sprawnie łapała i wyrzucała piłeczki.

Ukończył czternasty rok życia, lecz nadal był drobnym chłopcem, mierzącym nieco ponad pięć stóp. Miał marchewkowo rude włosy, zielone oczy i okrągłą twarz usianą piegami. Pochylał się, wyprostowywał, wykonywał pełne obroty, a stopy poruszały się w tym samym rytmie, co podrzucane Piłeczki. Jego miękkie trzewiki pokrywał pył drogi, a płasające stopy wzniewały gęstą chmurę, przez co każdy oddech nosił posmak kurzu.

– Czy to ma jakiś sens, skoro powinieneś żonglować, stojąc w miejscu?
– zapytał poirytowany Arrick. – Wyglądasz na kompletnego amatora, a żadna publiczność nie przepada za łykaniem kurzu.

– Przecież nie będę występował na drodze – odparł Rojer.

– W siołach? To niewykluczone. Nie ma tam deskowanych chodników.

Rojer potknął się, a Arrick przystanął, obserwując, jak jego uczeń desperacko usiłuje na powrót złapać rytm. W końcu mu się to udało, piłeczki znów zataczały krąg w tym samym tempie, ale mimo to Arrick burknął z niezadowoleniem.

– Skoro nie ma deskowanych chodników, to co robią, by demony nie powstawały wewnątrz murów? – zapytał zaciekawiony chłopiec.

– Murów też nie ma. Utrzymanie bariery runicznej wokół niewielkiej nawet wioski wymagałoby pomocy jakiegoś tuzina Patronów. A wieś może się uważać za szczęśliwą, jeśli ma chociaż dwóch – wraz z czeladnikiem.

Rojer nagle poczuł w gardle posmak żółci. Przełknął ślinę, czując ogarniającą go słabość. Wrzaski, których pamięć liczyła już dziesięć lat, znów rozbrzmiały w jego głowie. Potknął się i przewrócił na plecy, a wokół pospadały drewniane piłeczki. Ze złością grzmotnął okaleczoną dłonią w ziemię.

– Lepiej zostaw żonglowanie mnie i skup się na innych umiejętnościach – rzekł Arrick z westchnieniem. – Jeśli połowę czasu poświęconego na trening żonglowania przeznaczysz na śpiew, może zdołasz przeciągać trzy sekundy dłużej, zanim załamie ci się głos.

– Zawsze mówisz, że Minstrel, który nie umie żonglować, nie zasługuje na to miano.

– Mniejsza o to, co ja wygaduję – warknął mężczyzna. – Sądysz, że Jasin Złotogłosy potrafi żonglować? Ty masz talent. Gdy już zyskamy sławę, najmiej czeladników, by żonglowali za ciebie!

– Skąd ci przyszło do głowy, że chcę, by ktoś wykonywał za mnie moje sztuczki? – zapytał Rojer, podnosząc piłki i wsuwając je do sakiewki

zawieszanej przy pasie. Wykorzystał ten moment, by pogłodzić talizman schowany bezpiecznie w sekretnej kieszeni. Jak zwykle poczuł przyływ nowych sił.

– Ponieważ nie da się zbić fortuny na drobnych sztuczkach. – Arrick pociągnął łyk z nieodłącznego bukłaka. – Zwyczajni zonglerzy zarabiają drewniaki. Zyskaj sławę, a zobaczysz, jak do twych kieszeni płynie struga milneńskiego złota, jak niegdyś do moich. – Pociągnął kolejny, tym razem większy. – Żeby jednak zyskać sławę, musisz grać po siolach.

– Złotogłosy nigdy nie grywał... – burknął Rojer.

– Otóż to! – wykrzyknął Arrick, wymachując rękami. – Jego wujek może i jest w stanie pociągać w Angiers za odpowiednie sznurki, ale jego wpływy nie sięgają mniejszych wiosek. Gdy już zdobędziesz sławę, będziemy mogli o nim zapomnieć!

– Gdzie mu się równać ze Słodką Pieśnią i BezPalcym! – szybko dodał Rojer, znów wymieniając imię mistrza na pierwszym miejscu, choć ostatnio czynili odwrotnie przez wzgląd na wzrastającą popularność chłopaka na ulicach Angiers.

– O tak! – wykrzyknął Arrick, po czym strzelił obcasami i puścił się w szybki płas.

Rojer w porę odwrócił uwagę mistrza. Ostatnimi laty stary Minstrel stawał się coraz bardziej podatny na wybuchy wściekłości. Pił też coraz więcej, w miarę jak gwiazda Rojera błyszczała coraz jaśniej, podczas gdy jego stopniowo bledła. Dobrze wiedział, że w jego pieśniach coraz trudniej było się doszukać słodkości.

– Jak daleko stąd do Świerszczowej Ostoi? – zapytał Rojer.

– Dotrzemy tam jutro w południe.

– Sądziłem, że siola leżą w odległości dnia drogi od siebie...

Arrick parsknął.

– Dekret książęcy głosi, że wsie mają leżeć w odległości, którą człowiek na dobrym koniu jest w stanie pokonać w ciągu jednego dnia. Na dobrym koniu! Pieszko nie zajdziesz tak daleko.

Rojer poczuł, jak opuszczają go wszelkie nadzieje. Arrick naprawdę zamierzał spędzić noc pod gołym niebem, chroniąc się przed demonami jedynie starym kręgiem Gerala, którego nikt nie używał od dziesięciu lat.

Lecz nawet w Angiers nie mogli się już czuć bezpieczni. W miarę jak rosła ich popularność, mistrz Jasin dokładał starań, by podciąć im skrzydła. Rok temu jego czeladnicy złamali Arrickowi rękę, a po jednym z wielkich występów skradli cały ich utarg. Do tego dochodziło zamięłowanie Arricka do wina i dziwek, które skutecznie opróżniało ich sakiewki. Być może sioła rzeczywiście oferowały lepsze pieniądze.

Zdobywanie popularności stanowiło dla Minstreli swoisty rytuał inicjacyjny i dopóki przebywali bezpiecznie w Angiers, Rojerowi wydawało się to wspaniałą przygodą. Teraz chłopak z trudem przełykał ślinę, patrząc w niebo.

* * *

Rojer siedział na kamieniu i wszywał kolorową łątkę do płaszcza. Podobnie jak w przypadku innych ubrań, płótno, z którego go wykonano, już dawno się przetarło. Na dziury naszywał łątki, aż z czasem płaszcz stał się wielką pstrokatą mozaiką.

– Rozłóż krąg, gdy skończysz, chłopcze – burknął Arrick, opróżniwszy niemal cały bukłak. Rojer zerknął na zachodzące słońce i pospieszył wykonać polecenie.

Krag był niewielki, mierzył zaledwie dziesięć stóp średnicy, ale mógł pomieścić dwóch leżących mężczyzn i tłące się między nimi ognisko. Rojer wbił kij w środku obozowiska i wykorzystał przywiązany do niego sznur długości pięciu stóp, by wytyczyć okrąg. Następnie rozciągnął wzdłuż niego przenośny krag Gerala, tu i ówdzie korzystając z liniału, by ułożyć płytki z runami w odpowiedniej odległości od siebie. Nie był jednak Patronem Runów i nie mógł mieć pewności, czy wykonał zadanie prawidłowo.

Gdy skończył, Arrick przykuśtykał przyjrzeć się owocom jego pracy.

– Wygląda porządnie – wymamrotał, ledwie zerknąwszy na krag.

Rojer poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Sprawdził runy jeszcze dwukrotnie, by mieć pewność, że zrobił wszystko najlepiej jak tylko potrafił. Potem ułożył szczapki na ognisko, rozpalił ogień i zaczął przygotowywać kolację, ale niepokój wciąż mu towarzyszył. Słońce opadało coraz niżej.

Rojer nigdy dotąd nie widział demona, a przynajmniej żadnego z nich nie pamiętał wyraźnie. Widok szponiastej łapy, która przebiła drzwi gospody rodziców, wycisnął w jego pamięci trwale piętno, ale reszta – nawet otchłaniec, który go okaleczył – całkiem się rozmyła. Oczami wyobraźni widział tylko dym, kły i rogi.

Gdy długie cienie drzew przykryły drogę, krew zakrzepła mu w żyłach. Nie musiał długo czekać, nim nieopodal obozowiska z ziemi wyrósł pierwszy widmowy kształt. Drzewny demon nie był wiele większy od człowieka średniego wzrostu, a jego żylaste ciało okrywała porowata, przypominająca korę skóra. Dostrzegłszy ogień, potwór odrzucił rogaty łeb, ukazując szeregi ostrych zębów, i zaryczał głucho. Rozcapierzył pazury, szykując się do rzezi. Na skraju widoczności materializowały się

kolejne kształty.

Rojer co rusz zerkał na Arricka, który bez umiaru pociągał z bukłaka. Liczył, że jego mistrz, który przecież sypiał wcześniej w przenośnych kregach, okaże spokój, ale strach w oczach starego Minstrela szybko rozwiał te nadzieje. Chłopak wsunął drżącą dłoń do ukrytej kieszeni i zacisnął na talizmanie.

Drzewny demon pochylił rogaty łeb i zaszarżował. Niespodziewanie z odmętów pamięci Rojera wynurzył się długo tłamszony obraz. Nagle znów miał trzy lata i spoglądał ponad ramieniem matki na nadchodzącą śmierć.

I naraz wszystko powróciło.

Ojciec chwyta za pogrzebacz, staje obok Gerala, by zyskać choć trochę czasu dla ściskającej dziecko żony i Arricka, Minstrel odpycha ich, gdy biegną do kryjówki, demon zatapia zęby w ramieniu matki, tryska krew, a ona w desperackim akcie ratuje mu życie...

Kocham cię!

Rojer jeszcze mocniej zakleszczył palce na talizmanie i poczuł, jak otacza go duch matki, silny i wyraźny, jakby zyskał materialną postać. Nagle zrozumiał, że ufa mu bardziej niż otaczającym go runom, że jak potężna tarcza osłoni go przed szarżującym demonem.

Otchłaniec z impetem wpadł na barierę. Rojer i Arrick podskoczyli, gdy światło magii rozbłysło. Przez krótką chwilę widać było sieć ochronną Gerala rozjarzoną srebrnym ogniem. Oszołomiony otchłaniec poleciał w tył.

Ulga okazała się jednak przedwczesna. Huk zderzenia i rozbłysk zwabiły kolejne demony, które ze wszystkich stron przystąpiły do poszukiwania luk w barierze. Bez skutku – polakierowane runy Gerala stawiały skuteczny opór i odpychały drzewne demony, które ze złością

obchodziły krąg.

Otchłańce nadal rzucały się na barierę, ale Rojer myślami przebywał gdzie indziej. Raz po raz oglądał śmierć rodziców, widział, jak jego ojciec płonie, jak matka topi ognistego demona tuż przed wepchnięciem dziecka do kryjówki. A przede wszystkim widział, jak uciekający Arrick odpycha ich na bok.

To Arrick zabił jego matkę. Odepchnął ją podczas panicznej ucieczki. Równie dobrze mógł ją zadusić własnymi rękami. Rojer wyciągnął talizman i ucałował rudy kosmyk.

– Co tam trzymasz? – spytał cicho Arrick, gdy już zyskał pewność, że demony nie przebiją kręgu.

W każdej innej sytuacji Rojer poczułby ukłucie strachu, zmuszony do ujawnienia tak długo skrywanej tajemnicy. Teraz jednakże było inaczej. Teraz na nowo przeżywał dręczący go koszmar, desperacko usiłował go zrozumieć i wyciągnąć z niego wnioski. Przez ostatnie dziesięć lat Arrick zastępował mu ojca. A może te wspomnienia stanowiły tylko wymysł wyobraźni?

Otworzył dłoń i pokazał Minstrelowi drobną drewnianą laleczkę z rudymi włosami.

– Moja mama – powiedział.

Mężczyzna spojrzał na lalkę ze smutkiem, a wyraz jego twarzy zdradził wszystko, co chłopak chciał wiedzieć. Pamięć nie próbowała go oszukać. Na język cisnęły się słowa pełne żalu i wściekłości. Nagle zapragnął rzucić się na mistrza i wypchnąć go z kręgu na pastwę demonów.

Arrick spuścił wzrok i odkaszlnął, a potem zaczął śpiewać. Przez lata nadużywania alkoholu jego głos utracił swą melodyjność, ale teraz zabrzmiało w nim echo słodczy, z której ongiś słyszał. Śpiewał łagodną

kołysankę, która poruszyła wyobraźnię Rojera w tym samym stopniu, co widok drzewnego demona. Chłopak przypomniał sobie nagle ową straszną noc, którą wraz z Arrickiem spędzili w kręgu ustawionym pośród płonących zabudowań Rzeczułki. Minstrel tulił go wówczas i nucił tę samą piosenkę.

Podobnie jak talizman, kołysanka ujęła Rojera za serce i przypomniała mu, jak bezpiecznie się czuł dzięki niej tamtej feralnej nocy. Arrick bez wątpienia postąpił jak tchórz, ale uszanował prośbę Kally i zajął się chłopcem, choć kosztowało go to posadę na dworze książęcym i zrujnowało mu karierę.

Rojer wsunął talizman głęboko do sekretnej kieszeni i wpatrywał się w ciemności, przywołując wciąż te same obrazy z przeszłości i usiłując coś z nich zrozumieć.

Głos jego mistrza w końcu ucichł. Chłopak otrząsnął się z zadumy i zajął myśli przyziemnymi sprawami. Usmażyli kielbasę z pomidorami na niewielkiej patelni, a później w milczeniu zagryzali ją twardym, chrupkim chlebem. Po kolacji znów zaczęli ćwiczyć. Rojer ujął skrzypki, a Arrick zwilżył wargi ostatnimi kroplami wina z bukłaka. Siedzieli naprzeciw siebie, ze wszystkich sił starając się zignorować otchłańce czyhające na zewnątrz kręgu.

Rojer przeciągnął smyczkiem po strunach, a wszystkie lęki i wątpliwości uciekły, z chwilą gdy wibrujące dźwięki stały się całym jego światem. Zagrał kilka taktów na próbę i kiwnął głową na znak, że jest gotów. Zaczął cichutko, a Arrick zanucił tę samą melodię. Niedługo trzeba było czekać, by ogarnęła ich przyjemna harmonia, wypracowana przez lata wspólnych ćwiczeń i występów.

Minęło sporo czasu, gdy Arrick nagle przerwał i zaczął się rozglądać.

– Co się dzieje? – zapytał jego uczeń.

– Wydaje mi się, że odkąd zaczęliśmy śpiewać, żaden demon nie uderzył w runy.

Rojer również rozejrzył się dookoła. Natychmiast zdał sobie sprawę, że mistrz mówi prawdę, i zapytał się w myślach, jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył. Drzewne demony klęczały wokół kręgu, lecz gdy tylko chłopiec spojrział jednemu z nich w ślepia, ten natychmiast doskoczył do bariery.

Rojer z wrzaskiem padł na ziemię. Siła osłony odrzuciła otchłańca i raptem wszędzie dookoła rozjarzyła się magia, gdy kolejne otchłańce pokonywały oszołomienie i atakowały.

– To muzyka! – zawołał Arrick. – To muzyka je powstrzymała!

Widząc zdumienie na twarzy chłopca, mężczyzna odchrząknął i zaczął śpiewać.

Mocny głos poniósł się daleko po traktach. Jego czar na moment przytłumił ryki potworów, ale nie spowolnił ich ruchów. Wręcz przeciwnie, otchłańce zaryczały i z jeszcze większą furją zaatakowały barierę, jakby chciały na zawsze uciszyć człowieka.

Arrick zmarszczył krzaczaste brwi. Zaintonował ostatnią pieśń, którą przeciwiczył wraz z uczniem, ale demony nadal nacierały na krąg. Chłopak poczuł ukłucie lęku. Co będzie, jeśli odkryją jakieś słabe ogniwo, podobnie jak wtedy...

– Skrzypki! – krzyknął Arrick. Rojer spojrział nieprzytomnie na instrument, który nadal ścisnął w dłoniach. – Graj, głupcze!

Okaleczona dłoń zadrżała i smyczek wydobyl z instrumentu jęśliwy, nieprzyjemny dźwięk, przypominający zgrzyt paznokcia na tabliczce. Demony zaskrzeczały i zrobiły krok w tył. Ośmielony Rojer wyciągnął z

instrumentu kolejne nieprzyjemne, zgrzytliwe dźwięki, za każdym razem odganiając potwory jeszcze dalej. Otchłańce wyły i przytykały łapy do głów, jakby fałszywe nuty sprawiały im ból.

Nie uciekły. Cofały się powoli, aż odnalazły odległość, z której dźwięki nie czyniły im krzywdy. Czekwały, a ich czarne ślepia odbijały blask płomieni.

Ten widok zmroził serce Rojera. Potwory wiedziały, że gra nie będzie trwać wiecznie.

* * *

Arrick nie przesadzał, kiedy mówił, że w siołach zostaną ugoszczeni jak bohaterowie. Ludzie ze Świerszczowej Ostoji nie mieli własnych Minstreli, a ponadto wielu z nich pamiętało jeszcze Arricka z czasów, gdy służył jako książęcy herold.

W wiosce znajdowała się niewielka gospoda, służąca za schronienie poganiaczom bydła i chłopom wędrującym z lub do Ostatniej Poręby i Doliny Pastuszków. Przyjęto tam Minstreli z otwartymi ramionami, zaproponowano im nocleg i ugoszczono jadłem. Podczas występu, na który przybyli wszyscy mieszkańcy wsi, sprzedano mnóstwo piwa, co zwróciło gospodarzowi koszt noclegu i posiłków dla gości. Wszystko toczyło się po ich myśli aż do chwili, gdy puścili w ruch kapelusz na datki.

* * *

– Kukurydza! – wrzeszczał Arrick, wymachując kolbą przed twarzą ucznia. – Do ciężkiej cholery, cóż my mamy z tym zrobić?!

– Zawsze można ją zjeść – zaproponował nieśmiało Rojer. Mistrz zgromił go wzrokiem, nie przestając dreptać wokół ogniska.

Chłopakowi podobało się w Świerszczowej Ostoi. Prości i serdeczni wieśniacy potrafili czerpać radość z życia. Mieszkańcy Angiers deptali po sobie, by usłyszeć grę Bezpalcego, kiwali z aprobatą głowami i klaskali, ale nawet w połowie nie byli tak skorzy do płasów i swawoli.

W Ostoi ludzie robili miejsce do tańca, ledwie zdążył wyjąć skrzypki z futerału. Nie trzeba było długo czekać, by zaczęli podskakiwać, wirować i śmiać się do rozpuku, pozwalając muzyce całkowicie sobą zawładnąć.

Bez wstydu ronili łzy, słuchając smutnych ballad Arricka, i wybuchali histerycznym śmiechem po jego sprośnych dowcipach. W ocenie Rojera stanowili wymarzoną publiczność.

Gdy ich występ dobiegł końca, okrzyki „Słodka Pieśń i Bezpalczy!” były wprost ogłuszające. Wszyscy proponowali im noclegi, a stoły uginały się od jadła i napitku. Rojer utonął w objęciach dwóch dziewcząt z kruczoczarnymi wprost oczyma, gdy został zaciągnięty za stóg siana i zasypyany całusami.

Arrick był mniej zadowolony.

– Jak mogłem zapomnieć, że tak to wygląda – ubolewał.

Rzecz jasna, miał na myśli kwestię datków. Na wsiach monety stanowiły rzadkość, a każdy pieniądz szedł na rzeczy najpotrzebniejsze – nasiona, narzędzia czy słupy runiczne. Na dnie kapelusza znaleźli co prawda dwa drewniaki, ale nie starczyłoby to nawet na zapłacenie za wino, które Arrick wypił w drodze z Angiers. Mieszkańcy Świerszczowej Ostoi płacili głównie ziarnem, rzadziej woreczkami soli bądź przyprawami.

– Handel wymienny! – parsknął Minstrel, jakby te słowa były przekleństwem. – Żaden spszedawsa wina w Angiersz nie przymie zapłaty

w jeszmienu!

Chłopi ze Świerszczowej Ostoi obdarowali ich również solonym mięsem, świeżym chlebem, skopkiem gęstej śmietany i koszem owoców, ciepłymi kocami i skrawkami skóry do łątania butów. Wszystkim, co mieli, dzielili się z wdzięcznością. Rojer nie jadł tak dobrze od czasu pobytu w książęcym pałacu i nie potrafił zrozumieć rozgoryczenia mistrza. Przecież zarobione monety wydaliby na te same dobra, którymi obdarowano ich z taką hojnością.

– Szynajmiej wino mieli... – burknął Arrick i pociągnął tęgi łyk. Rojer obrzucił bukłak nerwowym spojrzeniem. Zdawał sobie sprawę, że wino jedynie pogłębi frustrację mistrza, ale nie powiedział ani słowa. Żadna ilość alkoholu nie doprowadzała starego Minstrela do stanu rozdrażnienia porównywalnego z tym, jaki budziły prośby, by tak dużo nie pił.

– Mnie się podobało – wtrącił półgłosem chłopak. – Szkoda, że nie mogliśmy dłużej tam zostać.

– Bo ty się akurat sssnasz! Głupi szcyl jesteś... W Porębie będzie tak samo! – lamentował Arrick, patrząc pod nogi. – A Dolina Owcojebów to jusz kompeltne dno! Cóż mi do łba szczeliło, że zachooowłem ten chor... chorelny krąg?

Kopnął płytki przenośnej bariery, rozrzucając je dookoła, ale nic nie wskazywało, by się tym przejął. Krążył dalej wokół ogniska chwiejnym krokiem.

Rojer wstrzymał oddech, od zachodu dzieliło ich bowiem niewiele czasu. Nie odezwał się jednak słowem i szybko podbiegł do naruszonego miejsca kręgu. W gorączkowym pośpiechu ustawiał runy na właściwych pozycjach, nie przestając zerkać z lękiem na horyzont.

Skończył dosłownie w ostatniej chwili. Otchłańce zaczęły powstawać,

gdy wciąż wyglądał linę. Pierwszy z nich skoczył w kierunku chłopaka i odbił się od bariery z dzikim skrzykiem.

– Niech cię szlag! – wrzasnął Arrick. Uniósł wyzywająco podbródek i zachichotał, gdy demon wpadł na osłonę.

– Mistrzu, błagam! – Rojer pociągnął pijanego mężczyznę do środka kręgu.

– Jasssne, nasz Bezpalczy jusz zna się na wszystkim najlepiej! – zaszydził Minstrel, wrywając rękę. Zatoczył się przy tym, niemalże wypadając za runy. – Stary Arrick zapomniał, że tsza się czymać z dala od passsurów demonów, co?

– Przecież to nie o to chodzi!

– A ossso? Myślisz, że ssskoro tłumy skandują tfoje imię, to jusz znaszysz cokolwiek beze mnie, hę?

– Skądże, mistrzu...

– Nie se mno te numery! – Arrick raz jeszcze przytknął usta do szyjki bukłaka. Znów się zatoczył, a Rojer poczuł ścisk w gardle. Sięgnął do ukrytej kieszonki i potarł kciukiem jedwabiste włosy talizmanu, usiłując zaczerpnąć z niego siłę. – Jasssne, wołaj mamusię! – pisnął Minstrel, próbując wycelować palcem w ściskaną przez chłopaka laleczkę. – Jeszsz wspomnisz, kto cię wychował, kto wszyskiego nauczył! Oddałem ci całe swe żysie!

Rojer ścisnął kukielkę mocniej. Znów otoczyła go uspokajająca aura matki, znów usłyszał jej ostatnie słowa. Przypomniał sobie, jak Arrick pchnął ją na ziemię, i nagle poczuł, jak dławi go złość.

– Nie! – warknął. – Niczego nie oddałeś, a powinieneś był!

Minstrel wykrzywił twarz i ruszył w kierunku ucznia. Rojer usiłował się cofnąć, lecz wąski krąg nie zapewniał zbyt wielu dróg ucieczki, a na

zewnątrz szalały wygłodniałe demony.

– Oddawaj! – wrzasnął rozwścieczony mężczyzna, łapiąc chłopca za rękę.

– To moje!

Siłowali się przez chwilę, ale Arrick był większy, silniejszy i miał dwie zdrowe dłonie. Wyrwał chłopcu laleczkę i cisnął ją w ognisko.

– Nie!

Rojer przypadł do ognia. Rude włosy natychmiast zapłonęły, a zanim znalazł szczapę, którą mógłby wyłuskać talizman, zajęło się również drewno. W oszołomieniu patrzył, jak pożerają go płomienie. Nie potrafił opanować drżenia rąk.

Tymczasem Arrick niepewnym krokiem podszedł do demona, który przykucnął na skraju kręgu i szponami badał wytrzymałość bariery.

– To tfoja wina! Przes cibile to wszystko mi się przydaszyło! To przes cibile utrasilem possadę! Pszes cibile, ty niewsiężny gófniarzu!

Otchłaniec zawył, ukazując kły. W odpowiedzi Arrick zdzielił go buklakiem przez łeb. Skóra naczyń pękła, opryskując zarówno mężczyznę, jak i demona cieczą barwy krwi.

– Moje winooo! – wrzasnął Minstrel, gdy dotarło do niego, co właśnie zrobił. Ruszył w kierunku bariery, jak gdyby przekraczając ją, chciał zapobiec temu, co już się stało.

– Mistrzu, nie! – Rojer doskoczył do niego i zdrową dłonią złapał go za rzadki kucyk, a następnie wymierzył kopniaka w wewnętrzną stronę jego kolan. Arrick runął na ziemię, przygniatając czeladnika.

– Weś te łapy! – wycharczał nieświadomy, że chłopak właśnie ocalił mu życie. Zerwał się na nogi, pochwycił go za poły koszuli i wypchnął z kręgu.

Na ułamek sekundy wszystko zamarło. Przez twarz raptem otrzeźwiałego Arricka przemknął wyraz zrozumienia, a w tej samej chwili otchłaniec zaryczał triumfalnie.

Rojer wrzasnął, chcąc uciekać, ale bestia znajdowała się zbyt blisko. Uniósł dłonie w bezsensownej próbie stawienia oporu, nim jednak demon zdążył go pochwycić, rozległ się krzyk. Minstrel wpadł na napastnika i odepchnął go własnym ciałem.

– Wracaj do kręgu! – rozkazał.

Demon odplacił się Minstrelowi potężnym ciosem, wyrzucając go w powietrze. Arrick przetoczył się po ziemi. Jedna z jego nóg zawadziła o krąg, pociągnęła za linę i naruszyła ułożenie płytek.

Zewsząd wychyły demony gnające w kierunku luki w barierze, a Rojer uświadomił sobie, że od śmierci dzielą ich sekundy. Pierwszy z otchłańców już pędził w jego stronę, lecz drogę znów zastąpił mu Arrick.

– Skrzypki! Możesz je odgonić!

Ledwie zdążył wykrzyknąć te słowa, gdy jego pierś przeorały szpony jednego z potworów. Mężczyzna trysnął krwią z ust.

– Mistrzu! – Chłopak z niedowierzaniem zerknął na instrument.

– Ocal swe życie!

Ułamek sekundy później demon rozerwał Arrickowi gardło.

* * *

Gdy pierwsze promienie słońca przegnały demony do Otchłani, palce zdrowej ręki Rojera krwawiły. Chłopak chciał odłożyć skrzypki, ale rozprostowanie dłoni przyszło mu z największym trudem.

Grał przez całą noc, kuląc się w ciemnościach, gdy ognisko dogasło.

Wiedział, że demony wciąż na niego czyhają, więc niestrudzenie wygrywał fałszywe nuty, chcąc jak najdalej odegnać niebezpieczeństwo.

W jego melodii nie było piękna ani rytmu, w których mógłby się zatracić. Wydobywał z instrumentu chaotyczne piski i zgrzyty – nic, co pozwoliłoby mu choć na chwilę zapomnieć o otaczających go potwornościach. Teraz jednak, gdy patrzył na zakrwawione strzepy ubrań mistrza, na nowo zdjęło go przerażenie. Padł na kolana i zwymiotował.

Gdy wreszcie złapał oddech, dokładnie obejrzał poranione, łapano kurczami dłonie, błagając w myślach, by przestały dygotać. Było mu duszno i gorąco, choć twarz miał chłodną, jakby pozbawioną krwi. Żołądek wciąż dawał się we znaki, lecz nie miał już czego z siebie wyrzucić. Rojer otarł usta pstrokatym rękawem i zmusił się do powstania.

Chciał pochować szczątki Arricka, ale nie znalazł ich wiele. Natknął się jedynie na rozerwany przez demona but oraz mnóstwo krwi. Otchłańce nie wzgardziły nawet kośćmi i wnętrznościami. W trakcie uczty ogarnęło je istne szaleństwo.

Opiekunowie nauczali, że demony pożerają zarówno ciała, jak i dusze ofiar. Arrick zwykł jednak mawiać, że Święci Mężowie są jeszcze większymi oszustami od Minstreli. Chłopak pomyślał o talizmanie. Czy ten niepozorny przedmiot pozwalałby mu odczuwać bliskość matki, gdyby jej dusza została pożarta?

Spojrzał w zimne już popioły ogniska. Poczerniała, spękana laleczka wciąż leżała między szczapami, ale rozpadła się, gdy tylko jej dotknął. Nieco dalej od obozowiska znalazł pozostałości kucyka mistrza. Ujął kosmyk, bardziej już siwy niż złoty, i wsunął go do kieszeni.

Zrobi nowy talizman.

* * *

Zabudowania Ostatniej Poręby ukazały się oczom Rojera na długo przed zapadnięciem zmroku. Chłopak odetchnął z ulgą. Nie znalazłby w sobie dość siły, by przetrwać kolejną noc pod gołym niebem.

Rozwagał powrót do Świerszczowej Ostoi. Mógłby się stamtąd zabrać do Angiers z jakimś Posłańcem, ale oznaczałoby to konieczność wytłumaczenia, co zaszło na trakcie, a na to nie był jeszcze gotów. Zresztą jaki los czekał go w mieście? Nie uzyskałby przecież pozwolenia na występy, bo jego stary mistrz zdążył wejść w konflikt z każdym Minstrelem posiadającym jakąkolwiek władzę. Już lepiej pozostać na prowincji, gdzie nikt go nie znał i gdzie znajdował się poza zasięgiem gildii.

Podobnie jak w Świerszczowej Ostoi, uczciwi i porządni wieśniacy z Ostatniej Poręby powitali Minstrela z otwartymi ramionami. Uradowani jego niespodziewanym przybyciem, nie wypytywali nawet o okoliczności, które go sprowadziły w te strony.

Rojer przyjął ich gościnność z wdzięcznością. Co prawda czuł się jak oszust, podając się za Minstrela, podczas gdy był zaledwie czeladnikiem, ale wątpił, by dla mieszkańców wioski miało to jakiegokolwiek znaczenie. Czy nie chcieliby tańczyć do jego muzyki, gdyby znali prawdę? Czy jego dowcipy nie wzbudzałyby radości?

Nie ośmielił się jednak chwycić za kolorowe piłeczki, które nosił w worku z cudami. Nie chciał również śpiewać. Zamiast tego prezentował salta, chodzenie na rękach i wszystkie inne sztuczki zdolne zamaskować jego braki.

Ku jego wielkiej uldze wieśniacy nie prosili o nic więcej.

Odrodzenie

328 RP

Ciepłe promienie słońca przywróciły Arlenowi przytomność. Uniósł oblepioną piachem głowę i splunął zalegającym w ustach brudem. Z trudem podźwignął się na nogi. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się wydmy.

Wynieśli go na pustynię. Porzucili na pastwę losu.

– Tchórze! – krzyknął. – Wolicie, by pustynia wykonała za was całą robotę? To nie zmyje z was grzechu!

Poczuł, jak miękną mu kolana. Sięgnął do najgłębszych pokładów woli, chcąc ustać na nogach, ale przychodziło mu to z największym trudem. Całe jego ciało krzychało, by rzucił się na piasek i oczekiwał na śmierć. Zawirowało mu w głowie.

Przybył pomóc Krasjanom, a w zamian oni... Jak mogli go tak zdradzić?!

Nie okłamuj sam siebie, syknął głos w jego głowie. Bywało, że i ty zdradzałeś. Uciekłeś od ojca, gdy cię najbardziej potrzebował. Opuściłeś Coba przed ukończeniem nauki. Wyjechałeś, nie pożegnawszy się nawet z

Ragenem i Elissą. Zaś Mery...

– A kto zateśkni za tobą? – pytał Jardir. – Łzami po tobie nie napelni się choćby jednej buteleczki.

I miał rację.

Arlen wiedział, że jego śmierć odczuliby jedynie kupcy, a właściwie tylko ich sakiewki. Być może na to właśnie zasługiwał, po tym jak porzucił wszystkich, którzy go kochali. Być może zasługiwał na śmierć.

Ugięły się pod nim nogi. Piasek przyciągał go, wabił w swe objęcia. Już chciał mu ulec, gdy coś zwróciło jego uwagę.

Nieopodal leżał bukłak. Czyżby w duszy Jardira na moment zawitało poczucie przyzwoitości? A może to jeden z jego ludzi spojrzął za siebie i pożałował zdradzonego Posłańca?

Arlen podpełzł do bukłaka i pochwycił go jak linę rzuconą tonącemu. Może mimo wszystko ktoś uroniłby po nim łzę.

Nie miało to jednak większego znaczenia. Nawet gdyby powrócił do Krasji, nikt nie uwierzyłby *chin* oskarżającemu Sharum Ka. Na rozkaz Jardira *dal'Sharum* zabiliby przybysza bez chwili wahania.

Czy zatem powinien zostawić im włócznię, której odnalezienie mógł przypłacić życiem? Czy powinien zostawić Świta, przenośne kręgi, cały dobytek?

Te myśli pobudziły go do działania. Sięgnął do pasa i z ulgą odkrył, że nie utracił wszystkiego. Przy pasku nadal wisiała prosta skórzana sakwa, którą zawsze zakładał przed walką w Labiryncie. Trzymał w niej drobny zestaw do kreślenia runów, sakiewkę z ziołami oraz... Oraz swój kajecik.

Fakt, że nie utracił tego jednego jedyne notatnika, całkowicie zmieniał postać rzeczy. Odebrano mu inne księgi, ale wszystkie razem nie były warte tyle, co ten jeden zeszyt. Od dnia wyjazdu z Miln

przerysowywał do niego każdy nowy run.

Wliczając również te z włóczni.

Niech zatrzymają tę przeklętą włócznie, skoro tak bardzo jej pragną, pomyślał. Zrobię dla siebie nową.

Tym razem dźwignął się szybko i zdecydowanie. Chwycił nagrany bukłak, pozwolił sobie na jeden łyk, a potem zarzucił go na ramię i wszedł na szczyt najbliższej wydmy.

Ośloniwszy oczy, dostrzegł w oddali Krasję migoczącą niczym fatamorgana. Dzięki temu zdołał mniej więcej ustalić położenie Oazy Świtu. Bez konia musiałby spędzić pod gołym niebem co najmniej siedem nocy, pozbawiony przenośnego kręgu. Woda skończyłaby się znacznie wcześniej, ale wątpił, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Piaskowe demony dopadną go pierwsze.

* * *

Arlen przeżuwał rozchodnika. Gorzki korzeń niemalże wywoływał torsje, ale chronił przed infekcją – podczas bitwy z demonami młodzieniec odniósł kilka płytkich ran. Poza tym nie miał nic do jedzenia, a w tej sytuacji nawet mdłości były lepsze od głodu.

Pił regularnie, choć oszczędnie, lecz jego gardło pozostawało wyschnięte i obrzmiałe. W obawie przed morderczym światłem zawiązał sobie koszulę wokół głowy. Odślonił jednak w ten sposób plecy poznaczone żółtymi i fioletowymi sińcami powstałymi podczas bójki z ludźmi Jardira, przez co każdy krok w palącym słońcu wydawał się torturą.

Mimo to kontynuował wędrowkę aż do chwili, gdy pomarańczowa tarcza słońca zetknęła się z horyzontem. Miał wrażenie, jakby w ogóle nie

ruszył z miejsca, ale długi sznur rozwiewanych przez wiatr śladów świadczył, że pokonał zaskakująco dużą odległość.

Nadeszła noc, a wraz z nią zimno i otchłańce. Każdy z tych żywiołów mógł go zabić, tak więc Arlen schronił się przed oboma pod powierzchnią piasków, by utrzymać ciepłotę ciała i zniknąć demonom z oczu. Wcześniej zwinął czystą kartkę z notatnika w wąską rurkę do oddychania, ale mimo to nie mógł się pozbyć uczucia, że jeśli nawet otchłańce go nie odkryją, to prędzej czy później udusi go piach. Gdy słońce wreszcie wstało, nagrzewając pustynię, wydostał się na powierzchnię i ruszył w dalszą drogę, choć nie czuł się ani odrobinę wypoczęty.

Tak mijał dzień za dniem, noc za nocą. Nie jadł, nie odpoczywał, zadowalał się ledwie kilkoma łykami wody na dzień i stopniowo tracił siły. Popękana skóra krwawiła z dziesiątek drobnych ran, ale nie zwracał na to uwagi, parł dalej naprzód. Promienie słońca dokuczały coraz bardziej, a płaski horyzont wcale się nie przybliżał.

Któregoś dnia zgubił buty. Nie wiedział jak ani kiedy. Gorący piasek poranił jego stopy do żywego, więc oderwał rękawy koszuli, by je obwiązać.

Coraz częściej upadał. Czasami udawało mu się natychmiast powstać, bywało jednak, że odzyskiwał przytomność dopiero po kilku godzinach. Czasem przewracał się świadomie i staczał po zboczu wydmy. Wyczerpany do granic, poczytywał je za błogosławieństwo i wytchnienie od cierpień, jakie wywoływał każdy krok.

Nim skończyła się woda, stracił rachubę czasu. Nadal znajdował się na pustynnym trakcie, ale nie miał pojęcia, jak daleko zaszedł. Wyschnięte, spękane rany i pęcherze nie broczyły już krwią, jak gdyby wszystkie soki jego ciała zdążyły wyparować.

Znów upadł. Nie potrafił znaleźć powodu, by się podnieść.

* * *

Arlen poderwał się z wilgotną twarzą. Zapadał zmierzch, co powinno było napełnić go przerażeniem, ale skrajne wycieńczenie pozbawiło go wszelkich ludzkich odruchów.

Spojrzał w dół i raptem dotarło do niego, że leży na skraju sadzawki w Oazie Świtu z dłońmi zanurzonymi w wodzie.

Jak się tam dostał? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał... Nie, nawet tego nie wiedział. Cała wędrówka przez pustynię zlała się w jedno nieczytelne wspomnienie, ale nie dbał o to. Najważniejsze, że dotarł do celu. Tylko to się liczyło. W otoczonej runicznymi obeliskami oazie był bezpieczny.

Chciwie zaczerpnął wody z sadzawki. Zaraz potem zwymiotował wszystko, co wypił, i zmusił się do popijania drobnymi łyżkami. Gdy wreszcie zaspokoił pragnienie, zamknął oczy i zapadł w sen. Spał mocno, bez końca, po raz pierwszy od ponad tygodnia.

Po przebudzeniu splądrował oazę. Oprócz prowiantu znalazł sporo potrzebnego ekwipunku: koce, zioła, a nawet dodatkowy zestaw do kreślenia runów. Zbyt osłabiony, by szukać pożywienia, spędził kilka dni na jedzeniu ususzonych zapasów, picciu chłodnej wody i opatrywaniu ran. Po upływie tego czasu zaczął zrywać owoce. Po tygodniu znalazł w sobie siłę, by łapać ryby, po dwóch potrafił wstać i przeciągnąć się, nie krzywiąc twarzy z bólu.

Oaza stanowiła źródło wystarczającej ilości pożywienia, by mógł pieszo przemierzyć całą pustynię. Wiedział, że w dniu, kiedy wreszcie wypełźnie z wyschniętych równin, będzie na wpół martwy, lecz zarazem

na wpół żywy.

Znalazł kilka włóczni, ale w porównaniu ze wspaniałą stalową bronią zaostrzone drewno wydawało się żałośnie nieskuteczne. Bez lakieru do utwardzania symboli wyryte znaki mogłyby ulec uszkodzeniu przy pierwszym natarciu na twarde łuski otchłańca.

Co mu zatem pozostawało? Dysponował tajemnicą runów zdolnych siać spustoszenie, ale nie posiadał odpowiedniej dla nich broni. Zastanawiał się, czy nie wymalować znaków na kamieniach, by ciskać nimi w demony lub w ostateczności trzymać je w rękach... Wybuchnął śmiechem. Skoro planował podejść tak blisko wroga, równie dobrze mógł wymalować runy na dłoniach.

Śmiech zamarł mu na wargach, w chwili gdy myśl ostatecznie się wykryształizowała. A może to nie taki zły pomysł? Gdyby zadziałał, Arlen otrzymałby broń, której nikt by mu nie ukradł, której żaden otchłaniec nie wytrąciłby mu z rąk, którą zawsze miałby przy sobie. Wyjął kajecik i dokładnie przestudiował znaki przerysowane z końców włóczni. Właśnie one zaliczały się do runów wojennych, podczas gdy pozostałe były runami obronnymi. Zauważył, że symbole na tęym końcu broni nie łączyły się z innymi, nie tworząc ciągłej linii w przeciwieństwie do tych z ostrza. Identyczne znaki wygrawerowano wokół końcówki włóczni i na jej płaskim zakończeniu. Być może to one umożliwiały ogłuszanie demonów.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a Arlen kreślił na ziemi run odpowiedzialny za ogłuszanie. Rysował go tak długo, aż nabrał pewności, że nie popełnił żadnego błędu. Wtedy wyciągnął pędzel i miseczkę z farbą z zestawu do malowania znaków i starannie naniósł symbol na lewą dłoń. Dmuchał na nią lekko, aż farba całkiem wyschła.

Malowanie prawej dłoni stanowiło większe wyzwanie, ale młodzieniec

pamiętał z własnego doświadczenia, że przy odpowiedniej dozie koncentracji potrafił kreślić runy również lewą dłonią, choć zazwyczaj trwało to dłużej.

Gdy nastały ciemności, delikatnie zacisnął dłonie, by się upewnić, że farba nie popęka bądź nie odpadnie. Usatysfakcjonowany, podszedł do chroniących oazę obelisków i przyjrzał się krążącym nieopodal demonom, które już wywęszyły zdobycz.

Stojący najbliżej bariery otchłaniec niczym się nie wyróżniał. Był to zwykły piaskowy demon mierzący około czterech stóp, z długimi przednimi i muskularnymi tylnymi odnóżami. Spostrzegłszy ofiarę, zaczął wywijać najeżonym kolcami ogonem.

W chwilę później zaszarżował. Gdy odbił się do skoku, Arlen częściowo zasłonił dwa znaki. Osłona została przerwana i potwór przeleciał przez nią, zaskoczony brakiem oporu. Młodzieniec błyskawicznie cofnął dłoń. Cokolwiek miało się wydarzyć, demon nie miał szans przeżyć. Istniały tylko dwie możliwości – albo zginie z ręki człowieka, albo go zabije i spłonie w promieniach wschodzącego słońca. Ucieczka z silnie chronionej oazy stanowiła trud ponad jego siły.

Demon zerwał się na nogi, sycząc i szczerząc rzędy zębów. Zatoczył krąg. Jego węzlaste mięśnie napinały się, gdy poruszał energicznie ogonem. Nagle zaryczał niczym tygrys i skoczył.

Arlen wyciągnął przed siebie dłonie. Miał dłuższe ręce od odnóży potwora i ledwie dotknął jego łuskowatej piersi, runy rozbłysły. Ciszę nocy przeciął dziki skowyt. Demon odbił się od znaków i z łoskotem uderzył w ziemię kilka kroków dalej. Arlen wyraźnie widział smużki dymu unoszące się z jego ciała. Rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu.

Otchłaniec poderwał się i znów zaczął krążyć wokół człowieka, tym

razem z większą uwagą. Nie nawykł do oporu ze strony zdobywcy, ale szybko odzyskał odwagę i po raz drugi zaszarżował.

Arlen pochwycił demona za przednie łapy i padł na plecy, by go przerzucić za siebie nogą. Gdy zacisnął dłonie, runy znów rozbłysły. Magia zadziałała. Nie poczuł bólu, choć ciało potwora zaskwierczało pod wpływem jego dotyku, ale przez dłoń przebiegło mu osobliwe mrowienie i pomknęło wyżej wzdłuż ramion.

Obaj przeciwnicy natychmiast poderwali się z ziemi. Arlen warknął w odpowiedzi na parskanie demona. Bestia polizała poparzone nadgarstki, usiłując załagodzić ból, a w jej ślepiach pojawił się respekt. Respekt oraz lęk. Młodzieniec zrozumiał, że tym razem to on jest drapieżnikiem.

Owa pewność siebie niemalże go zgubiła. Demon zaskrzeczał i rzucił się do kolejnego natarcia. Tym razem to Arlen zareagował zbyt wolno. Usiłował wykonać unik, ale czarne szpony rozcięły mu skórę na piersi.

Zdzielił potwora pięścią, zapominając, że runy znajdują się po wewnętrznej stronie dłoni. Poranił sobie kłykcie o chropowaty pancerz poczwary, która nawet nie poczuła uderzenia, a zaraz potem zaatakowała na oślep i posłała przeciwnika na piasek.

Arlen toczył się i wił, uciekając przed szponami, kłami i tłukącym o ziemię ogonem. Prawie zdołał się podnieść, gdy demon naprężył ciało do skoku i przygwoździł go do ziemi. Młodzieniec zdołał odepchnąć napastnika kolanem, czując na twarzy ciepło jego cuchnącego oddechu. Szczęki kłapnęły ledwie cal od jego twarzy.

Wyszczerzył zęby i złapał demona za uszy. Runy rozbłysły. Bestia syknęła z bólu, ale człowiek trzymał ją mocno. Z miejsc, gdzie zacisnął dłonie, unosił się już dym. Wierzgała jak szalona i rozcinała powietrze szponami, usiłując wyrwać się na wolność.

Arlen jednakże nie miał zamiaru puścić chwytu. Z każdą chwilą mrowienie zyskiwało na intensywności, nabierało mocy. Naparł dłońmi, chcąc zmiażdżyć potworowi czaszkę, i ku swemu zdumieniu odkrył, że nie czuje oporu, zupełnie jakby łeb otchłańca zaczynał się rozpływać.

Gdy demon nieco osłabł, Arlen przetoczył się i przycisnął go do ziemi. Długie szpony pochwyciły go za ramiona, otchłaniec walczył desperacko, próbując odepchnąć napastnika – bez skutku.

Młodzieniec napiął mięśnie i w jednej chwili czaszka bestii pękła, obryzgując go krwią i kawałkami mózgu.

Igły i atrament

328 RP

Arlen nie zmrużył tej nocy oka, bynajmniej nie ze względu na ból odniesionych w starciu ran. Przez całe życie śnił o bohaterach z opowieści Minstreli, noszących bogate zbroje i walczących z otchłańcami przy pomocy runicznego oręza. Gdy odnalazł włócznie, zaczął myśleć, że spełnienie marzenia leży w jego zasięgu, ledwie jednak wyciągnął po nie rękę, wyslizgnęło mu się spomiędzy palców.

Jak dotąd nic, zupełnie nic, nawet ta noc, gdy przemierzał Labirynt niepokonany, nie mogło się równać ze świadomością, że na własnych warunkach wydał walkę otchłańcowi. Nic nie mogło zastąpić owego niezwykłego uczucia, gdy magia jego rąk wypalała z bestii życie. Łaknął go jeszcze więcej, a to stawiało wszystkie jego dotychczasowe pragnienia w nowym świetle.

Gdy wracał wspomnieniami do wydarzeń w Krasji, dochodził do wniosku, że jego nadzieje nie były tak uzasadnione, jak początkowo sądził. Obojętnie, co sobie wmawiał, chciał przecież zostać kimś więcej niż tylko kowalem czy też wojownikiem pośród równych sobie ludzi. Od zawsze

pragnął chwały. Pragnął sławy. Pragnął przejść do historii jako ten, który na nowo powiódł mężczyzn do walki.

Jako Wybawiciel?

Ta myśl nim wstrząsnęła. Żeby zbawienie ludzkości miało sens, zaś nade wszystko szanse powodzenia, musiało zostać zainicjowane przez wszystkich ludzi, a nie samotnego wojownika.

Ale czy ludzkość pragnęła zbawienia? Czy na nie zasługiwała? Arlen nie miał już co do tego pewności. Mężczyźni pokroju jego ojca utracili wolę walki, wystarczała im świadomość, że są bezpieczni za murami chronionymi przez runy. Zastanowił się, czy to, co ujrzał w Krasji, a teraz odkrył w sobie, przypadłoby do gustu jego rodakom na Północy.

Sam nie potrafiłby już zawrzeć pokoju z otchłańcami. W głębi serca wiedział, że teraz, gdy znał inne metody walki, nie usiedziałyby za barierą runiczną, pozwalając demonom na dzikie płasy. Kto jednak zechce stanąć po jego stronie? Kto wyruszy z nim na wojnę? Jeph uderzył go za sam taki pomysł. Elissa surowo go ofuknęła. Mery postanowiła go unikać, a Krasjanie zabić.

Od owej pamiętnej nocy, gdy ujrzał ojca za runami na ganku, ojca, który beczynn timer przyglądał się śmierci żony, od tego momentu wiedział, że najpotężniejszą bronią otchłańców jest strach. Nie rozumiał jedynie, że strach przybiera rozliczne formy. Nawet jego prześladował strach, który od zawsze usiłował zignorować – strach przed samotnością. Potrzebował kogoś – kogokolwiek – kto w niego uwierzy. Kogoś, kto go wesprze w walce.

Lecz nikogo takiego nie było. Widział to teraz aż nazbyt wyraźnie. Jeśli pragnął towarzystwa, musiał powrócić do miast i zaakceptować ich zwyczaje. Jeśli chciał walczyć, musiał chwycić za broń w pojedynkę.

Poczucie siły i towarzyszące mu uniesienie, wrażenia tak świeże w jego umyśle, zaczęły przygasać. Skulił się, objął mocno kolana i spojrzał w pustynię, poszukując drogi, która nie istniała.

* * *

Arlen wstał o wschodzie słońca i poczłapał do sadzawki, by oczyścić rany. Co prawda starannie je zaszył i zastosował okłady, ale obrażenia zadane przez otchłānce wymagały ciągłej uwagi. Gdy obmywał twarz, na powierzchni wody dostrzegł odbicie tatuażu.

Wszyscy Posłańcy nosili tatuaże symbolizujące ich rodzinne miasto. Świadczyły one o tym, jak dalekie podróże nieraz odbywali. Arlen dobrze pamiętał dzień, w którym Ragen pokazał mu swój – rozległe zabudowania pośród gór, symbol widniejący na sztandarach Miln. Młodzieniec zamierzał sprawić sobie identyczny po ukończeniu pierwszej misji. Odwiedził nawet tatuażystę, zdecydowany nosić symbol profesji po kres życia, ale ogarnęły go wątpliwości. Choć z wielu powodów uważał Miln za swój dom, urodził się przecież gdzie indziej.

Potok Tibbeta nie miał własnego sztandaru, tak więc Arlen wybrał herb barona Tibbeta – żyzne pola rozcięte blizną strumienia wpadającego do niewielkiego jeziora. Tatuażysta ujął igły i uwiecznił na ramieniu chłopaka miejsce jego urodzenia.

Po wsze czasy.

Arlen uważnie przyglądał się tatuażystce przy pracy. Jego fach niewiele się różnił od fachu Patrona Runów – mężczyzna wyrysowywał symbole precyzyjnie, w należytych, ściśle określonych odstępach, wiedząc, że nie może popełnić błędu. W sakiewce z ziołami młody Posłaniec trzymał igły,

a w przyborniku do malowania runów atrament.

Arlen rozpalił niewielki ogień, usiłując przypomnieć sobie każdą chwilę wizyty u tatuażysty. Nalał odrobinę gęstego atramentu do niewielkiej miseczki, a nad płomieniami rozgrzał igły. Oznaczył je nićmi, by wiedzieć, do jakiej głębokości wbijać je w skórę, i dokładnie obejrzał lewą dłoń. Nie chciał przeoczyć żadnej zmarszczki czy fałdki powstającej na skutek zginania palców. Gdy w końcu uznał, że jest gotów, ujął igłę i zanurzył ją w atramencie.

Szło mu wolno. Co chwila musiał przerywać, by oczyścić skórę z krwi i zbędnego atramentu. Czasu miał pod dostatkiem, więc działał uważnie, bez pośpiechu, aby palce dzierżące igłę nawet nie zadrżały. Około godziny dziesiątej z zadowoleniem uznał tatuaż za gotowy. Zrobił sobie okład z ziół i dokładnie zabandażował dłoń, po czym przystąpił do uzupełniania zapasów. Pracował bez wytchnienia przez resztę dnia i cały następny, wiedząc, że opuszczając Oazę Świtu, będzie musiał zabrać tyle zapasów, ile tylko zdoła unieść.

* * *

Arlen pozostał w oazie jeszcze przez tydzień, każdego ranka znacząc skórę kolejnymi runami, a popołudniami zbierając pożywienie. Tatuaze na dłoniach goiły się szybko, ale młodzieniec już wprowadzał w życie kolejne pomysły. Pamiętając efekt uderzenia otchłānca pięścią, wytatuował znaki na kłykciach lewej dłoni. To samo zrobił na kłykciach prawej, gdy tylko zeszły z nich strupy. Od tej pory demony będą odczuwać siłę jego ciosów.

Pochłonięty pracą, raz za razem odtwarzał w głowie niedawne starcie. Usiłował sobie przypomnieć ruchy piaskowego demona, sygnały

zwiastujące natarcie i jego przebieg. Wszystko to spisywał, a następnie wielokrotnie czytał i rozmyślał nad sposobami usprawnienia metod walki. Nie było go stać na kolejne potknięcie.

Krasjanie doprowadzili brutalną, lecz precyzyjną *sharusahk* do poziomu niemalże sztuki. Zaczął więc naśladować poszczególne ruchy tego stylu, dopasowując do niego umiejscowienie tatuaży.

Opuszczając wreszcie Oazę Świtu, zdecydował Porzucić pustynny trakt i przeciąć piaski w drodze do Słońca Anocha. Wziął tyle suszonego prowiantu, ile potrafił unieść. W zaginionym mieście znajdowała się co prawda studnia, ale brakowało źródeł pożywienia, a planował spędzić tam więcej czasu.

Wiedział jednak, że wody nie starczy mu na całą drogę. W oazie znalazł zaledwie kilka zapasowych bukłaków. Zgromadzona w nich woda skończy się po tygodniu, tymczasem podróż do celu mogła potrwać nawet i dwa.

Mimo to nie spojrzął za siebie ani razu.

Za mną nie ma już nic, pomyślał. Mogę tylko iść przed siebie.

Choć zasłona zmierzchu z wolna opadała na świat, Arlen kontynuował wędrówkę, nawet nie myśląc o rozbijaniu obozowiska. Gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym niebie i odnajdowanie właściwego kierunku przychodziło mu bez trudu, łatwiej nawet niż za dnia.

Tak głęboko w pustyni grasowało niewiele otchłańców. Demony zwykły gromadzić się w miejscach, gdzie mogły liczyć na jakąś zdobycz, a na jałowych piaskach nie było jej wiele. Arlen maszerował długie godziny w zimnym blasku księżyca, nim pierwsza bestia zwęszyła jego trop. Usłyszał jej wrzaski na długo, nim ją zobaczył, ale nawet nie próbował uciekać, świadom, że otchłaniec w końcu go dogoni. Nie chciał się

również chować – tej nocy miał jeszcze sporo do przejścia. Przyjął postawę bojową i czekał. Niebawem piaskowy demon wychynął w długich susach zza wydmy.

Zawahał się, napotkawszy spokojne spojrzenie człowieka. Warknął i wierzgnął pazurzastą łapą, ale Arlen zbył ten pokaz uśmiechem. Demon wyryczał wyzwanie, lecz jego przeciwnik nie zareagował. Miał tego zaczął się rozglądać. Poszukiwał oznak ruchu na skraju widoczności, słuchał szeptu wiatru i szelestu piasku, wachał chłodne powietrze.

Piaskowe demony polowały w watachach. Do tej pory Arlen nie spotkał samotnego osobnika i nie wierzył, by ten stanowił wyjątek. Jego ostrożność została wynagrodzona – gdy na powrót skupił uwagę na parszkającym otchłańcu, po obu stronach zjawiły się dwa inne, ciche niczym cienie i niemalże niewidoczne. Młodzieniec udawał, że ich nie dostrzega, i wbił wzrok w tego, którego miał przed sobą. Potwór zaczął się przybliżać.

Zgodnie z oczekiwaniami atak nie nadszedł z jego strony, lecz z boków. Spryt demonów wzbudzał respekt. Arlen przypuszczał, że tak daleko na pustyni, gdzie widać wszystko na wiele mil w każdym kierunku, a wiatr niesie najcichszy nawet dźwięk, wypracowanie form ataku z zaskoczenia stało się przymusem.

Młodzieniec co prawda nie czuł się jeszcze myśliwym, ale nie stanowił już łatwej zdobyczy. Gdy demony po jego bokach ruszyły do natarcia z wyciągniętymi pazurami, Wystrzelił w kierunku otchłańca, do którego zadań należało jedynie przyciągnięcie uwagi.

Nacierające demony ostro skrzyły, w ostatniej chwili unikając zderzenia, a ich trzeci towarzysz cofnął się, zaskoczony niespodziewanym manewrem człowieka. Poruszał się szybko, ale Arlen błyskawicznie

wyprowadził cios lewą ręką. Runy na kłykciach zaświeciły, skóra potwora zasyczała w miejscu uderzenia, a on sam zachwiał się na nogach. Młodzieniec jednakże dopiero przygotowywał właściwy atak i zdzielił przeciwnika otwartą dłonią w ślepią. Magia rozbłysła i otchłaniec z dzikim wrzaskiem rzucił się do przodu.

Arlen przewidział ten ruch. Odskoczył, przetoczył się po ziemi i poderwał na nogi ledwie kilka stóp od oślepionego potwora, by stanąć twarzą w twarz z dwoma pozostałymi, które już pędziły w jego kierunku.

Znów poczuł respekt. Otchłańce zrozumiały początkowy błąd i atakowały jeden po drugim, by nie mógł ich wykorzystać przeciwko sobie.

Zmiana taktyki na niewiele się jednak zdała, gdyż dzięki niej Arlen mógł skupić uwagę na każdym napastniku z osobna. Gdy pierwszy znalazł się dość blisko, wystrzelił ku niemu i pochwycił go za uszy. Nagły wybuch magii posłał demona na piasek, gdzie już pozostał, wijąc się z bólu i przeraźliwie piszcząc.

Druga bestia, nacierająca zaraz za nim, zdążyła wyskoczyć w powietrze i młodzieniec nie miał czasu na unik czy uderzenie. Na szczęście w porę przypomniał sobie sztuczkę z poprzedniego starcia – pochwycił demona za nadgarstki i przewrócił się na plecy, kopiąc go przy tym w podbrzusze. Ostre krawędzie łusek poraniły mu stopy, przeciąwszy osłaniający je materiał, ale nawet na chwilę nie wytrąciło go to z równowagi. Bez trudu wykorzystał pęd napastnika, by go odrzucić daleko za siebie. W pobliżu nadal miotał się otchłaniec, którego wcześniej oślepił, ale nie stanowił na razie większego zagrożenia.

Zanim odrzucony kopniakiem demon zdążył się pozbierać, Arlen przypadł do jego pobratymca, który wciąż leżał na piasku. Wbił mu kolano w plecy, ignorując ból przecinanej ostrymi łuskami skóry, a następnie

jedną ręką złapał go za gardło, a drugą naparł na tył głowy. Niemalże natychmiast poczuł, jak w jego dłoniach gęstnieje magia, ale chwilę później musiał puścić przeciwnika i odtoczyć się na bok. Odrzucony przed chwilą otchłaniec przystąpił już do kontrataku.

Arlen skoczył na równe nogi i stanął twarzą do przeciwnika. Ostrożnie zataczali wokół siebie kręgi, aż bestia zdecydowała się na atak. Wtedy zgiął nieco kolana, chcąc uskoczyć przed pazurami, ale rozpędzony otchłaniec niespodziewanie zahamował i zawirował wokół własnej osi. Zza jego pleców wystrzelił gruby ogon i powalił Arlena na ziemię.

Młodzieniec przeturlał się w ostatniej chwili. W miejscu, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy trzymał głowę, z łoskotem uderzyły kolce ciężkiego ogona. Odtoczył się, z trudem unikając kolejnego ciosu. Gdy piaskowy demon chciał wziąć następny zamach, Arlen zdołał go pochwycić jedną ręką za ogon. Zacisnął mocno dłoń, a magia natychmiast zaczęła się gromadzić, najpierw dając o sobie znać intensywnym mrowieniem, a potem przepływającym przez ramię gorącem. Bestia wyla i wierzgała odnóżami, ale pochwycił ją teraz także drugą ręką. Magia nabierała mocy, aż wreszcie przepaliła ogon na wylot. Ciągający się wzdłuż niego ostry grzebień łusek wystrzelił w powietrze wraz ze strumieniami czarnej krwi.

Eksplozja odrzuciła Arlena, a uwolniony wreszcie otchłaniec zaszarżował z furją. Młodzieniec pochwycił lewą ręką jeden z jego nadgarstków i prawym łokciem grzmotnął potwora w gardziel, ale pozbawiony magicznej mocy cios nie przyniósł wiele pożytku. Bestia napięła muskularne ramiona i wyrzuciła przeciwnika w powietrze.

Skoczyła. Arlen wykrzesał z siebie ostatki sił i ruszył jej naprzeciw. Pochwycił ją za gardziel i cisnął nią do tyłu. Pazury otchłania zacięły go w

ramię, ale nie dosięgły piersi. Oboje uderzyli w ziemię. Arlen doskoczył do przeciwnika i zdołał przygnieść kolanami jego stawy. Unieruchomił go swym ciężarem i dusił ze wszystkich sił, czując, jak z każdą sekundą magia potężnieje.

Otchłaniec ciskał się i miotał, ale okryte runami dłonie napierały coraz silniej, przepalając łuski i wdzierając się we wrażliwe ciało skryte pod powierzchnią nieskutecznego już pancerza. Zaraz potem kości trzasnęły.

Młodzieniec powstał znad bezgłowego demona i rozejrzał się w poszukiwaniu pozostałych. Ten, którego złapał wcześniej za uszy, odczołgiwał się niemrawo na bok, całkiem utracił wolę walki. Jego oślepiiony towarzysz znikł, ale Arlen nie poczytywał tego za powód do zmartwień. Nie zazdrościł okaleczonej bestii drogi powrotnej do Otchłani, nie wątpił, że pobratymcy wcześniej rozerwą ją na kawałki.

Dobił demona drapiącego szponami piaski, zabandażował rany i po krótkim odpoczynku ruszył w dalszą drogę ku Słońcu Anocha.

* * *

Arlen podróżował za dnia i w nocy, do snu kładąc się w cieniu wydm, gdy słońce stało w zenicie. Tylko dwukrotnie został zmuszony do walki, raz z kolejną grupą piaskowych demonów i raz z samotnym wichrowym. Poza tymi trzema starciami nikt go nie niepokoił.

Nocą, gdy nie czuł zabójczego upału, pokonywał znacznie większy dystans. Po siedmiu dniach od opuszczenia oazy całe ciało miał wysmagane wiatrem i spieczone słońcem, stopy pokryte krwawiącymi pęcherzami, a w bukłakach grało już tylko echo, ale gdy w oddali ujrzął zabudowania Słońca Anocha, poczuł, jak wstępuje w niego nowa siła.

W jednej z nielicznych czynnych studni zaspokoił pragnienie i uzupełnił zapasy wody, a potem przystąpił do stawiania bariery runicznej wokół budynku prowadzącego do katakumb, w których odnalazł włócznie. W sąsiednich ruinach natrafił na drewniane wsporniki, niewykazujące śladów gnicia czy zmurszenia dzięki pustynnemu klimatowi. Poznosił je na opał, wybierał też gałęzie suchych krzewów z okolicy. Trzy zabrane z oazy pochodnie i garstka świec nie mogły wystarczyć na długo, a do podziemi nie docierało naturalne światło.

Starannie podzielił na racje kurczące się zapasy żywności. Skraj pustyni, gdzie mógł liczyć na ich uzupełnienie, znajdował się w odległości przynajmniej pięciu dni marszu. Gdyby szedł również w nocy, być może pokonałby ów dystans w trzy dni. Miał więc niewiele czasu, a mnóstwo do zrobienia.

Przez cały tydzień badał katakumby i starannie przerysowywał wszystkie nowe runy. Znalazł kolejne grobowce, ale żaden z nich nie krył broni podobnej do wspaniałej stalowej włóczni. Mimo to na samych sarkofagach i słupach odkrył mnóstwo nieznanymi symboli. Kilka z nich wpleciono również w historie wymalowane na ścianach. Arlen nie potrafił odczytać piktogramów, ale sporo rozumiał z języka ciała i wyrazów twarzy postaci. Obrazy wykonano z taką precyzją, że można było odcyfrować znaki zdobiące oręż wojowników.

Na całej serii przedstawień uwieczniono również nieznanymi młodzieńcowi rodzaj otchłańców. Mężczyźni i kobiety ginęli z rąk napastników, którzy, pomijając wielkie szpony i kły, przypominali ludzi. Na środkowym obrazie historii chudy demon z wrzecionowatymi kończynami, wątlą klatką piersiową i głową nieproporcjonalnie wielką w stosunku do ciała przewodził hordzie innych potworów. Stał naprzeciw

człowieka w długich szatach, za którego plecami znajdowała się podobna liczba wojowników. Oblicza mężczyzny i otchłańca były wykrzywione z bólu bądź wysiłku, jakby toczyli bój samą siłą myśli. Otaczała ich świetlista aureola.

Co najdziwniejsze, ów mężczyzna nie miał broni. Źródłem emanującego zeń światła wydawał się run wymalowany – a może wytatuowany? – na czole. Na kolejnym malowidle Arlen ujrzał demona i jego towarzyszy ratujących się ucieczką, podczas gdy ludzie wznosili włócznie w geście triumfu.

Starannie przerysował znak z czoła mężczyzny do notatnika.

Dni mijały, a zapasy topniały w oczach. Gdyby postanowił zabawić w Słońcu Anocha choć dzień dłużej, musiałyby głodować w drodze powrotnej. Zdecydował, że o brzasku wyruszy w kierunku Fortu Rizon. Gdy dotrze do miasta, spienięży kwity i kupi konia oraz wystarczającą ilość prowiantu, by powrócić do ruin.

Drażniło go jednak, że musi je opuścić, ledwie rozpoczynając poszukiwania. W katakumbach znajdowało się przecież wiele zasypanych tuneli i potrzeba było czasu, by się przez nie przekopać. Wiele stojących nadal budynków mogło też kryć zejścia do podziemnych komnat. Ruiny zaginionego miasta strzegły tajemnic potęgi zdolnej zgładzić demowi rodzaj, a po raz drugi opuszczał je z powodu pustego żołądka.

Gdy siedział pogrążony w zadumie, spod piasków zaczęły powstawać otchłańce. Pomimo braku jakiegokolwiek zdobyczy do Słońca Anocha przybywały ich całe hordy. Może czekały na dzień, gdy pogorzeliśko znów zatętni życiem, a może po prostu czerpały przyjemność z faktu, że rządzą miastem, którego mieszkańcy niegdyś rzucili im wyzwanie.

Młodzieniec podszedł do krawędzi bariery. Zaburczało mu w żołądku.

Wpatrzony w roztańczone potwory, bynajmniej nie po raz pierwszy pogрузił się w rozmyślaniach nad ich naturą. Były magicznymi istotami, wytrzymałymi i nieludzkimi. Niszczyły, ale nie tworzyły. Nawet ich ścierwa spalały się, miast zgnić, by użyźnić glebę. Tymczasem niejeden raz widział, jak jedzą i załatwiają potrzeby. Czy ich natura naprawdę stała w sprzeczności z naturalnym porządkiem świata?

Któryś z otchłańców zawył.

– Czym ty jesteś? – zapytał Arlen, ale bestia jedynie natarła na runy i warknęła z frustracją, gdy odrzuciła ją ich magia.

Młodzieniec obserwował z pochmurną twarzą, jak potwór odchodzi.

– Niech cię Otchłań pochłonie – mruknął i wyskoczył z kręgu. Demon odwrócił się w porę, by przyjąć potężny cios runicznej pięści, a potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden... Kolejne razy spadały na niego niczym uderzenia piorunów. Zginął, zanim się zorientował, co go atakuje.

Zaalarmowane odgłosami walki otchłańce ruszyły w kierunku człowieka, ale poruszały się ostrożnie, dzięki czemu Arlen bez trudu doskoczył do bariery i przeciągnął przez nią trupa, zasłoniwszy kilka znaków.

– Zobaczmy, czy naprawdę nie jesteś w stanie niczego mi dać – mruknął.

Ujął zaostrowany kawałek obsydianu z wyrytymi runami tnącymi i rozplątał pancerz demona. Z zaskoczeniem powitał fakt, że pod twardymi łuskami kryje się ciało równie kruche i wrażliwe jak jego własne, twarde, ale niewiele twardsze od ciała jakiegokolwiek innego stworzenia.

Za to smród był nie do wytrzymania. Czarny płyn, który pełnił rolę krwi, cuchnął tak obrzydliwie, że oczy Arlena zaczęły łzawić, a on sam aż się zakrztusił. Wstrzymując oddech, wyciął płat mięsa, otrzepał go i

umieścił nad niewielkim ogniskiem. Resztki czarnej posoki zadymiły i po chwili wyparowały, a wtedy zapach stał się do zniesienia.

W końcu młodzieniec uniósł upieczony, choć wciąż nieprzyjemnie wyglądający ochłap. Niespodziewanie powrócił myślami do Potoku Tibbeta i słów, które usłyszał od Coline Trigg wiele lat temu. Złapał wówczas rybę pokrytą łuską noszącą znamiona choroby, a Zielarka zmusiła go, by wyrzucił zwierzę do wody.

– Nie jedz niczego, co wygląda na chore – przestrzegła chłopca. – Wszystko, co jesz, staje się częścią ciebie.

Czy to też stanie się częścią mnie? – zadał sobie pytanie Arlen. Raz jeszcze spojrzął na kawałek mięsa, opanował emocje i włożył go do ust.

Część IV

Zakątek Drwali

331 – 332

Roku Plagi

Nowy dom

331 RP

Kapuśniak niebawem przerodził się w jednostajną ulewę i Rojer przyspieszył kroku, przeklinając swego pecha. Planował opuścić Dolinę Pastuszków od dłuższego czasu, ale nie przypuszczał, że nastąpi to tak gwałtownie i w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Nie mógł winić pasterza. Nie dało się ukryć, że mężczyzna o wiele chętniej doglądał swych owiec aniżeli żony, a co więcej, to ona wykonała pierwszy krok, ale tak czy owak sytuację, kiedy mąż z obawy przed deszczem wraca wcześniej do domu i zastaje małżonkę w łóżku z kochankiem, nie sprzyjają logicznemu myśleniu.

Rojer był właściwie wdzięczny ulewie. Gdyby nie Padało, do pościgu mogłaby dołączyć połowa mieszkańców Doliny. Okoliczni mężczyźni nie grzeszyli Wyrozumiałością, przypuszczalnie przez to, że często wyprowadzali cenne stada na pastwiska i zostawiali kobiety same w domach. Co więcej, z ogromną powagą traktowali żywy inwentarz, zarówno ten z obory, jak i ten, z którym dzielili łoże. Niewłaściwe podejście do którejkolwiek z tych kwestii groziło poważnymi

konsekwencjami.

Podczas szaleńczej gonitwy dookoła siennika żona wskoczyła pasterzowi na plecy. Powstrzymywała go na tyle długo, by Rojer zdążył pochwycić sakwy i wybiec na podwórze. Cały dobytek spakował już wcześniej. Dobrze zapamiętał lekcje Arricka.

– Na noc! – wymamrotał, gdy wdepnął w głęboką, błotnistą kałużę. Zimno i wilgoć przesiąkły przez miękką skórę buta, ale chłopak nie miał jeszcze odwagi robić postoju i rozpalać ogniska.

Ściągnął ciaśniej pstrokaty płaszcz, zastanawiając się, dlaczego jego życie wygląda tak, jakby wiecznie przed czymś uciekał. Przez ostatnie dwa lata przenosił się niemal każdej pory roku. Mieszkał w Świerszczowej Ostoi, Ostatniej Porębie i Dolinie Pastuszków po trzy razy, ale mimo to czuł się tam jak obcy. Wieśniacy właściwie nigdy nie wyściubiali nosa poza rodzinne strony i zawsze próbowali zniechęcić młodego Minstrela do wypraw.

„Wyjdź za mnie. Przyjmij rękę mojej córki. Zamieszkać w gospodarstwie, a wymalujemy twe imię nad drzwiami, by przyciągać klientów. Ogrzewaj mnie, póki mój mąż przebywa w polu. Pomóż nam w żniwach i zostań na zimę...”

Słyszał podobne słowa setki razy, a wszystkie one niosły jedno znaczenie: daj sobie spokój z włóczęgą i zostań z nami.

Za każdym razem, gdy ktoś je wymawiał, pakował sakwy i ruszał w drogę. Schlebiało mu, że wieśniacy chcą znaleźć dla niego miejsce w swej społeczności, ale w jakim charakterze? Ojca? Męża? Pomocnika w gospodarstwie? Rojer był przecież Minstrelem i nie wyobrażał sobie innego zajęcia. Gdy tylko zaczynał pomagać przy zbiorach lub brał udział w poszukiwaniu zaginionej owieczki, docierało do niego, że wkrótce

będzie musiał odejść, by nie zatracić prawdziwej natury.

Dotknął złotowłosego talizmanu w tajemnej kieszonce i stwierdził, że duch Arricka wciąż go strzeże. Wiedział, że odczułby dotkliwie rozczarowanie mistrza, gdyby choć na chwilę odwiesił pstrokaty płaszcz. Arrick umarł jako Minstrel, a jego uczeń nosił się z identycznym zamiarem.

Arrick słusznie twierdził, że występy w niewielkich wioskach uczynią chłopaka jeszcze większym mistrzem w swym fachu. Po dwóch latach ciągłego koncertowania Rojer był już nie tylko skrzypkiem i akrobatą. Bez Arricka, zwykle odgrywającego główną rolę, musiał samodzielnie poszerzać repertuar sztuczek i wymyślać nowe sposoby rozbawiania publiczności. Wciąż udoskonalał magiczne triki i utwory muzyczne, ale zyskał sławę również dzięki swym opowieściom.

Ludność wsi uwielbiała ciekawe historie, zwłaszcza te dotyczące odległych krain. Rojer dogadzał zachciankom wieśniaków i opowiadał zarówno o tych miejscach, które sam odwiedził, jak i o tych, których nigdy nie widział; o osadach położonych za następnym wzgórzem, jak i o miastach istniejących tylko w jego wyobraźni. Za każdym razem wzbogacał gawędy o nowe szczegóły, dzięki czemu ich bohaterowie ożywali w wyobraźni słuchaczy. Jak Łuskowy Język, który potrafił rozmawiać z otchłańcami i zawsze wywodził je w pole obietnicami bez pokrycia. Jak Marko Włóczęga, który przemierzył milneńskie góry i znalazł po ich drugiej stronie bogatą krainę, gdzie czczono demony niczym bogów. I oczywiście jak Naznaczony.

Minstrele regularnie odwiedzali sioła, by ogłaszać książęce dekryty. Jeden z nich opowiedział o szalonym człowieku, który włóczył się po pustkowiach, zabijał demony i pożerał ich mięso. Utrzymywał, że to

autentyczna historia, na dowód czego przytoczył słowa tatuażysty, który wykonał kilka runów na plecach tajemniczego bohatera. Wieśniacy słuchali uważnie i gdy następnego wieczora poprosili Rojera, by powtórzył opowieść, uczynił to skwapliwie, okraszając ją własnymi fantazjami.

Publiczność chętnie zadawała pytania i łapała chłopaka na podawaniu sprzecznych informacji, ale on uwielbiał zabawy słowami i koniec końców zawsze przekonywał słuchaczy, że jego historie są prawdziwe. Jak na ironię, najtrudniej było mu sprawić, by uwierzyli, że za pomocą dźwięków skrzypek potrafi zmusić demony do tańca. Choć mógł to udowodnić w każdej chwili, poniechał tego zamiaru. Arrick zwykł powtarzać: „W chwili gdy udowodnisz jedną rzecz, każą ci udowodnić każdą następną”.

Rojer spojrzał w niebo.

Już wkrótce przyjdzie mi zagrać otchłāncom, pomyślał.

Powoli zapadał zmrok. W miastach, gdzie wysokie mury odgradzały ludzi od widoku demonów, chodziły pogłoski, że potrafią one powstać również podczas pochmurnego dnia. Po latach spędzonych na wsi Roj er dobrze poznał zwyczaje tych istot. Wiedział, że większość czeka w Otchłāni aż do zachodu słońca, ale jeśli gruba warstwa chmur przepuszczała niewiele światła, kilka co śmielszych osobników mogło spróbować swych sił.

Zmarznięty i przemoczony, a nadto nieskory do podejmowania niepotrzebnego ryzyka, rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na obozowisko. Będzie miał szczęście, jeśli dotrze do Poręby następnego dnia. Musiał się jednak liczyć z możliwością spędzenia jeszcze jednej nocy na trakcie. Gdy tylko o tym pomyślał, zaburczało mu w brzuchu.

Ostatnia Poręba nie była w niczym lepsza od Doliny Pastuszków czy

Świerszczowej Ostoi. Prędzej czy później zrobi jakiejś kobiecie dziecko lub, co gorsza, obdarzy ją szczerym uczuciem i nim się spostrzeże, będzie wyciągał skrzypki z futerału jedynie na wielkie święta lub gdy będzie musiał jakoś zapłacić za ziarno czy naprawę pługa. Upodobni się do całej reszty.

Lecz przecież zawsze można wrócić do domu.

Rojer często rozważał pomysł powrotu do Angiers, ale za każdym razem odnajdywał rozliczne Powody, by przenieść wyprawę na inną porę roku. Bo tak naprawdę cóż miasto mogło mu zaoferować? Wąskie uliczki zapchane ludźmi i zwierzętami, drewniane chodniki cuchnące obornikiem i śmieciami, żebraków, złodziei i niekończącą się troskę o pieniądze. A także ludzi, którzy z ignorowania siebie nawzajem stworzyli prawdziwą sztukę.

Normalnych ludzi, pomyślał Rojer i westchnął. Wieśniacy zawsze usiłowali dowiedzieć się czegoś o sąsiadach i bez zastanowienia szeroko rozwierali drzwi przed obcymi. Doceniał tę postawę, lecz w głębi serca nadal czuł się miejskim chłopakiem.

Powrót do Angiers oznaczał konieczność uregulowania spraw z gildią. Bez licencji jego dni w zawodzie były policzone, wystarczyło jednak dołączyć do gildii, a mógłby liczyć na dobry interes. Dzięki doświadczeniu nabytemu w siołach zyskałby uznanie mistrzów, tym bardziej, gdyby jeden z nich przemówił w jego imieniu. Arrick zraził do siebie większość angierskich Minstreli, ale wciąż istniała szansa, że ktoś ulituje się nad chłopcem, gdy wieści o tragicznym końcu jego mentora obiegą miasto.

Znalazł drzewo, którego korona osłaniała nieco przed deszczem, a po rozłożeniu kręgu zdołał zebrać wystarczająco wiele suchego chrustu, by rozpalić ogień. Podsyczał go wytrwale, lecz wiatr i deszcz szybko gasiły

płomienie.

– Niech szlag trafi wsie – burknął Rojer, gdy otoczyły go ciemności, rozjaśniane raz na jakiś czas rozbłyskiem runów sprawdzanych przez demony. – Niech je wszystkie trafi szlag.

* * *

Angiers nie zmieniło się szczególnie od chwili jego wyjazdu. Sprawiało wrażenie mniejszego, lecz przecież Rojer spędził sporo czasu na otwartej przestrzeni, a ponadto urósł o kilka cali. Miał teraz szesnaście lat i wedle ogólnie przyjętych norm był już mężczyzną. Przez jakiś czas stał przed miejskimi murami ze wzrokiem wbitym w bramy. Zastanawiał się, czy nie popełnia właśnie wielkiego błędu.

W kieszeni trzymał garść drobnych monet, skwapliwie wyluskiwanych z kapelusza na datki na okoliczność powrotu, a w plecaku nieco jedzenia. Nie było to wiele, ale przynajmniej przez kilka nocy mógł unikać przytułków.

Gdyby zależało mi wyłącznie na pełnym żołądku i dachu nad głową, myślał, wieśniacy przyjęliby mnie z otwartymi ramionami. W istocie, mógł skierować się na południe, do Pniaka lub Zakątka Drwali, albo na północ, gdzie książę odbudował Rzeczułkę na angieriańskim brzegu rzeki. Gdyby – powtórzył. Odetchnął głęboko i przeszedł przez bramę.

Znalazł tanią gospodę, założył najlepsze pstrokate ubranie i wybiegł na zewnątrz. Gildia Minstreli miała siedzibę w śródmieściu, skąd jej członkowie mogli bez trudu dotrzeć w każdy zakątek Angiers. Udzielano tam schronienia wszystkim licencjonowanym Minstrelom, pod warunkiem, że ci bez narzekania przyjmowali przydzielane im prace i dzielili się z

gildią połową zarobku.

– Idioci – mawiał Arrick. – Każdy Minstrel, który oddaje połowę dochodu za dach nad głową i trzy porcje kaszy dziennie, powinien zmienić zawód.

Było w tym sporo racji. W gmachu gildii mieszkali jedynie najstarsi lub najmniej uzdolnieni Minstrele, gotowi przyjąć zadania, których nikt inny by się nie podjął. Tak czy owak, lepsze to niż życie w nędzy. Ponadto budynek stanowił pewniejsze schronienie od publicznych przytułków. Runy na jego ścianach trzymały mocno, a jego mieszkańcy z reguły nie wykazywali większej ochoty, by się nawzajem okradać.

Rojer zamienił kilka słów z lokatorami i już niebawem wiedział, do których drzwi zastukać.

– Czego? – zapytał starzec, zezując ku wejściu. – Ktoś ty?

– Nazywam się Rojer Bezpalczy, panie – odparł chłopak z progu, a gdy w załzawionych oczach rozmówcy nie dostrzegł zrozumienia, dodał: – Byłem czeladnikiem Słodkiej Pieśni.

Wyraz konsternacji na twarzy starca natychmiast zastąpiła kwaśna niechęć. Mężczyzna wstał i ruszył ku drzwiom.

– Mistrzu Jaycobie, błagam. – Chłopak położył na nich dłoń.

Staruszek westchnął. Cofnął się i klapnął ciężko na krzesło, a Rojer wszedł do środka.

– Czego chcesz? – zapytał Jaycob. – Jestem zmęczony i nie mam czasu na dyrdymały.

– Potrzebuję mentora, by ubiegać się o licencję.

– Arrick stał się kulą u nogi? Przez jego chłanie nie możesz rozwinąć skrzydeł, więc go opuściłeś, by zgnął w samotności, i samotnie ruszasz po sławę? Pasuje idealnie. Dwadzieścia pięć lat temu załatwił mnie dokładnie

w ten sam sposób. – Starzec splunął na podłogę i spojrzał na chłopaka. – Ale bez względu na to, czy pasuje czy nie, jeśli sądzisz, że cię wesprę w twojej zdradzie...

– Mistrzu... – Rojer uniósł dłoń, by zatrzymać nadciągającą tyradę. – Arrick nie żyje. Dwa lata temu zginął z rąk demonów na trakcie do Ostatniej Poręby.

– Trzymaj się prosto, chłopcze – nakazał Jaycob, gdy szli korytarzem. – Pamiętaj, by patrzeć mistrzowi prosto w oczy. Odzywaj się wyłącznie w odpowiedzi na pytanie.

Powtarzał to już chyba po raz dwunasty i Rojer tylko pokiwał głową. Był zbyt młody, by otrzymać licencję, ale Jaycob utrzymywał, że zdobywali ją nawet młodszy. Decydował talent i umiejętności, a nie wiek.

Uzyskanie audiencji u mistrza gildii wiązało się z wieloma trudnościami nawet przy wsparciu mentora. Jaycob najlepszy wiek miał już dawno za sobą. Nie występował od lat i choć członkowie gildii traktowali go z szacunkiem, w kancelaryjnym skrzydle gmachu raczej go ignorowano, niż przyjmowano z honorami.

Sekretarz skazał ich na długie oczekiwanie przed drzwiami gabinetu mistrza gildii. Przez kilka godzin patrzyli z rozpaczą, jak inni petenci wchodzi i wychodzą. Rojer siedział prosto, opierając się pokusie, by zmienić pozycję na wygodniejszą lub chociaż opuścić ramiona, podczas gdy wpadające przez okno promienie słońca z wolna zmieniały kąt.

– Mistrz Cholls jest gotów was przyjąć – odezwał się urzędnik, przywołując chłopaka do rzeczywistości. Rojer powstał szybko i podał Jaycobowi dłoń, by go dźwignąć z krzesła.

Kancelaria mistrza gildii przyćmiewała przepychem nawet komnaty,

które widywał w pałacu księcia. Na podłodze rozesłano grube, puszyste dywany, tkane w najrozmaitsze barwne wzory, a na krytych dębową boazerią ścianach umieszczono wymyślne lampy oliwne z barwionego szkła. Między nimi wisiały obrazy przedstawiające wielkie bitwy, piękne kobiety i martwą naturę. Biurko wykonano z ciemnego, wypolerowanego drzewa orzechowego. Stały na nim drobne, eleganckie przyciski do papieru, podobne do rzeźb rozstawionych na piedestałach w kątach pomieszczenia. Nad biurkiem zawieszono symbol Gildii Minstreli – trzy kolorowe piłeczki w wielkiej pieczęci.

– Nie mam zbyt wiele czasu, mistrzu Jaycobie – powiedział Cholls, nie zadając sobie trudu, by podnieść głowę znad sterty papierów. Był potężnie zbudowanym człowiekiem w wieku przynajmniej pięćdziesięciu lat, a jego ubiór bardziej przypominał ten noszony przez kupców bądź szlachtę niż pstrokaty strój Minstreli.

– Ten młody człowiek jest wart twego czasu – odparł Jaycob. – To czeladnik Arricka Słodkiej Pieśni.

Cholls wreszcie uniósł głowę, ale tylko po to, by spojrzeć na starca spode łba.

– Nie wiedziałem, że utrzymujesz kontakty z Arrickiem – burknął, całkowicie ignorując Rojera. – Słyszałem, że rozstaliście się skłóceniu.

– Czas łagodzi najgorsze wspomnienia – odrzekł chłodno Jaycob, choć jego słowa nie miały wiele wspólnego z prawdą. – Pogodziłem się z Arrickiem.

– Wygląda na to, że jesteś wyjątkiem. – Cholls zachichotał. – Większość ludzi w tym gmachu prędzej by go udusiło, niż zaszczyliło spojrzeniem.

– Za późno. Arrick nie żyje.

Mistrz gildii raptem sposepniał.

– Przykro to słyszeć. W końcu nie ma nas wielu i każdy Minstrel jest cenny. Zapił się na śmierć?

Jaycob pokręcił głową.

– Otchłańce.

Cholls skrzywił się i splunął do stojącego przy biurku miedzianego wiaderka, które najwyraźniej nie służyło do niczego innego.

– Kiedy i gdzie to się wydarzyło?

– Dwa lata temu na trakcie do Ostatniej Poręby.

– Coś mi świta, że jego czeladnik całkiem nieźle grywał na skrzypkach.

– Cholls w końcu zaszczyił Rojera spojrzeniem.

– W rzeczy samej – przytaknął Jaycob. – Choć to nie jedyny jego talent.

Oto Rojer Bezpalcy.

Młodzieniec uklonił się.

– Bezpalcy? – Na twarz mistrza nieoczekiwanie wypłynął wyraz zaciekawienia. – Słyszałem o pewnym Bezpalcym, który grywał po zachodnich wsiach. To ty, chłopcze?

Rojer wybałuszył oczy, ale potwierdził skinieniem głowy. Choć Arrick opowiadał, że popularność zdobyta na prowincji szybko przenika do miast, chłopak był zaskoczony. Zadał sobie w duszy pytanie, czy owa popularność przyniesie mu więcej korzyści, czy strat.

– Niech ci tylko sława nie uderzy do głowy – przestrzegł go Cholls, zupełnie jakby czytał mu w myślach. – Kmiotkowie lubią przesadę.

Rojer znów skinął głową, nie spuszczając wzroku z mistrza gildii.

– Tak, panie. Rozumiem.

– Dobrze więc. Pokaż, na co cię stać.

– Tu? – spytał z powątpiewaniem. Przestronny gabinet zapewniał

maksimum prywatności, ale otoczenie grubych dywanów i drogich mebli nie zachęcało do popisów akrobatycznych czy rzucania nożami.

Cholls machnął niecierpliwie ręką.

– Występowałeś z Arrickiem przez całe lata, a zatem mogę uznać, że potrafisz żonglować i śpiewać. Jeśli chcesz zdobyć licencję, będziesz musiał pokazać mi coś, co wykracza ponad zwykłe umiejętności.

– Zagraj na skrzypkach, chłopcze, tak jak mi – zasugerował Jaycob.

Rojer uklonił się lekko. Drżały mu dłonie, gdy wydobywał skrzypki z futerału, ale wystarczyło, że zacisnął palce wokół gładkiego drewna gryfu, a obawy natychmiast znikły. Zaczął grać. Gdy już porwała go muzyka, mistrz gildii przestał się liczyć.

Nie minęła jednak chwila, gdy jakiś okrzyk sprawił, że czar przysł. Smyczek ześlizgnął się ze strun i zapadła cisza. Na zewnątrz zagrzmiął stanowczy głos:

– Nie będę czekać, aż jakiś beznadziejny czeladnik zakończy próby! Z drogi!

Dobiegły ich jeszcze odgłosy krótkiej przepychanki, a potem drzwi się rozwarły i do komnaty wpadł Jasin.

– Przepraszam, mistrzu – wyjąkał sekretarz. – Prosiłem, by zaczekał, ale...

Cholls odprawił go machnięciem dłoni.

– Oddałeś książęcy bal Edumowi?! – zawołał Jasin stanowczym tonem.
– Przecież od lat ten występ należał do mnie! Wuj o wszystkim się dowie!

Cholls nawet nie mrugnął. Skrzyżował ramiona na piersi i rzekł:

– Sam książę poprosił o tę zmianę. Jeśli twój protektor widzi w tym jakiś problem, sugeruję, by osobiście omówił to z Jego Łaskawością.

Jasin spochmurniał. Wątpliwe, by nawet Pierwszy Minister Janson

poważył się sprzeciwić rozkazowi księcia.

– Jeśli to jedyna sprawa, z jaką tu przybyłeś, to musisz nam wybaczyć – ciągnął Cholls. – Młody Rojer przechodzi właśnie próbę na uzyskanie licencji.

Jasin smagnął młodzieńca spojrzeniem i raptem jego oczy rozbłysły.

– Widzę, że urwałeś się spod kurateli tego moczymordy – zaszydził. – Mam nadzieję, że nie wymieniłeś go na ten antyk. – Skinął głową na Jaycoba. – Moja propozycja pozostaje w mocy. Jeśli chcesz, możesz pracować dla mnie. Niech tym razem to Arrick zebrze o twoje ochłapy.

– Mistrz Arrick dwa lata temu został zabity przez demony – wtrącił Cholls.

Jasin zerknął na niego, a potem wybuchnął donośnym śmiechem.

– Cudownie! Ta wiadomość z nawiązką wynagrodziła mi utratę balu!

I wtedy Rojer go uderzył.

Nie zdawał sobie sprawy z własnych czynów, dopóki nie uświadomił sobie, że z drżącymi, wilgotnymi od krwi pięściami stoi nad leżącym mężczyzną. Poczul delikatne pęknięcie, gdy trafił Minstrela w nos. Wiedział, że właśnie utracił wszelkie szanse na zdobycie licencji, ale w tej chwili nie miało to dla niego znaczenia.

Jaycob złapał go za rękę, a Jasin zerwał się na nogi, wymachując dziko pięściami.

– Zabiję cię za to, ty mały...

W jednej chwili Cholls zastąpił mu drogę i złapał go za nadgarstki. Jasin próbował się wyrwać, ale nie dorównywał mistrzowi ani siłą, ani budową ciała.

– Dość tego – warknął Cholls. – Nikogo nie zabijesz.

– Ale widziałeś, co on zrobił! – wrzasnął Jasin. Krew ściekała mu po

ustach i brodzie.

– Słyszałem też, co ty powiedziałeś! Sam miałem ochotę ci przyłożyć!

– I jak ja mam dzisiaj zbiewadź? – Nos Minstrela zaczynał już puchnąć i słowa z każdą chwilą stawały się coraz mniej zrozumiałe.

– Załatwię ci zastępstwo, a gildia pokryje twoje straty. Daved!

Sekretarz wsunął głowę do gabinetu.

– Odprowadź Jasina do Zielarki i przynieś tu rachunek.

Daved chciał pomóc Jasinowi, ale Minstrel odepchnął go i rzucił do Rojera na odchodnym:

– To jeźdźce nie koniedz.

Cholls wypuścił powietrze z płuc, gdy drzwi wreszcie zostały zamknięte.

– No, chłopcze, toś się doigrał. Nikomu nie życzę takiego wroga.

– On od dawna źle mi życzy – odparł Rojer. – Słyszeliście, panie, co powiedział.

– Słyszałem, ale nadal uważam, że powinieneś panować nad nerwami. Co poczniesz, gdy obrazi cię jakiś słuchacz? Albo sam książę? Członkom gildii nie wolno okładać pięściami każdego, kto ich zdenerwuje.

Chłopak zwiesił głowę.

– Rozumiem – bąknął.

– Kosztowałeś mnie sporo gorsza. Przez następne tygodnie będę musiał obdarowywać Jasina pieniędzmi i propozycjami występów, by zbytnio nie marudził. Jednakże po próbce, którą mi zaprezentowałeś, byłbym głupcem, gdybym nie dał ci szansy spłacenia długu.

Rojer spojrzał na mistrza z nadzieją.

– Wystawię ci licencję tymczasową – ciągnął Cholls, ujmując kartkę papieru i pióro. – Wolno ci Występować jedynie pod nadzorem członka

gildii, którego sam opłacisz. Ponadto połowa twoich przychodów będzie wpływać do gildii do momentu, kiedy uznam, że twój dług został spłacony. Zrozumiano?

– Oczywiście, panie! – z zapalem odparł Rojer.

– I naucz się nad sobą panować. W przeciwnym razie podreć tę licencję i nigdy już nie zagrasz w Angiers.

* * *

Rojer grał na skrzypkach, ale kątem oka śledził Abruma, zwałistego czeladnika Jasina. Minstrel regularnie wysyłał jednego ze swych uczniów na występy chłopaka. Ich obecność oraz świadomość, że obserwują go dla swego mistrza, który życzył mu jak najgorzej, wzbudzała w nim niepokój. Tymczasem od incydentu w gmachu gildii minęło już sześć miesięcy i nic nie wskazywało, by Jasin szykował zemstę. Szybko zresztą doszedł do siebie i znów zaczął występować, zbierając brawa podczas każdej uroczystości przeznaczonych dla wyższych klas Angiers.

Rojer byłby skłonny uwierzyć, że Jasin puścił ów incydent w niepamięć, gdyby czeladnicy nie nawiedzali go niemal każdego dnia – jednym razem drzewny demon Abram, który czał się w tłumie słuchaczy, a drugim skalna bestia Sali, popijająca piwo na tyłach tawerny. Choć ich obecność w niczym nie przeszkadzała, na pewno nie stanowiła zbiegu okoliczności.

Chłopak zakończył występ popisowym numerem – wyrzucił smyczek w powietrze, uklonił się i wyprostował w porę, by go złapać. Publiczność eksplodowała radością, a czujne ucho młodzieńca wychwyciło brzęk wpadających do kapelusza monet. Nie zdołał powstrzymać uśmiechu –

obchodzący widzów Jaycob wyglądał niemal rześko.

Rojer raz jeszcze spojrzął w przerzedzający się tłum, ale Abrum wyparował jak kamfora. Wraz ze staruszką spakowali sprzęt i ruszyli do gospody okreśną drogą. Nadchodził zmierzch i ulice szybko pustoszały. Choć zima ustępowała już wiosnie, na drewnianych chodnikach wciąż widniały splachetki śniegu i lodu. Niewielu ludzi kręciło się po mieście, z wyjątkiem tych, którzy mieli ważne sprawy do załatwienia.

– Nawet odliczywszy udział Chollsa, starczy na czynsz na wiele dni. – Jaycob potrząsnął grzechoczącą sakiewką. – Gdy już spłacisz dług, zostaniesz bogaczem!

– My zostaniemy – poprawił go Rojer, a staruszek roześmiał się, strzelił obcasami i klepnął młodzieńca w plecy. – Spójrz tylko na siebie! – Chłopak pokręcił głową z niedowierzaniem. – Co się stało z tym powłóczącym nogami, na poły ślepym dziadkiem, do którego gabinetu zawitałem parę miesięcy temu?

– To wszystko zasługa powrotu na scenę. – Jaycob obdarzył młodszego kolegę bezzębnym uśmiechem. – Może już nie śpiewam ani nie ciskam nożami, ale nawet obchodzenie ludzi z kapeluszem sprawia, że moje stare, przykurzone serce bije mocniej niż kiedykolwiek przez ostatnie dwadzieścia lat. Czuję, że mógłbym nawet...

Przerwał i odwrócił wzrok.

– Cóż takiego? – spytał Rojer.

– Sam nie wiem. Może sklecić jakąś opowieść? Albo błaznować, gdy stroisz sobie ze mnie żarty? Nie chodzi o nic, czym mógłbym odebrać ci choć trochę splendoru...

– Ależ oczywiście! Sam chciałem o to poprosić, ale odniosłem wrażenie, że stanowią dla ciebie ciężar. Ciągam cię po mieście, byś

nadzorował moje występy...

– Chłopcze, nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem tak szczęśliwy!

Wciąż się uśmiechali, gdy skręcili w boczną uliczkę i wpadli na Abruma i Sali, za którymi stał rozradowany Jasin.

– Miło cię widzieć, przyjacielu – powiedział, a Abram z całej siły zdzielił chłopaka w pierś. Rojer stracił dech i upadł na zamarznięty chodnik. Nim zdołał wstać, Sali wymierzyła mu mocnego kopniaka.

– Zostaw go w spokoju! – wykrzyknął Jaycob i ruszył na kobietę. Przysadzista śpiewaczka tylko się roześmiała, pochwyciła go za płaszcz i cisnęła nim o ścianę budynku.

– Och, tobie też możemy poświęcić nieco uwagi – stwierdził Jasin, podczas gdy Sali okładała staruszkę kułakami. Rojer usłyszał trzask pękających kości i słaby jęk. Tylko mur trzymał Jaycoba w pionie.

Świat wirował, drewniane deski chodnika kołysały się jak szalone, ale chłopak zdołał wstać, pochwycić skrzypki obiema dłońmi za gryf i machnąć zaimprovizowaną w ten sposób pałką.

– Nie ujdzie ci to na sucho! – krzyknął.

– A do kogo się udasz ze skargą? – zapytał z uśmiechem Jasin. – W co uwierzą miejscy sędziowie: w oczywiste kłamstwa pośledniego grajka czy w słowa bratanka Pierwszego Ministra? Poskarż się tylko strażnikom, a zawiśniesz, to pewne.

Abrum bez trudu złapał skrzypki i wykręcił Rojerowi ramię, a potem kopnął go kolanem w krocze. Nawet pomimo eksplozji dotkliwego bólu między nogami młodzieniec poczuł, jak strzelają mu stawy ramienia. Tymczasem czeladnik pochwycił instrument mocniej i z całej siły rąbnął nim ofiarę w tył głowy, roztrzaskując skrzypki na drzazgi. Rojer znów padł na chodnik.

W głowie mu dzwoniło, ale mimo to słyszał jęki Jaycoba. Potem dostrzegł, jak Abrum staje nad ciałem starca i z uśmiechem unosi ciężką pałkę.

Szpital

332 RP

Hejże, Jizell! – wykrzyknął Skot na widok starej Zielarki, która szła ku niemu z miseczką. – A może choć raz pozwolisz to zrobić swej uczennicy?

Skinął w kierunku Leeshy, która akurat zmieniała opatrunek innemu mężczyźnie.

– Niedoczekanie! – warknęła krępa staruszka z krótko przyciętymi szarymi włosami i donośnym głosem. – Jeśli pozwolę jej obmywać pacjentów, w przeciągu tygodnia będę miała na karku połowę mężczyzn z Angiers skarżących się na wszelkie choroby!

Leesha z uśmiechem pokręciła głową, a pozostali mężczyźni w sali wybuchli śmiechem. Skot nie stanowił zagrożenia. Był Posłańcem, który spadł z konia na trakcie. Uszedł z życiem, ale okupił to złamaniami obu rąk. Mimo obrażeń zdołał dopaść wierzchowca i wspiąć się na siodło. Nie miał żony, która mogłaby go pielęgnować, więc Gildia Posłańców łożyła pieniądze na jego leczenie w szpitalu starej Zielarki.

Jizell namoczyła szmatkę w ciepłym, spienionym płynie, uniosła kołdrę i z wprawą zaczęła obmywać ciało mężczyzny. Posłaniec w pewnym

momencie cicho jęknął, a staruszka zachichotała.

– Właśnie dlatego to ja myję pacjentów – powiedziała głośno, zerkając w dół. – Nikt przecież nie chce, by biedna Leesha doznała tak wielkiego rozczarowania.

Pozostali ryknęli śmiechem, dworując sobie ze Skota. W sali brakowało wolnych łóżek i wszyscy byli już nieco znużeni rekonwalescencją.

– Sądzę, że ona zastałaby go w nieco innym kształcie – burknął zarumieniony po uszy mężczyzna, raz jeszcze wywołując powszechną radość.

– Nieszczęsny Skot ma na ciebie chrapkę – zauważyła później Jizell, kiedy Leesha ugniatała zioła w aptece.

– Chrapkę? – Kadie, jedna z młodszych uczennic, wykrzywiła usta. – Żadna tam chrapka, on jest zakochaaaany!

Pozostałe dziewczyny zachichotały.

– Myślę, że on jest słodki – odważyła się wtrącić Roni.

– Twoim zdaniem każdy jest słodki – odparła Leesha. Roni dopiero co przeszła pierwsze krwawienie i od tej chwili myślała wyłącznie o chłopcach. – Mam jednak nadzieję, że nie ulegniesz pierwszemu, który poprosi cię o obmycie.

– Nawet jej tego nie sugeruj! – pisnęła Jizell. – Gdyby mogła, myłaby każdego mężczyznę w szpitalu.

Dziewczęta znów się zaśmiały, nawet Roni, która najwyraźniej nie miała nic przeciwko pomysłowi mistrzyni.

– Okaż przynajmniej choć trochę przyzwoitości i zacznij się rumienić – burknęła Leesha, a jej koleżanki aż się złapały za brzuchy, nie potrafiąc opanować wesołości.

– Dość tego! Uciekajcie stąd, śmieszki! – przerwała im w końcu Jizell.

– Muszę porozmawiać z Leeshą na osobności.

– Większość trafiających tu mężczyzn ma na ciebie ochotę – powiedziała, gdy zostały same. – Nie zaszkodziłoby z którymś chociaż porozmawiać, gdy już skończysz wypytywać go o zdrowie.

– Zupełnie jakbym słyszała matkę... – Leesha westchnęła przeciągle.

Staruszka walnęła moździerzem o blat stołu.

– Bzdury! – Od chwili gdy przyjęła Leeshę na naukę, zdążyła się nasłuchać setek historii o Elonie. – Po prostu nie chcę, byś dożyła swych lat jako stara panna tylko po to, by jej dopiec. Nie ma nic złego w darzeniu mężczyzn sympatią.

– Ale ja lubię mężczyzn – zaprotestowała dziewczyna.

– Jakoś tego nie widać.

– Może więc powinnam była skwapliwie zaproponować Skotowi swe usługi?

– Skądże! Przynajmniej nie na oczach wszystkich. – Jizell puściła oko.

– Teraz gadasz jak stara Bruna. Żeby zdobyć moje serce, trzeba czegoś więcej niż sprośne uwagi.

Wcześniejsze prośby Skota nie były dla Leeshy niczym nowym. Dziewczyna odziedziczyła po matce urodę, co z natury rzeczy wywoływało zainteresowanie ze strony mężczyzn, bez względu na to, czy sobie tego życzyła czy nie.

– A zatem czego? – zapytała Jizell. – Czego trzeba, by przebić runy broniące dostępu do twego serca?

– Mężczyzny godnego zaufania. Takiego, którego będę mogła ucałować w policzek bez ryzyka, że następnego dnia rozpowie wszystkim kamratom, jak to mnie posuwał za stodołą.

– Prędzej znajdziesz przyjaznego otchłańca – parsknęła Jizell, na co

dziewczyna wzruszyła ramionami. – Myślę, że się po prostu boisz. Tak długo pilnujesz swego wianka, że uczyniłaś z niego przeszkodę nie do pokonania.

– To jakieś brednie!

– Czyżby? Uważnie ci się przyglądam, kiedy przychodzą do nas kobiety z intymnymi pytaniami. Widziałam, jak się przed nimi czerwienisz i próbujesz odgadnąć, co im powiedzieć. Jak możesz doradzać innym w kwestiach dotyczących ich ciał, skoro nie znasz własnego?

– Dobrze wiem, co wkładać do czego – burknęła Leesha z kwaśną miną.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz, o co mi chodzi.

– A zatem czego się po mnie spodziewasz? Bym wskoczyła do łóżka pierwszego mężczyzny z brzegu, byle mieć to z głowy?

– Jeśli właśnie tego ci trzeba...

Leesha zmierzyła Zielarkę wściekłym spojrzeniem, ale Jizell nie miała zamiaru ustąpić.

– Strzeżesz swego wianka tak długo, że w twoich oczach żaden mężczyzna już na niego nie zasługuje – powiedziała. – Cóż z niego za pożytek, skoro go ukrywasz przed innymi? Kto będzie pamiętał jego piękno, gdy zwiędnie?

Dziewczyna wydała z siebie stłumiony szloch, a staruszka natychmiast otoczyła ją ramionami.

– Już dobrze, kochanie – wyszeptwała, gładząc jej włosy. – Przecież nie ma w tym nic złego...

* * *

Po kolacji, gdy runy zostały sprawdzone, a uczennice odesłane do pokojów, Leesha i Jizell wreszcie znalazły chwilę, by zaparzyć imbryk ziołowej herbaty i otworzyć sakwę przyniesioną rano przez Pośłańca. Zmniejszyły płomyk w lampie, by zbyt szybko nie zagasła.

– Przez cały dzień pacjenci, a przez noc listy – westchnęła starszka. – Na szczęście Zielarki nie muszą spać, prawda?

Rozwiązała sakwę i wysypała jej zawartość na stół.

Szybko odłożyła na bok listy zaadresowane do pacjentów, a potem wyłuskała pierwszy pęczek z brzegu i zerknęła na pieczęć.

– Dla ciebie. – Podała go uczennicy, a sama chwyciła inny i pograżyła się w lekturze. – Od Kimber – powiedziała chwilę później. Kimber była kolejną z uczennic Jizell, którą wysłano poza miasto. Pracowała teraz w Pniaku, osadzie leżącej w odległości jednego dnia jazdy od Angiers. – Wysypka bednarza wygląda coraz gorzej, a na dodatek wciąż się rozprzestrzenia.

– Źle parzy zioła, jestem tego pewna – prychnęła Leesha. – Nigdy nie rozmiękcza ich wystarczająco długo, a potem się dziwi, że jej leki są zbyt słabe. Jeśli będę musiała osobiście odwiedzić Pniak i zaparzyć je za nią, poobrywam jej uszy.

– Kimber doskonale zdaje sobie z tego sprawę – odparła ze śmiechem Jizell. – Właśnie dlatego tym razem napisała do mnie!

Dziewczynie szybko udzieliła się wesołość mistrzyni, którą darzyła szczerą miłością. Jeśli wymagała tego sytuacja, stara Zielarka traktowała wszystkich równie surowo jak Bruna, ale zawsze była skora do śmiechu.

Leesha tęskniła za Bruną, a myśl o niej sprawiła, że przypomniała sobie o listach. Każdego Dnia Czwartego do drzwi szpitala pukał Pośłańiec powracający z Pniaka, Zakątka Drwali i innych osad na Południu.

Starannie wypisany adres na pierwszym liście z pewnością został wykonany ręką jej ojca.

W paczce znajdował się również list od Viki i Leesha rozwinęła go w pierwszej kolejności. Jak zwykle zaciskała nerwowo dłonie na kartce aż do chwili, gdy przeczytała, że Bruna, sędziwa ponad ludzkie pojęcie, nadal dobrze się trzyma.

– Vika urodziła syna. Nazwali go Jame. Waży sześć funtów i jedenaście uncji.

– To jej trzecie? – zapytała Jizell.

– Czwarte. – Vika wyszła za Dziecię Jonasa, w tej chwili już Opiekuna, wkrótce po przybyciu do Zakątka. Jak widać, nie marnotrawiła czasu.

– A zatem nie ma już chyba szans, by wróciła do Angiers – stwierdziła z ubolewaniem staruszka.

– Czy przypadkiem nie ustaliłyśmy tego po tym, jak powiła po raz pierwszy? – Leesha nie mogła powstrzymać śmiechu.

Trudno było uwierzyć, że od czasu wyjazdu z rodzinnych stron upłynęło aż siedem lat. Tymczasowa zamiana miejsc okazała się zamianą na stałe, co bynajmniej nie stanowiło dla dziewczyny powodu do rozpacz.

Vika, nie pytając nikogo o zdanie, związała swój los z Zakątkiem. Wyglądało zresztą na to, że wżyła się w tamtejszą społeczność lepiej niż Bruna, Leesha i Darsy razem wzięte. To spostrzeżenie dało Leeshy poczucie wolności, o jakiej nawet nie śniła. Obiecała, że któregoś dnia powróci do Zakątka, by jej rodzina wieś miała swą Zielarkę, ale Stwórca już się o to zatroszczył w jej imieniu. Teraz sama mogła zaplanować sobie przyszłość.

Ojciec pisał, że dopadło go przeziębienie, ale Vika raczy go swymi wywarami i wróży mu rychły powrót do zdrowia. Kolejny list pochodził

od Mairy, której najstarsza córka właśnie przeszła pierwsze krwawienie i została przyrzeczona. Mairy wyraziła nadzieję, że wkrótce zostanie babcią. Leesha westchnęła.

Znalazła w paczce jeszcze dwa listy. Korespondowała z Viką, Mairy i ojcem niemalże co tydzień, ale jej matka pisywała znacznie rzadziej, zwykle pod wpływem żalu i rozgoryczenia.

– Wszystko w porządku? – zapytała Jizell, dostrzegłszy zmarszczki na czole uczennicy, kiedy zerknęła na nią znad lektury.

– To tylko moja matka. Dobór słów zmienia się w zależności od jej humorów, ale przekaz pozostaje ten sam: wracaj do domu i zachodź w ciążę, zanim się zestarzejesz albo Stwórca odbierze ci tę szansę.

Staruszka parsknęła i pokręciła głową.

Do listu dołączono jeszcze jedną kartkę, rzekomo od Gareda, choć z pewnością nie przez niego zapisaną – młody drwal nie przejawiał chęci do uczenia się alfabetu. Elona dołożyła wszelkich starań, by list wyglądał na dyktowany, ale mimo to Leesha nie miała wątpliwości, że jej matka przynajmniej połowę napisała sama, a być może i całość. Treść pozostawała bez zmian. Gared miewa się dobrze, Gared tęskni, Gared czeka, Gared kocha.

– Moja matka musi mnie uważać za wyjątkowo głupią – rzekła kwaśno.
– Według niej powinnam uwierzyć, że Gared napisał dla mnie wiersz – w dodatku wiersz biały.

Jizell zarechotała, ale umilkła, gdy tylko spostrzegła, że uczennica nie podziela jej wesołości.

– A jeśli ona ma rację? – zapytała niespodziewanie dziewczyna. – Dziwnie mi się robi na myśl, że moja matka mogłaby mieć w czymkolwiek rację, ale ja chcę kiedyś powić dzieci i nie trzeba być Zielarką, by

wiedzieć, że czas działa na moją niekorzyść. Sama powiedziałaś, że zmarnowałam już swoje najlepsze lata.

– Nic takiego nie powiedziałam – zaprotestowała Jizell.

– Ale to prawda – odparła ze smutkiem Leesha. – Nigdy mi nie zależało na poszukiwaniu mężczyzny. To oni mnie znajdowali, czy tego chciałam czy nie. Zawsze sądziłam, że pewnego dnia odnajdzie mnie taki, który wpasuje się w moje życie, zamiast wymagać, bym to ja wpasowała się w jego.

– Wszystkie miewamy podobne marzenia. Raz na jakiś czas przyjemnie o tym pomyśleć, szczególnie w chłodny wieczór, siedząc wygodnie w fotelu, ale to tylko mrzonki.

Leesha zmięła list.

– A zatem myślisz o powrocie i ślubie z tym Garedem? – zapytała Jizell.

– Na Stwórcę, skądże!

– To dobrze. Oszczędziłaś mi trudu walenia cię po łbie.

– Moje łono tęskni za dzieckiem, ale prędzej umrę jako stara panna, niż pozwolę, by to Gared mi je dał. Szkopuł w tym, że on nie dopuści, by dał mi je jakikolwiek inny mężczyzna w Zakątku.

– Szast-prast i po problemie. – Jizell wzruszyła ramionami. – Urodź dzieci tutaj.

– Co takiego?

– Zakątek Drwali znajduje się w dobrych rękach. Sama wyszkoliłam Vike, a poza tym ta dziewczyna całym sercem i ciałem należy już do tej wsi. – Staruszka pochyliła się ku Leeshy, kładąc grubą dłoń na jej ramieniu. – Zostań tutaj. Zaczynaj nazywać Angiers domem i przejmij szpital, gdy będę zmuszona z niego zrezygnować.

Leesha wybałuszyła oczy. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Przez te wszystkie lata nauczyłaś mnie tyle, ile ja ciebie – ciągnęła Jizell. – Nikomu innemu nie ufam na tyle, by mu powierzyć to miejsce. Oddam je tobie, choćby Vika miała jutro wrócić.

– Nie wiem, co powiedzieć – zdołała wreszcie wykrztusić dziewczyna.

– Nie musisz nic mówić. Nie ma pośpiechu, nie planuję jeszcze odchodzić. Po prostu przemyśl to sobie.

Leesha pokiwała głową i padła mistrzyni w objęcia. Wtedy głośny krzyk z zewnątrz sprawił, że podskoczyły na równe nogi.

– Pomocy! Pomocy!

Zerknęły za okno. Zmrok zapadł już dawno.

W Angiers otwieranie okiennic nocą karano chłostą, ale Leesha i Jizell nawet o tym nie pomyślały, kiedy zrzucały zasuwę. W oddali ujrzwały trzech gwardzistów biegnących po drewnianym chodniku. Spowalniało ich dwoje ludzi, których nieśli na rękach.

– Hej tam! – krzyknął dowódca straży na widok rozwartych okiennic i światła w pokoju. – Otwierać drzwi! Potrzebujemy schronienia! Schronienia i pomocy znachora!

Kobiety rzuciły się w kierunku schodów. Zbiegały z nich w tak wielkim pośpiechu, że nieomal się powywracały. Trwała zima i choć miejscowi Patroni Runów pieczołowicie usuwali śnieg, lód i zeschnięte liście z barier runicznych, co noc kilka wichrowych demonów znajdowało jakąś lukę. Polowały na bezdomnych i głupców, którzy ważyli się naruszyć zakaz wędrowania ulicami po zmroku. Wichrowy demon mógł opaść całkowicie bezgłośnie, gwałtownie wysunąć szpony i wypatroszyć ofiarę przed pochwyceniem jej w tylne odnóża.

Zielarki dopadły do drzwi i rozwarły je na oścież, przyglądając się nadbiegającym mężczyznom. Nadproża zabezpieczono runami, dzięki czemu zarówno one, jak i pacjenci wciąż byli bezpieczni.

– Co się dzieje? – wykrzyknęła Kadie, wyglądając znad poręczy u szczytu schodów. Zaraz za nią kolejne uczennice wybiegały z pokojów.

– Natychmiast założcie fartuchy i schodźcie na dół! – rozkazała Leesha, a dziewczęta pospieszyły wypełnić polecenie.

Gwardzistów wciąż dzieliła od drzwi spora odległość, ale nie szczydzili sił. Żołądek Leeshy ścisnął się nagle, gdy z góry dobiegł dziki skrzek. Nad miastem zataczały kręgi wichrowe demony, przyciągnięte przez światło i ruch.

Strażnicy znajdowali się jednak coraz bliżej i dziewczyna zaczynała mieć nadzieję, że bezpiecznie dotrą do celu, gdy wtem jeden z nich poślizgnął się na zamarznętej kałuży. Krzyknął, wypuszczając z rąk dźwiganego człowieka.

Gwardzista, który niósł drugie ciało, krzyknął coś, pochylił głowę i przyspieszył. Trzeci strażnik zawrócił i popędził z pomocą leżącemu na ziemi towarzyszowi.

Nagłe uderzenie skórzastych skrzydeł było jedynym ostrzeżeniem. Oderwana głowa trzeciego gwardzisty potoczyła się po deskach chodnika. Kadie wrzasnęła. Nim krew trysnęła z rany, wichrowy demon dziko zawył i wyrwał ku górze, ciągnąc za sobą trupa.

Strażnik niosący nieprzytomnego człowieka przekroczył barierę runiczną. Leesha spojrzała na ostatniego z trójki, który właśnie usiłował się podnieść. Zmarszczyła brwi.

– Leesha, nie! – krzyknęła Jizell. Chciała pochwycić uczennicę za rękę, ale dziewczyna uchyliła się zręcznie i wypadła na zewnątrz.

Biegła ostrymi zygzakami, poganiana przez wrzaski wichrowych demonów, co rusz rozbrzmiewające w zimnym powietrzu nocy. Jeden z otchłańców zanurkował i wyciągnął szpony, ale chybił o kilka cali. Z łoskotem zderzył się z chodnikiem, lecz niemal natychmiast powstał. Twarda skóra zapobiegła złamaniom. Leesha sięgnęła po garść oślepiającego proszku Bruny i cisnęła nim w oczy demona. Bestia zawyła z bólu, a dziewczyna popędziła dalej.

– Uratuj jego, nie mnie – wrzasnął gwardzista, gdy znalazła się już całkiem blisko. Wskazał przy tym na leżącą obok nieruchomą postać. Kostka żołnierza była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem.

– Nie mnie! – krzyknął raz jeszcze.

Leesha pokręciła głową.

– Z tobą pójdzie mi łatwiej – oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem, po czym chwyciła mężczyznę pod ramię i pomogła mu się dźwignąć.

– Głowa nisko – wydyszał strażnik. – Wichrzakom trudniej atakować blisko ziemi.

Zgarbiła się najbardziej jak tylko potrafiła i parła naprzód, zataczając się pod ciężarem rosnącego mężczyzny. Już po kilku krokach uświadomiła sobie, że przy tym tempie nie zdołają dotrzeć żywi do szpitala.

– Teraz! – krzyknęła Jizell. Leesha uniosła głowę i dojrzała, jak Kadie wraz z pozostałymi uczennicami wybiegają na chodnik, trzymając nad głowami brzegi białych prześcieradeł. Łopoczące płótno zakryło niemalże całą szerokość ulicy, przez co demony nie były w stanie wybrać dla siebie celu.

W ten sposób skryta przed nimi staruszka wyskoczyła na zewnątrz, a za nią ocalały gwardzista. Jizell pomogła uczennicy, zaś mężczyzna uniósł

nieprzytomnego. Strach dodał im sił. Błyskawicznie pokonali pozostałą odległość, wpadli do szpitala i zabarykadowali drzwi.

* * *

– Nie żyje – oznajmiła Jizell chłodnym głosem. – Stawiam drewniaka, że umarł jakąś godzinę temu.

– Co takiego?! – wykrzyknął gwardzista ze złamaną nogą. – Prawie poświęciłem życie za trupa?

Leesha zignorowała jego utyskiwania i podeszła do drugiego z rannych.

Miał okrągłą, piegowatą buzię i drobne, smukłe ciało, przez co wyglądał bardziej na chłopca niż mężczyznę. Został brutalnie pobity, ale oddychał, a jego serce biło miarowo. Leesha obejrzała go pospiesznie. Następnie rozcięła ubranie, by poszukać popekanych kości i ran, które poplamiały krwią pstrokatą tunikę.

– Co się stało? – zapytała staruszka, oglądając kostkę strażnika.

– Wracaliśmy z ostatniego obchodu – wycedził mężczyzna przez zaciśnięte zęby. – Leżeli na chodniku. Wyglądali na Minstreli, więc żeśmy pomyśleli, że ich obrabowano po występie. Obaj dychali, ale kiepsko z nimi było. Robiło się ciemno, a wyglądało na to, że bez Zielarki nie przeżyją nocy. No i przypomniałimy sobie o szpitalu. Gnaliśmy co sił w nogach, kryjąc się pod okapami, by nas wichrzaki nie dojrzały.

Jizell pokiwała głową.

– Postąpiliście słusznie.

– Powiedz to nieszczęsnemu Jonsinowi. Na Stwórcę, co ja powiem jego żonie?

– O to będziemy się martwić jutro. – Staruszka przytknęła buteleczkę

do ust mężczyzny. – A teraz pij.

Gwardzista obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

– Co to takiego?

– Pomoże zasnąć. Muszę ci nastawić kostkę, a wierz mi, że lepiej wtedy spać.

Strażnik szybko przełknął płyn.

Leesha nadal oczyszczała rany młodzieńca, gdy ten nagle poderwał się ze stłumionym okrzykiem. Jedno z jego oczu opuchło do tego stopnia, że nie mógł rozewrzeć powiek, ale drugim, jasnozielonym, rozejrzał się z paniką.

– Jaycob! – wrzasnął.

Chciał zeskoczyć z posłania. Dziewczyna próbowała go zatrzymać, ale dopiero z pomocą Kadie i zdrowego gwardzisty zdołała go uspokoić. Wtedy chłopak zwrócił na nią spojrzenie zdrowego oka.

– Gdzie jest Jaycob? Wszystko z nim w porządku?

– Masz na myśli tego starszego mężczyznę?

Młodzieniec pokiwał głową.

Leesha usiłowała dobrać odpowiednio słowa, lecz samo jej zawahanie wystarczyło mu za odpowiedź. Krzyknął i znów próbował się zerwać. Gwardzista przygwoździł go bez pardonu do posłania siłą mięśni i twardego spojrzenia.

– Widziałeś, kto wam to zrobił? – zapytał.

– On nie jest w stanie... – dziewczyna urwała, zgromiona wzrokiem mężczyzny.

– Straciłem tej nocy człowieka, nie mam czasu czekać. No i?

Ostatnie pytanie skierował do chłopaka.

Młodzieniec spojrział w górę, a oko wezbrało mu łzami. W końcu

pokręcił głową, ale gwardzista nie pozwolił mu wstać.

– Ale coś chyba widziałeś, nie? Musiałeś coś zobaczyć!

– Dostyc tego! – krzyknęła Leesha i złapała mężczyznę za nadgarstki.

Przez chwilę się opierał, ale w końcu ustąpił. – Poczekaj w drugiej izbie.

Strażnik burknął coś pod nosem i wyszedł.

Leesha odwróciła się ku posłaniu.

– Wyrzucicie mnie na dwór – wydukał szlochający chłopak, unosząc okaleczoną dłoń. – Śmierć była mi pisana dawno temu, a każdy, kto próbuje mnie ratować, sam ginie!

Młoda Zielarka ujęła dłoń nieznajomego i spojrzała nań ze zrozumieniem.

– Mimo to zaryzykuję. My, cudem ocaleni, powinniśmy trzymać się razem.

Przytknęła mu butelkę z płynem nasennym do ust. Nadal trzymała jego dłoń, użyczając mu swej siły, póki nie zamknął oczu.

* * *

Muzyka skrzypiec wypełniła szpital. Pacjenci klaskali w dłonie, a uczennice płasły podczas pracy. Nawet Leesha i Jizell poruszały się żwawiej niż zwykle.

– Pomyśleć tylko, że nasz młody Rojer martwił się o zapłatę – powiedziała Jizell, gdy przygotowywały posiłek. – Zaczynam się zastanawiać, czy nie poczekać, aż stanie na nogi, i nie zacząć mu płacić, by rozbawiał pacjentów.

– Wszyscy go uwielbiają – zgodziła się Leesha. – Dziewczęta również.

– Widziałam, jak tańczysz, gdy myślałeś, że nikt ci się nie przygląda.

Dziewczyna rozciągnęła usta w ciepłym uśmiechu. Gdy Rojer nie grał na skrzypkach, snuł opowieści, które przyciągały do jego łóżka wszystkie uczennice. Zdradzał im też sztuczki dotyczące nakładania makijażu, które podpatrzył, jak sam utrzymywał, u kurtyzan księcia. Jizell matkowała mu bez ustanku, a pozostałe dziewczęta promieniały w jego towarzystwie i nie przestawały mu dogadzać.

– Dostanie zatem najgrubszy plasterek wołowiny. – Leesha zachichotała, odkroiła porcję i położyła ją na tacy pełnej ziemniaków i owoców.

Staruszka pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, gdzie ten chłopak to mieści. Całą gromadą wpychacie w niego strawę od ponad miesiąca, a nadal jest chudziuteńki jak szpilka. Obiad! – zawołała.

Dziewczęta wbiegły do kuchni. Roni od razu ruszyła po tacę, na której jedzenie piętrzyło się najwyżej, ale Leesha podebrała ją tuż sprzed jej nosa.

– Sama zaniosę – stwierdziła z uśmiechem, widząc malujące się rozczarowanie na twarzach w całej kuchni.

– Rojer powinien porządnie się najeść i odpocząć, zamiast opowiadać historyjki, podczas gdy wy kroicie mu mięso na drobne kawałki – sarknęła Jizell. – Dogadzać będziecie mu później.

– Dość tego grania! – zawołała Leesha, choć nie musiała tego robić. Smyczek ześlizgnął się ze strun z przeciągłym piśnięciem, ledwie przekroczyła próg. Rojer uśmiechnął się i pomachał do młodej Zielarki, strącając drewniany kubek, gdy odkładał na bok instrument. Jego połamane palce i ramię goiły się szybko, ale nogę wciąż miał zawieszoną na szynie, co skutecznie ograniczało jego ruchy. – Pewnie umierasz z głodu. – Leesha położyła mu tacę na kolanie i chwyciła skrzypki. Chłopak

spojrzał na jedzenie z powątpiewaniem.

– A może pomożesz mi w krojeniu, co? – zapytał. Wyszczrzył zęby i uniósł okaleczoną dłoń.

Dziewczyna zmarszczyła lekko brwi.

– Twoje palce wydają się całkiem zręczne, gdy nam przygrywasz. Czyżby naszedł cię nagły niedowład?

– Chodzi o to, że nie znoszę jeść w samotności.

Leesha westchnęła. Przysiadła na skraju łóżka, ujmując nóż i widelec. Odkroiła gruby kęs mięsa, namoczyła w sosie, nabrała kilka kawałków ziemniaka i włożyła to wszystko do ust młodzieńca. Rojer uśmiechnął się, a wtedy po brodzie pociekła mu kropla sosu, co wywołało chichot dziewczyny. Zarumienił się aż po uszy, nagle jego jasne policzki przybrały niemalże kolor włosów.

– Widelec mogę trzymać sam – wybąkał.

– Chcesz, bym pokroiła ci mięso i wyszła? – zapytała Leesha, ale Rojer gwałtownie pokręcił głową.

– A więc bądź cicho. – Nabrała kolejny kęs. Przez chwilę panowała cisza.

– To nie są moje skrzypki – przerwał ją nagle chłopak, spoglądając na instrument. – Należały do Jaycoba. Moje zostały strzaskane, gdy...

I znów się zamyślił, a Leesha zmarszczyła czoło. Choć przebywał w szpitalu od ponad miesiąca, wciąż nie powiedział ani słowa o napaści. Milczał nawet przed oficerami gwardii. Kazał sobie przynieść swój skromny dobytek, ale z tego, co wiedziała, nie skontaktował się nawet z Gildią Minstreli, by powiadomić ich o całym zajściu.

– To nie była twoja wina – rzekła na widok pogłębiającej się pustki w jego oczach. – To nie ty na niego napadłeś.

– To niczego nie zmienia.

– Co masz na myśli?

Rojer umknął spojrzeniem w bok.

– Chodzi o to, że... On zrezygnował już z wykonywania zawodu. Powrócił do niego wyłącznie z mojej winy. Żyłby nadal, gdyby...

– Mówiłeś, że według Jaycoba powrót na scenę był najwspanialszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła przez ostatnie dwadzieścia lat – przypomniała Leesha. – Moim zdaniem, Jaycob przeżył przez ten krótki czas o wiele więcej, niż przeżyłby uwięziony w celi siedziby gildii.

Chłopak pokiwał głową, ale jego oczy zaszklily się od łez. Dziewczyna chwyciła jego dłoń.

– Zielarki często oglądają śmierć. Nikt, naprawdę nikt nie staje przed obliczem Stwórcy, załatwiwszy wszystkie ziemskie sprawy. Czas, który otrzymujemy, musi nam wystarczyć bez względu na to, ile go jest.

– Tylko że każdemu, kto połączy ze mną swój los, nie starcza go na długo...

– Widziałam wielu, wielu ludzi, którzy odchodzili zbyt wcześnie, choć nigdy nie usłyszeli o Bezpalcym. Miałbyś ochotę wziąć na swe barki również winę za ich śmierć?

Młodzieniec spojrzał na Leeszę, a ona bezceremonialnie wcisnęła mu kolejny kęs do ust.

– Umarli nie poczują się gorzej, jeśli zapomnisz o winie i zaczniesz żyć własnym życiem – dodała.

* * *

Gdy przybył Posłaniec, Leesha dźwigała akurat naręcze prześcieradeł.

Wsunęła list od Viki do kieszeni fartucha, a resztę zostawiła na później. Zniosła pościel do pralni, ale wtedy przybiegła do niej jedna z dziewcząt z wiadomością, że któryś z pacjentów pluje krwią. Potem musiała jeszcze nastawić złamaną rękę i przeprowadzić lekcję dla swych uczennic. Nim się zorientowała, słońce zaszło, a dziewczęta udały się na spoczynek. Skróciła knoty w lampach, by roztaczały łagodny pomarańczowy blask, przeszła po raz ostatni wzdłuż szeregu łóżek, upewniając się, że pacjentom nic nie dolega i dopiero wtedy ruszyła do swej komnaty na piętrze. Po drodze pochwyciła spojrzenie Rojera – młodzieniec przywołał ją do siebie gestem, ale uśmiechnęła się w odpowiedzi i pokręciła głową. Pogroziła mu palcem, a potem złożyła dłonie jakby do modlitwy, oparła na nich policzek i przymknęła oczy.

Rojer zmarszczył gniewnie brwi. Mrugnęła do niego i poszła do pokoju, przekonana, że nie ruszy za nią. Zdjęły mu już gips, ale narzekał na ból i słabość, nawet pomimo tego, że rany dobrze się goiły.

Nalała sobie kubek wody. Trwała ciepła wiosenna noc i na dzbanie osiadła rosa. Nieświadomym gestem wytarła dłoń w fartuch, a wtedy usłyszała szelest papieru. Przypomniała sobie o liście – wyciągnęła go, złapała kciukiem pieczęć i przysunęła kartkę do lampy, popijając wodę.

Chwilę później kubek spadł na podłogę, lecz ona nawet tego nie zauważyła ani nie usłyszała brzęku pękającej ceramiki. Zacisnęła list w dłoni i wybiegła z pokoju.

Chłopak znalazł ją, gdy szlochała cichutko w ciemnej kuchni.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem, wsparty ciężko na lasce.

– Rojer? – Leesha pociągnęła nosem. – Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Młodzieniec nie odpowiedział. Podeszedł bliżej i usiadł obok.

– Złe wieści z domu?

Dziewczyna wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem pokiwała głową.

– Mój ojciec złapał przeziębienie, pamiętasz? – Zaczekała, aż Rojer potwierdzi skinieniem głowy. – Już dochodził do siebie, ale wtedy choroba uderzyła ze zdwojoną siłą. Szalała po całym Zakątku. Większość chorych zdołała się wykurować, ale ci słabsi...

Znów zaszlochała.

– Ktoś z twoich przyjaciół? – zapytał chłopak i natychmiast przeklął w myślach swą głupotę. Oczywiście, że ktoś z jej przyjaciół, we wsiach wszyscy znali wszystkich. Leesha jednakże nawet nie zauważyła tego potknięcia.

– Moja nauczycielka Bruna. – Łzy grube jak grochy skapywały na jej fartuch. – I kilku innych, w tym dwoje dzieci, których nigdy nie miałam okazji poznać. W sumie tuzin ludzkich istnień, a połowa mieszkańców nadal zмага się z chorobą. W najgorszym stanie jest mój ojciec.

– Przykro mi to słyszeć...

– Niech ci nie będzie przykro z mojego powodu. Przecież to moja wina! Rojer spojrział na dziewczynę pytającym wzrokiem.

– Powinnam tam być! Już od lat nie jestem uczennicą Jizell. Obiecałam, że wrócę do Zakątka Drwali, gdy moja nauka dobiegnie końca. Gdybym dotrzymała słowa, być może...

– Widziałem pewnego razu, jak przeziębienie zabija mieszkańców Ostatniej Poręby. Ich również chciałabyś wziąć na swe sumienie? Albo tych, co umierają w Angiers, bo nie możesz opiekować się wszystkimi jednocześnie?

– Dobrze wiesz, że to nie to samo!

– Tak? A czy sama nie powiedziałaś, że umarli nie poczują się gorzej, jeśli zapomnisz o winie i zaczniesz żyć własnym życiem?

Leesha spojrzała na Rojera oczyma pełnymi łez.

– Co teraz poczniesz? – zapytał chłopak. – Przeplądziesz całą noc, czy może zaczniesz się pakować?

– Co takiego?

– Mam przenośny krąg Posłańca. Możemy wyruszyć do Zakątka Drwali skoro świt.

– Przecież ty ledwie trzymasz się na nogach!

Młodzieniec odłożył laskę i najpierw stał przez chwilę, a potem zrobił kilka kroków. Poruszał się sztywno, ale najwyraźniej nie potrzebował niczyjej pomocy.

– A więc udajesz, by nieco dłużej wylegiwać się w pierzynach i przyciągać uwagę rozpieszczających cię dziewcząt? – zapytała Leesha.

– Ja? Nigdy! – Policzki Rojera oblał rumieniec. – Ja po prostu... Po prostu nie jestem jeszcze gotów, by występować!

– Ale na wędrowkę do Zakątka Drwali wystarczy ci sił? Przecież bez konia potrwa ona z tydzień!

– Nie sądzę, bym po drodze miał ochotę na jakieś salta. Dam sobie radę.

Leesha skrzyżowała ramiona na piersi i pokręciła energicznie głową.

– W żadnym wypadku. Zabraniam.

– Nie jestem jedną z twych uczennic, nie muszę cię słuchać.

– Ale jesteś moim pacjentem i mogę ci zakazać wszystkiego, co tylko zagraża twemu zdrowiu. Zatrudnię Posłańca.

– Powodzenia – mruknął Rojer. – Ten, który co tydzień rusza na południe, już jest w drodze, a o tej porze roku większość pozostałych ma

inne zajęcia. Przekonanie kóregokolwiek, by rzucił wszystko i zabrał cię do Zakątka, będzie cię kosztować fortunę. Co więcej, potrafię odpędzić otchłańce moją grą. Który z Posłańców może ci to zaoferować?

– Oczywiście, że potrafisz – odparła Leesha tonem sugerującym coś wprost przeciwnego. – Ale ja potrzebuję szybkiego wierzchowca, a nie magicznych skrzypek.

Zignorowała protesty chłopaka, zaprowadziła go do łóżka, a potem wróciła do pokoju i zaczęła pakować tobołki.

* * *

– A więc jesteś tego pewna? – zapytała rano Jizell.

– Wyruszam – odparła zdecydowanie Leesha. – Vika i Darsy nie dadzą sobie rady, mają za dużo na głowie.

Staruszka pokiwała głową.

– Rojer chyba sądzi, że to on cię tam zabierze – dodała.

– Niedoczekanie jego! Chcę zatrudnić Posłańca.

– Od świtu się pakuje.

– Przecież on ledwie doszedł do siebie!

– Co ty wygadujesz? – zaprotestowała Jizell. – Jest tu od trzech miesięcy! Od rana ani razu nie złapał za laskę. Coś mi się zdaje, że ta laska była jedynie pretekstem, by spędzić przy tobie nieco więcej czasu.

– Sądzisz, że Rojer... – Leesha rozdziawiła usta.

Zielarka wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że nie co dzień spotyka się mężczyznę, który gotów jest stawiać dla ciebie czoła otchłańcom.

– Jizell, mogłabym być jego matką!

– Bzdura! Masz tylko dwadzieścia siedem lat, a Rojer twierdzi, że ma dwadzieścia.

– Rojer wygaduje wiele rzeczy.

Staruszka machnęła tylko ręką.

– Twierdzisz, że nie masz nic wspólnego z moją matką – dodała Leesha – ale obie znajdziecie sposób, by z każdej tragedii uczynić powód do dyskusji o moim życiu miłosnym.

Jizell już otwierała usta, by coś odpowiedzieć, ale dziewczyna uniosła dłoń.

– Wybacz, ale muszę znaleźć Posłańca – oznajmiła i z hukiem wypadła z kuchni. Podsluchujący pod drzwiami Rojer ledwo zdążył uskoczyć jej z drogi.

* * *

Nie licząc pieniędzy od ojca i zarobków ze szpitala, Leesha mogła jeszcze spieniężyć kwit Banku Książęcego na kwotę stu milneńskich słońc. Suma ta przekraczała wszelkie wyobrażenia przeciętnego Angieriańczyka, ale Posłańcy nie zwykli ryzykować życia dla garści drewniaków. Dziewczyna miała nadzieję, że jej to wystarczy, jednakże słowa Rojera okazały się proroctwem – lub klątwą.

Wiosenna wymiana handlowa trwała w najlepsze i nawet najgorsi Posłańcy mieli pełne ręce roboty. Skot wyjechał z miasta, a sekretarz Gildii Posłańców okazał się niezbyt pomocny. Zaoferował co prawda towarzystwo Posłańca jadącego na południe, ale miało to nastąpić dopiero za sześć dni.

– Przecież w tym czasie dojdę tam pieszo! – wrzasnęła na urzędnika

Leesha.

– A zatem proszę ruszać – odparł sucho mężczyzna. – Szkoda czasu.

Dziewczyna przygryzła język i wyszła. Oszalałaby chyba bez reszty, gdyby musiała czekać cały tydzień do wyjazdu. A gdyby w międzyczasie zmarł jej ojciec...

– Leesha? – ktoś nagle zawołał. Zatrzymała się jak wryta i powoli odwróciła.

– Tak, to naprawdę ty! – Marick szedł w jej kierunku z rozpostartymi ramionami. – Nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż przebywasz w mieście!

Zaskoczona, pozwoliła mu się objąć.

– Co porabiasz w siedzibie gildii? – zapytał Posłaniec, lustrując ją wzrokiem z wyraźną aprobatą. Nie zmienił się wiele – nadal był niezwykle przystojny, a jego oczy płonęły niczym u wilka.

– Szukam eskorty do Zakątka Drwali. We wsi szaleje choroba i potrzebują tam mojej pomocy.

– Chyba mógłbym cię zabrać. Musiałbym co prawda poprosić kolegę o przysługę, by pojechał za mnie do Rzeczułki, ale nie powinno to stanowić problemu.

– Mam pieniądze.

– Wiesz, że nie przyjmuję monet. – Marick obrzucił dziewczynę lubieżnym spojrzeniem, znów podchodząc bliżej. – Jest tylko jedna forma zapłaty, która mnie interesuje.

Wyciągnął dłoń, by uszczypnąć ją w pośladek, a Leesha powstrzymała odruch, by się odsunąć. Pomyślała o ludziach, którzy jej potrzebowali, a potem o tym, co Jizell powiedziała o wiankach usychających w samotności. Być może tak to właśnie obmyślił Stwórca. Być może dziś

właśnie miała spotkać Maricka. Przełknęła z trudem ślinę i skinęła głową.

Posłaniec wyprowadził ją z głównego korytarza do ocienionej niszy, przyparł do ściany za wielką drewnianą rzeźbą i pocałował mocno. Dziewczyna po chwili podjęła grę – zarzuciła mu rękę na szyję i odpowiedziała na pocałunek. Marick wsunął jej w usta ciepły język.

– Tym razem nie będę miał problemu – obiecał. Ujął dłoń dziewczyny i położył ją sobie na nabrzmiałej męskości.

Leesha uśmiechnęła się skromnie.

– Mogłabym cię odwiedzić w karczmie przed zmierzchem. Moglibyśmy... spędzić razem noc i wyjechać z rana.

Marick rozejrzał się i pokręcił głową. Znów przycisnął ją do ściany i sięgnął dłonią do paska.

– Czekałem na to zbyt długo – wydyszał. – Jestem gotów i nie pozwolę, by i tym razem przeszło mi to koło nosa.

– Nie mam zamiaru robić tego w korytarzu! – syknęła Leesha, próbując go odepchnąć. – Ktoś nas jeszcze zobaczy!

– Nikt nas nie zobaczy! – Posłaniec nie przestawał napierać. Wydostał członka i zaczął zadzierać jej suknie. – Pojawiłaś się tutaj jak za sprawą czarów, a ja tym razem jestem gotów. Czegóż więcej mogłabyś chcieć?

– Odrobiny prywatności? Łóżka? Pary świec? Czegokolwiek?

– A może jeszcze Minstrela śpiewającego za oknem? – zaszydził Marick i wsunął palce między nogi Leeshy. – Zupełnie jakbyś była dziewicą!

– Ale ja jestem dziewicą!

Cofnął się o krok, trzymając członka w dłoni, i spojrzał na nią z niesmakiem.

– Każdy w wiosce gadał, że oddałaś się tej małpie Garedowi

przynajmniej z tuzin razy. Tyle czasu minęło, a ty nadal kłamiesz?

Leesha z całej siły rąbnęła Maricka kolaniem w krocze.

Wybiegła z siedziby gildii, pozostawiając Posłańca jęczącego i zwijającego się na ziemi.

* * *

– Nikt nie chciał cię zabrać? – zapytał tej nocy Rojer.

– Nikt, z kim nie musiałabym się przespać w zamian za przysługę – burknęła dziewczyna, nie wspominając, że przecież prawie przystała na taki układ. Nawet teraz nie przestawała myśleć, że mimo wszystko popełniła wielki błąd. W głębi duszy żałowała, że nie uległa Marickowi, ale nawet jeśli staruszka miała rację i dziewictwo nie było najcenniejszym skarbem na świecie, z pewnością nie powinno zostać jej odebrane przez człowieka, który myślał o niej w taki sposób.

Zamknęła oczy odrobinę za późno i zdołała jedynie wycisnąć łzy, których tak bardzo pragnęła uniknąć. Poczowała, jak Rojer dotyka jej twarzy. Spojrzała na niego, a chłopak z zawadiackim uśmiechem machnął dłonią obok jej ucha i nagle znalazła się w niej różnobarwna chustka. Dziewczyna roześmiała się na przekór sobie i otarła nią policzki.

– Pamiętaj, że wciąż możesz wyruszyć ze mną – powiedział. – Skoro przemierzyłem drogę z Angiers do Doliny Pastuszków, do Zakątka Drwali też cię doprowadzę.

– Naprawdę? – Leesha pociągnęła nosem. – A nie jest to aby jedna z twych historyjek o Jaku Łuskowym Języku, który czarował otchłańce grą na skrzypkach?

– Naprawdę.

– Dlaczego chcesz to dla mnie zrobić?

Rojer chwycił rękę dziewczyny okaleczoną dłonią.

– Jesteśmy ocalonymi, prawda? Ktoś mi kiedyś powiedział, że cudem ocaleni muszą się trzymać razem.

Leesha zachlipała i mocno go uścisnęła.

* * *

Czy ja postradałem zmysły? – zastanawiał się Rojer, gdy wyjechali poza bramy Angiers. Leesha kupiła konia, ale sama kiepsko jeździła, a on nigdy wcześniej nie siedział w siodle. Teraz obejmował dziewczynę w pasie, podczas gdy ona prowadziła wierzchowca w tempie niewiele szybszym od marszu.

Każde otarcie nogi o skórę zwierzęcia powodowało ból, ale nie narzekał. Gdyby cokolwiek powiedział, póki miasto znajdowało się w zasięgu wzroku, Leesha niechybnie by zawróciła.

Co zapewne i tak powinienes zrobić, pomyślał. Jesteś Minstrelem, a nie Posłańcem!

Ale Leesha go potrzebowała, a on wiedział od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, że nigdy niczego jej nie odmówi. Traktowała go jak dziecko, ale był pewien, że to się zmieni, gdy ją przywiedzie do domu, gdy udowodni, że ma dużo do zaoferowania i że potrafi zadbać zarówno o siebie, jak i o nią.

Zresztą nie widział żadnego powodu, by pozostać w Angiers. Gildia uznała go za tak samo martwego jak Jaycoba, z czego się raczej cieszył. Pamiętał słowa Jasina: „Poskarż się tylko strażnikom, a zawisniesz”, ale zdawał sobie sprawę, że gdyby Złotogłosy go odnalazł, naprawiłby niedopatrzenie i uciszył go na wieki.

Spojrzał na drogę biegnącą w dal i poczuł, jak coś go ściska w żołądku. Świerszczowa Ostoja i Pniak leżały w odległości jednego dnia jazdy od Angiers, ale Zakątek Drwali znajdował się znacznie dalej. Nawet mając konia, mogli potrzebować czterech dni, by tam dotrzeć. Rojer nigdy dotąd nie spędził więcej niż dwóch nocy pod gołym niebem, a i to nastąpiło tylko raz.

Znów przed oczyma stanęła mu śmierć Arricka. Czy zdołałby się pozbierać również po stracie Leeshy?

– Wszystko w porządku? – zapytała dziewczyna.

– Słucham?

– Dłonie ci się trzęsą.

Spojrzał na ręce, którymi otoczył ją w talii.

– To nic takiego – mruknął. – Zwykły dreszcz.

– Nie znoszę tego uczucia – odparła Leesha, ale Rojer ledwie to usłyszał. Spoglądał na dłonie i próbował je uspokoić siłą woli.

Jesteś aktorem! – ofuknął się w myślach. Odgrywaj dzielnego!

Przywołał wyobrażenie Marka Włóczęgi, odkrywcy ze swych opowieści. Opisywał i odgrywał tę rolę tak często, że nawyki i zachowania zmyślonego bohatera stały się niemalże jego drugą naturą. Uniósł nagle głowę, a ręce przestały drżeć.

– Daj mi znać, kiedy się zmęczysz – powiedział. – Ujmę wtedy wodze.

– Sądziłam, że nigdy dotąd nie jeździłeś konno.

– Starczy się za coś chwycić, a wnet się człowiek wszystkiego nauczy – Rojer zacytował powiedzonko, którego Marko Włóczęga używał za każdym razem, gdy napotykał coś nowego.

Marko Włóczęga nie odczuwał strachu przed nieznanym.

* * *

Z pomocą Rojera podróżowali nieco szybciej, ale i tak ledwie zdążyli do Pniaka przed zmierzchem. Zaprowadzili konia do stajni i skierowali się do gospody.

– Jesteś Minstrelem? – zapytał gospodarz, mierząc chłopaka wzrokiem.

– Nazywam się Rojer Bezpalczy. Przybywam z Angiers i osad na Zachodzie.

– Nigdy o tobie nie słyszałem, ale dam ci pokój za darmo, jeśli urządzisz nam przedstawienie.

Rojer zerknął na Leeszę, a gdy ta wzruszyła ramionami i skinęła głową, z uśmiechem rozwiązał worek z cudami.

Pniak był niewielkim skupiskiem gospodarstw połączonych ze sobą chodnikami chronionymi runami. W przeciwieństwie do wszystkich innych wiosek, które Rojer odwiedził, mieszkańcy opuszczali w nocy domy i przemieszczali się swobodnie – choć z pośpiechem – między budynkami.

To zaś oznaczało, że przestronna sala gospody wypełniła się po brzegi ludźmi, co sprawiło Rojerowi wielką radość.

Występował po raz pierwszy od miesiąca, ale czuł się w swoim żywiole i wkrótce publiczność klaskała i wybuchała niepohamowanym śmiechem, gdy snuł opowieści o Jaku Łuskowym Języku oraz Naznaczonym.

Gdy wrócił do stołu, Leesha rumieniła się od wypitego wina.

– Byłeś po prostu wspaniały – stwierdziła. – Wiedziałam, że tak będzie.

Rozpromieniony Rojer chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy do ławy podeszło dwóch mężczyzn dzierżących kilka kufli. Jeden podali Minstrelowi, a drugi Leeszy.

– Przednie widowisko – powiedział pierwszy. – Wiem, że to marna zapłata, ale...

– Bynajmniej! Wielkie dzięki, zacni panowie. Proszę, usiądźcie z nami. Chłopak wskazał puste miejsca przy stole. Obaj nieznajomi usiedli.

– Co was sprowadza do Pniaka? – zapytał pierwszy, niski mężczyzna z gęstą czarną brodą. Jego o wiele potężniej zbudowany towarzysz milczał.

– Zmierzamy do Zakątka Drwali. Leesha jest Zielarką i zamierza pomóc tamtejszym ludziom w walce z chorobą.

– Przecież to szmat drogi! – Czarnobrody pokręcił głową. – Jak chcecie przeżyć noc?

– Nie musisz się tym martwić – odparł pewny siebie Rojer. – Mamy krąg Posłańca.

– Przenośny krąg? – w głosie nieznajomego znać było zaskoczenie. – Pewnie sporo cię to kosztowało.

Chłopak pokiwał głową.

– Nawet więcej, niż myślisz.

– Dobrze, nie będziemy wam dłużej zabierać czasu. – Obaj nieznajomi powstali. – Pewnie chcecie wyruszyć z samego rana.

Odeszli i dołączyli do trzeciego mężczyzny, który siedział przy innym stole. Rojer i Leesha szybko osuszyli kufle i udali się na spoczynek.

Zmrok

332 RP

Popatrzcie tylko na mnie! Jestem Minstrelem! – zawołał mężczyzna, naciągnawszy na głowę pstrokatą czapkę. Czarnobrody zarechotał, ale ich trzeci towarzysz, większy od nich dwóch razem wziętych, nie odezwał się słowem. Na ustach całej trójki gościły uśmiechy.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czym ta wiedźma we mnie rzuciła – burknął czarnobrody. – Wsadziłem łeb pod wodę, a oczy wciąż pieką jak jasny gwint.

Szczerząc zęby, uniósł krąg Posłańca i wodze konia.

– Mniejsza zresztą o to. Taka zdobycz przytrafia się raz w życiu.

– Miną długie miesiące, zanim znów będziemy musieli wziąć się do pracy – oznajmił mężczyzna w czapce Minstrela, podrzucając sakiewkę z monetami. – I popatrzcie, wyszliśmy z tego bez szwanku!

Podskoczył i strzelił obcasami.

– Może ty wyszedłeś. – Czarnobrody zachichotał. – Ale mnie kilka zadrapań na plecach zostało! Ta kurewka była warta prawie tyle co krąg, choć przez ten proszek, którym cisnęła mi w oczy, ledwie mogłem dojrzeć,

co gdzie wpycham.

Milczący gigant klasnął w dłonie, uśmiechając się dziko, a mężczyzna w czapce podskoczył i strzelił obcasami.

– Trzeba było ją zabrać – dodał. – Zimno się robi w tej nieszczęsnej jaskini.

– Nie bądź głupi, mamy teraz konia i przenośny krąg. Nie musimy się gnieździć w tej zatechłej dziurze i właśnie to jest w tym wszystkim najlepsze. W Pniaku gadają, że książęcy ludzie widzieli tych dwoje tuż przed tym, jak żeśmy na nich napadli. Trza nam ruszać w drogę skoro świt, bo jeszcze dopadną nas pacholki Rhinebecka.

Wszyscy trzej do tego stopnia pochłonięci byli rozmową, że dostrzegli jeźdźca dopiero wtedy, gdy znalazł się zaledwie kilka jardów od nich. W rzadniejącym świetle wyglądał niczym upiór – odziany w powiewające na wietrze szaty jechał na czarnym rumaku w cieniu drzew porastających skraj drogi.

Na jego widok radość natychmiast znikła z twarzy trzech rozbójników, zastąpiona wyrazem zaciętości. Czarnobrody upuścił krąg na ziemię i pochwycił za ciężką pałkę. Był krępy, barczystym mężczyzną z rzadniejącymi włosami i długą, niezadbaną brodą. Tuż za nim wyrósł jego milczący, olbrzymi towarzysz z maczugą wielkości niewielkiego drzewa, a ich kompan w pstrokatej czapce porwał za włącznię o poszczerbionym, powyginanym ostrzu.

– To nasza droga! – wycodził przez zęby czarnobrody – Chętnie się nią dzielimy, pod warunkiem uiszczenia niewielkiej opłaty.

Tymczasem nieznajomy właśnie wyjeżdżał z cienia.

Przy jego siodle wisiał kołczan z ciężkimi strzałami, a łuk z nałożoną cięciwą znajdował się w zasięgu ręki jeźdźca. Po drugiej stronie przy

uprząży tkwiła włócznia długa niczym rycerska kopia, a obok niej okrągła tarcza. Nad siodłem sterczało kilka oszczepów, których ostrza migotały dziko w promieniach zachodzącego słońca.

Nieznajomy nie sięgnął jednak po żadną broń, a pozwolił jedynie, by kaptur zsunął mu się z głowy. Na twarzach trójki rozbójników pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Ich przywódca szybko postąpił kilka kroków w tył i podniósł krąg.

– W zasadzie moglibyśmy ci pozwolić przejechać za darmo ten jeden raz – poprawił się, zerkając na kompanów. Nawet milczący olbrzym pobladł ze strachu. Nadal trzymali broń w pogotowiu, ale ostrożnie okrążyli konia i zaczęli wycofywać się w dół drogi.

– I żebyśmy cię więcej nie widzieli! – wykrzyknął czarnobrody, gdy odeszli na bezpieczną odległość. Nieznajomy nawet się nie odwrócił.

* * *

Gdy głosy ucichły, Rojer wreszcie zwalczył strach. Powiedzieli mu, że go zabiją, jeśli jeszcze raz spróbuje się podnieść. Sięgnął do tajemnej kieszeni, ale wymacał tam jedynie kawałki połamanego drewna i rzadkie kosmyki włosów. Laleczka zapewne została zniszczona, gdy olbrzym-niemowa kopnął chłopaka w brzuch. Rojer jednakże nie dbał już o talizman, pozwolił, by jego pozostałości wypadły ze zdrtwiałych palców prosto w błoto.

Wtedy ciszę przerwało szlochanie. Uzmysłowił sobie, że boi się spojrzeć na Leeszę. Już raz popełnił ten błąd, gdy olbrzym wstał z jego pleców, by zająć swe miejsce między nogami dziewczyny. Jego kompan szybko go zastąpił i znów przygniótł chłopaka do ziemi. Rozbójnicy

traktowali go jak wygodne siedzisko, z którego mogli obserwować zabawę.

Spojrzenie olbrzyma nie grzeszyło rozumnością, ale nawet jeśli nie przejawiał sadyzmu, który cechował jego towarzyszy, to ślepy, dziki popęd, uosobienie zwierzęcej żądzy w ciele skalnego demona, okazał się wystarczająco przerażający. Rojer przez moment widział, jak mężczyzna przygniata Leeszę. To wystarczyło. Gdyby mógł usunąć te wspomnienia z pamięci, wydrapując sobie oczy, uczyniłby to bez wahania.

Okazał się głupcem, zdradzając kierunek wędrowki i asa, którego trzymał w rękawie. Najwyraźniej cały ten czas spędzony w zachodnich wioskach przytępił jego naturalną nieufność wobec obcych.

Marko Włóczęga by im nie zaufał, pomyślał.

Nie było to jednak do końca prawdą. Marko bez przerwy dawał się wyprowadzać w pole lub obrywał pałką i leżał w pyle drogi, czekając na śmierć, ale zawsze znalazł sposób na wyjście z tarapatów.

Bo to ty wymyślałeś zakończenia tych opowieści, przypomniał sobie chłopak.

Niemniej jednak wyobrażenie Marka Włóczęgi, który wstaje i otrzepuje kurz z ubrania, pozostało Rojerowi przed oczyma i pomogło mu zebrać dość sił, by wreszcie poruszyć członkami. Natychmiast przeszył go ból, ale nie sądził, by napastnicy złamali mu jakąś kość. Lewe oko napuchło tak bardzo, że ledwo co widział, a nabrzmiała warga smakowała krwią. Ciało miał obite i pokryte siniakami, ale Abrum swego czasu urządził go znacznie gorzej.

Tym razem jednak nie było w pobliżu gwardzistów, którzy zawlekliby go w bezpieczne miejsce. Ani matka, ani mistrz nie zastąpią demonowi drogi.

Leesha znów zaszlochala, a Rojer poczuł narastający ciężar winy.

Walczył, by ocalić jej cześć, ale miał przeciwko sobie trzech uzbrojonych i o wiele silniejszych mężczyzn. Cóż więcej mógł począć?

Szkoda, że mnie nie zabili, pomyślał. Wolałbym być martwy, niż przyglądać się, jak...

Tchórz, warknął głos w jego głowie. Rusz się. Ona cię potrzebuje.

Rojer powstał z wyraźnym trudem i rozejrzał się po okolicy. Leesha leżała z podkurczonymi nogami w pyle leśnej drogi, nie mając nawet tyle siły, by zakryć znamiona upokorzenia. Nie dostrzegł w pobliżu żadnych śladów rozbójników.

W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Stracili przecież przenośny krąg, a bez niego oboje byli martwi. Od Pniaka dzielił ich niemalże cały dzień drogi, a podczas wędrówki do Zakątka Drwali nie mogli liczyć na żadne ślady ludzkiej bytności. Do zmierzchu pozostawała zaś niecała godzina.

Rojer podszedł do dziewczyny i padł na kolana.

– Leesha, wszystko w porządku? – zapytał, przeklinając drzenie głosu. Musiał okazać siłę, której ona tak bardzo teraz potrzebowała. – Leesha, proszę, odezwij się.

Dziewczyna go nie słyszała. Skuliła się jeszcze bardziej, dygocząc i szlochając. Rojer pogładził ją po plecach i szepcząc słowa pocieszenia, delikatnie obciągnął spódnice, by zakryć jej wstyd. Bez względu na to, dokąd uciekła jej świadomość w reakcji na straszliwe przejścia, z pewnością nie chciała tego miejsca opuścić. Próbował ją utulić, ale gwałtownie go odepchnęła i znów objęła rękami nogi, targana spazmami.

Rojer zabrał się za zbieranie resztek dobytku. Rozbójnicy przetrząsnęli sakwy, zabrali wszystko, co stanowiło dla nich jakąkolwiek wartość, a resztę rozrzućili, niszcząc co popadnie. Ubrania Leeshy leżały po całej

drodze, kolorowy worek z cudami Arricka przesiąkał błotem w kałuży. Niemalże cała jego zawartość została skradziona lub roztrzaskana. Kawalek dalej Rojer dostrzegł drewniane piłeczki do żonglowania, ale nie miał ochoty ich podnosić.

Zaraz potem na skraju drogi zauważył odkopnięty tam przez olbrzyma futerał na skrzypki i raptem odżyła w nim nadzieja. Podbiegł i od razu zauważył, że futerał jest otwarty. Sam instrument nadawał się jeszcze do użycia – wystarczyło założyć nowe struny i nieco je nastroić – ale nigdzie nie widział smyczka.

Natychmiast przystąpił do poszukiwań. Rozrzucał liście i myszkował wśród runa z narastającą paniką, ale bez skutku – smyczek przepadł na dobre. Chłopak schował skrzypki z powrotem do futerału i rozłożył jedną z długich sukien Leeshy, by zawinąć w nią skromne pozostałości ich dobytku.

Nieruchomym powietrzem targnął silny podmuch wiatru. Liście zaszeleściły. Rojer spojrział na zachodzące słońce i niespodziewanie z całą mocą uświadomił sobie, że pisana jest im śmierć. Cóż z tego, że będzie miał wówczas ze sobą tobolek ze skrzypkami bez smyczka oraz nieco ubrań?

Pokręcił głową. Wciąż żyli, a przy odrobinie pomysłu mogli przecież uniknąć otchłańców. Zacisnął dłoń na futerałach skrzypek, czując przypływ sił. Jeśli przetrwają noc, obetnie Leeshy pukiel włosów i sporządzi nowy smyczek. Demony nie wyrządzą im żadnej krzywdy, dopóki będzie mógł grać.

Lasy po obu stronach drogi wydawały się ciemne i niebezpieczne, ale Rojer wiedział, że otchłańce przedkładały polowanie na ludzi ponad polowanie na inne stworzenia. Będą się trzymać blisko drogi, a zatem

powinien poszukać w głuszy kryjówki lub odosobnionego miejsca na przygotowanie kręgu.

A niby jak to zrobisz? – zapytał ów znieawidzony głos w jego głowie. Nigdy nie zadałeś sobie trudu, by się tego nauczyć.

Rojer podszedł do Leeshy. Dziewczyna wciąż drżała i płakała.

– Leesha, musimy zejść z drogi – powiedział, klękając tuż przy niej. Odczekał chwilę, ale nie reagowała. – Musimy znaleźć jakieś schronienie – dodał głośniejszym głosem, potrząsając jej ramieniem. – Leesha, słońce zachodzi!

Nagle szloch ustał i dziewczyna uniosła głowę. Spojrzała na zatroskane, posiniaczone oblicze chłopaka, a wtedy jej twarz znów wykrzywił grymas cierpienia.

Mimo to Rojer zdawał sobie sprawę, że na chwilę dotarł do jej świadomości, i nie miał zamiaru się poddawać. Potrafił sobie wyobrazić przynajmniej kilka rzeczy o wiele gorszych od tego, co ją spotkało, a śmierć przez rozszarpanie na kawałki szponami demona znajdowała się na szczycie listy. Raz jeszcze chwycił dziewczynę za ramiona i potrząsnął nią z całej siły.

– Leesha, musisz wziąć się w garść! – wykrzyknął. – Jeśli nie znajdziemy miejsca na przeczekanie nocy, wschodzące słońce opromieni krwawe strzepy rozrzucone po całej drodze!

Celowo wzbogacił ostrzeżenie tak barwnym opisem, chcąc przemówić do wyobraźni dziewczyny. Osiągnął cel, gdyż Leesha natychmiast się poderwała.

Ciężko oddychała, ale wreszcie przestała płakać. Rojer otarł jej twarz rękawem.

– Co teraz pocniemy? – szepnęła, ściskając go boleśnie za rękę.

Raz jeszcze przywołał przed oczy obraz Marka Włóczęgi.

– Po pierwsze, trzeba nam zejść z traktu – rzekł chłodnym tonem, starając się sprawić wrażenie pewnego siebie. Udawał, że ma plan, podczas gdy nie miał bladego pojęcia, co począć. Leesha pokiwała głową i pozwoliła, by pomógł jej wstać. Jej twarz przeciął grymas bólu.

Rojer chwycił ją mocno i razem pokuśtykali w głąb lasu. Ostatnie strużki światła przebijały się przez gęste korony drzew, a pod nogami szeleściły gałęzie i suche liście. Wokół unosił się mdlący, słodki smród gnijących roślin. Rojer nienawidził lasów.

Przetrzęsął zakamarki pamięci w poszukiwaniu opowieści o ludziach, którzy przetrwali noc pod gołym niebem, w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, co robić, czegokolwiek, co mogłoby im pomóc.

Szybko stwierdził, że wedle wszystkich znanych mu historii najłatwiej było przetrwać noc w jaskini. Otchłańce wołały polować na otwartym terenie, a jaskinia zabezpieczona najprostszymi nawet runami zapewniała o wiele większe bezpieczeństwo niż kryjówki na zewnątrz. Rojer pamiętał zaś przynajmniej trzy sąsiadujące ze sobą znaki z przenośnego kręgu – być może wystarczyłoby to do zagrodzenia wejścia do groty.

Nie wiedział jednak o żadnych jaskiniach w pobliżu i nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. Rozglądał się dookoła bezradnie, gdy nagle dosłyszał odgłos płynącej wody. Natychmiast pociągnął dziewczynę w tamtym kierunku. Podczas łowów otchłańce kierowały się wzrokiem, słuchem i węchem. Skoro nie mieli prawdziwego, chronionego runami schronienia, musieli zrobić coś – cokolwiek – by oszukać ich zmysły. Może wystarczyłoby zakopać się w błocie na brzegu rzeki?

Rzeka okazała się jednak strumykiem o wąziutkich brzegach. Rojer podniósł gładki otoczak i cisnął nim z całej siły, warcząc z tłumionej wściekłości. Nagle dostrzegł, jak Leesha kuca w ledwie sięgającej kostek

wodzie, nabiera jej w dłonie i obmywa całe ciało. Twarz, piersi, uda...

– Musimy ruszać – rzucił. Chciał ją chwycić za rękę, ale krzyknęła i wyrwała się, a potem pochyliła po więcej wody. – Leesha, nie mamy na to czasu! – Szarpnął ją z całej siły i zmusił do powstania. Wciągnął ją głębiej w las, bez pomysłu, w którą iść stronę.

Poddał się dopiero wtedy, gdy dotarli na niewielką polanę. Nie dostrzegł żadnych kryjówek, więc ich ostatnią nadzieją pozostawało nakreślenie kręgu. Puścił Leeshę i wbiegł na polankę. Odgarniał w pośpiechu zgniłe liście, by dostać się do miękkiej, wilgotnej gleby.

* * *

W zamglone oczy Leeshy powoli wracała świadomość. Dziewczyna przyglądała się Rojerowi, który oczyszczał ziemię. Nogi wciąż miała miękkie i oparła się ciężko o pień drzewa.

Jeszcze kilka minut temu była przekonana, że nigdy nie zdoła się otrząsnąć po tych straszliwych przejściach, ale groźba nadejścia otchłańców stawała się coraz realniejsza i dziewczyna odkryła – niemalże z wdzięcznością – że tylko dzięki temu przestała w końcu odtwarzać w głowie scenę gwałtu.

Błede policzki miała ubrudzone ziemią i wilgotne od łez. Próbowwała wygładzić podarte suknie, by odzyskać choć odrobinę godności, ale ból między nogami nie pozwalał jej zapomnieć, że godność została jej wydarta raz na zawsze.

– Już prawie ciemno! – jęknęła. – Co teraz pocniemy?

– Wyrysuję krąg w ziemi. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

– A wiesz w ogóle, jak się do tego zabrać?

– Tak. Chyba tak – odpowiedział Rojer bez przekonania. – Miałem ten przenośny krąg przez całe lata. Pamiętam wszystkie symbole.

Ujął patyk i zaczął ryć w mokrej glebie, co chwila zerkając na ciemniejące niebo.

Okazywał dla niej odwagę. Leesha nagle poczuła, jak ogarnia ją poczucie winy. Twierdził, że ma dwadzieścia lat, ale wiedziała, że to nieprawda. Popęłniła błąd. Nie powinna była zabierać go w tak niebezpieczną podróż.

Wyglądał teraz mniej więcej tak jak wtedy, gdy go zobaczyła po raz pierwszy. Napuchnięta i posiniaczona twarz, krew ciekąca z nosa i ust... Co rusz ocierał ją rękawem i udawał, że nic sobie z tego nie robi, ale Leesha bez trudu przejrzała jego grę. Wiedziała, że jest przerażony w tym samym stopniu co ona, ale jego starania stanowiły dla niej ogromną pociechę.

– To chyba powinno być inaczej – zauważyła, przyglądając się jego pracy.

– Będzie jak należy – warknął Rojer.

– Jestem pewna, że otchłańcom bardzo się spodoba twój krąg – burknęła w odpowiedzi, rozdrażniona jego tonem. – Oczaruje je wszystkie swą nieskutecznością. A może powinniśmy wdrapać się na drzewo?

– Otchłańce są w tym od nas lepsze.

– To poszukajmy jakiejś kryjówki!

– Szukaliśmy, póki miało to sens. Zaraz zapadną ciemności, a ja muszę dokończyć krąg. Na szczęście będziemy w nim bezpieczni.

– Wątpię. – Leesha pokręciła głową, przyglądając się nierównym liniom.

– Gdybym tylko miał skrzypki...

– Nawet nie wspominaj o tym przeklętym rupieciu! – warknęła. Rozdrażnienie pomogło jej odpędzić upokorzenie i strach. – Tu nie ma dziewcząt, przed którymi możesz się chełpić, że potrafisz zaklinać demony swą grą! Co ci przyjdzie z tego, że nawet w chwili śmierci będziesz opowiadać te zmyślane historyjki?

– Ale ja niczego nie zmyślam!

– Niech ci będzie – westchnęła Leesha i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Przecież wszystko będzie dobrze!

– Na Stwórcę, czy nie możesz choć na chwilę przestać kłamać? Nic nie będzie dobrze i doskonale o tym wiesz! Otchłańce to nie bandyci, nie zadowolą się tylko...

Głos jej zadrzał i ucichł, gdy znów spojrzała na podarte suknie.

Na twarz chłopaka wypłynął grymas cierpienia i wtedy Leesha zrozumiała, że potraktowała go zbyt okrutnie. Chciała się po prostu wykrzyzczyć, a łatwo było obwinie Rojera i jego czcze przechwałki za to, co się stało. W głębi serca wiedziała jednak, że to raczej ją należało winić. Przecież Rojer wyjechał z Angiers wyłącznie ze względu na nią.

Spojrzała w niebo i zadała sobie pytanie, czy zdąży go przeprosić, zanim zostaną rozszarpani na strzępy.

Coś się poruszyło w krzakach za ich plecami. Oboje aż podskoczyli ze strachu. Gdy się odwrócili, ujrzeli owiniętego w szary płaszcz mężczyznę, który właśnie wkroczył na polanę. Skrywał twarz w cieniu kaptura. Nie miał przy sobie broni, ale jego postawa zdradziła Leeshy, że jest niebezpiecznym człowiekiem. Jeśli Maricka można było nazwać wilkiem, ten zasługiwał na miano lwa.

Scena gwałtu znów stanęła jej przed oczyma. Zastanawiała się przez

krótką chwilę, co sprawiłoby jej większy ból: kolejny gwałt czy śmierć zadana przez demony.

Rojer poderwał się na nogi, pochwycił Leeszę i pociągnął do tyłu, zasłaniając jej ciało własnym. Z wykrzywioną twarzą wymierzył kij w kierunku nieznajomego. Zakapturzony zignorował ich i podszedł do kręgu. Przyjrzał mu się z uwagą.

– W twojej barierze są luki – powiedział. – Tu, tu i tam. A to – kopnął ziemię, przysypując jeden z niezdarnie wyrysowanych symboli – to nawet nie jest run.

– Umiesz ją naprawić? – zapytała z nadzieją Leesha, uwalniając rękę i podchodząc do nieznajomego.

– Leesha, nie! – szepnął Rojer, ale dziewczyna go zignorowała.

Mężczyzna zresztą nawet nie spojrzał w jej kierunku.

– Nie ma już czasu – odparł i wskazał otchłańce, które właśnie zaczynały się materializować na skraju polany.

– Och, nie... – wyszeptała Leesha. Z jej twarzy odpłynęły wszelkie kolory.

Jako pierwszy pojawił się demon wichru. Zasyczał na widok ludzi i przykucnął, jakby chciał wyskoczyć w powietrze, ale nieznajomy mu na to nie pozwolił. Doskoczył do niego i złapał za odnóża, by uniemożliwić mu rozwinięcie skrzydeł. Ciało demona zaskwierczało i buchnęło dymem pod wpływem jego dotyku.

Otchłaniec zaskrzeczał i rozwarł szczęki pełne zaostrzonych zębów. Mężczyzna cofnął głowę, strząsnął z niej kaptur, a potem z całej siły wbił ogoloną czaszkę w pysk demona. Magia rozbłysła, odrzucając potwora. Uderzył z impetem w ziemię, a nieznajomy przypadł do niego i wbił wyprostowane palce prosto w jego gardło. Znow pojawił się błysk i wtem z

gardzieli bestii trysnęła czarna posoka.

Mężczyzna odwrócił się szybko i wytarł dłoń, przechodząc obok Rojera i Leeshy. Dziewczyna mogła wreszcie przyjrzeć się jego twarzy. Nie odnalazła w niej wielu ludzkich cech – czaszkę miał całkowicie ogoloną, łącznie z brwiami, a miejsce włosów zajmowały tatuaże, które otaczały oczy, biegły wzdłuż uszu i pokrywały policzki, a kończyły się na czubku głowy. Pojedyncze linie ciągnęły się nawet wzdłuż szczęki i dookoła ust.

– Rozbiłem nieopodal obóz – powiedział, nie zważając na ich zdumienie. – Jeśli chcecie doczekać świtu, chodźcie za mną.

– A co z demonami? – zapytała Leesha, kiedy przemierzali las szybkim krokiem. Zupełnie jakby jej słowa miały proroczą moc, wyrosła przed nimi para drzewnych demonów o ciałach okrytych korowatym pancerzem.

Mężczyzna ściągnął płaszcz, pod którym nosił jedynie krótkie spodnie. Dziewczyna ze zdumieniem spostrzegła, że jego tatuaże nie ograniczają się wyłącznie do głowy. Runy ułożone w skomplikowane wzory obwodziły muskularne ramiona i nogi, a większe pokrywały łokcie i kolana. Na plecach znajdował się ochronny krąg, zaś inny wielki tatuaż pośrodku muskularnej klatki piersiowej. Runy zdobiły każdy cal jego ciała.

– To Naznaczony! – wyszeptał Rojer. Leesha uświadomiła sobie, że skądś zna to miano.

– Z demonami dam sobie radę – powiedział mężczyzna. – Trzymaj.

Podał dziewczynie szatę, a potem wyskoczył prosto na otchłańce. Przetoczył się po ziemi i tuż przed nimi wyrzucił przed siebie nogi, uderzając stopami w ich brzuchy. Magia znów rozbłysła, zmiatając oba demony z ich drogi.

Bieg między drzewami zamienił się w szaleńczy wyścig, obrazy zlewały się w jedną zamazaną plamę. Naznaczony narzucił mordercze

tempo, nie zważając na potwory, które nacierały na nich ze wszystkich stron. Jakiś drzewny demon skoczył na Leeszę z gałęzi, ale ich tajemniczy przewodnik natychmiast się przy niej znalazł i wbił chroniony runami łokieć w czaszkę otchłańca, rozsadzając ją w pojedynczej eksplozji. Wichrowy demon zanurkował na Rojera. Już wystawił szpony, by rozplatać gardło chłopaka, gdy Naznaczony grzmotnął go pięścią, przebijając jedno z jego skrzydeł na wylot.

Nim Rojer zdążył podziękować, mężczyzna podjął bieg. Chłopak popędził za nim, podtrzymując Leeszę i szarpiąc za jej suknie za każdym razem, gdy uwięzły w kolczastych zaroślach.

Wypadli spomiędzy drzew, skąd Leesha mogła już dostrzec ogień zwiastujący bliskość obozowiska. Drogę do niego zagradzała jednakże grupa otchłańców z ogromnym, mierzącym osiem stóp skalnym demonem na czele.

Olbrzym zaryczał i wałnął wielkimi pięściami o opancerzoną pierś. Jego kolczasty ogon miotał się na boki, odpychając inne otchłańce, pragnące zatrzymać łup dla siebie.

Naznaczony ruszył ku potworowi bez strachu. Gwizdnął przeciągle i stanął na szeroko rozstawionych nogach, gotów odpowiedzieć na atak.

Nim jednak otchłaniec zdążył zaszarżować, jego opancerzoną pierś przebiły na wylot dwa ostre kształty, wzniecając chmury iskier. Dopiero wtedy mężczyzna natarł – zdzielił potwora wytatuowaną piętą w kolano, przewracając go na ziemię.

Gdy padał, Leesha ujrzała monstrualny kształt za jego plecami. Czarna bestia wyszarpała rogi z piersi demona, stanęła dęba z przeciągłym rzeniem, a potem wbiła kopyta w plecy ofiary, wywołując kolejną eksplozję światła.

Naznaczony ruszył ku następnym otchłāńcom, lecz te rozpięchły się na widok jego zawziętości. Jakiś ognisty demon plunął w niego ogniem, ale mężczyzna uniósł dłonie i płomień zamienił się w powiew chłodnego wiatru. Drżący ze strachu Rojer i Leesha z niewysłowioną ulgą wbiegli do runicznego kręgu.

– Nocny Tancerzu! – Naznaczony znów zagwizdał. Potężny rumak zostawił w spokoju zmaltretowane zwłoki i popędził w ślad za dźwiękiem, przekraczając barierę.

Podobnie jak jego pan, Nocny Tancerz przypominał postać z koszmaru. Leesha nigdy wcześniej nie widziała tak ogromnego konia. Jego gęsta, lśniąca sierść miała kolor mahoni, a ciało krył pancerz z wygrawerowanymi runami. Ogromny łeb zakrywał rodzaj hełmu z dwoma długimi metalowymi rogami, na których również widniały runy. Ba, nawet na kopytach znajdowały się symbole wymalowane srebrną farbą. Gigantyczne zwierzę w rzeczywistości bardziej przypominało demona niż konia.

Z czarnego siodła zwisały najrozmaitsze uchwyty na broń, przytrzymujące cisowy łuk, kołczan ze strzałami, bolasy i różnej długości włócznie. Do łęku jeździec przytroczył okrągłą, wypolerowaną na połysk tarczę, gotową do użycia z grzbietu wierzchowca w każdej chwili. Wokół jej krawędzi biegł szereg skomplikowanych znaków.

Nocny Tancerz stał spokojnie, podczas gdy Naznaczony oglądał go w poszukiwaniu ran. Czyhające ledwie kilka stóp dalej demony najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia. Kiedy mężczyzna upewnił się, że jego rumak wyszedł ze starcia bez szwanku, przeniósł wzrok na Leeszę i Rojera, którzy stali pośrodku kręgu, nadal wstrząśnięci wydarzeniami sprzed chwili.

– Roznieć ogień – przykazał chłopakowi. – Mam trochę mięsa, które mogliśmy upiec, a do tego bochenek chleba.

Podszedł do juków, pocierając ramię.

– Jesteś ranny – wydukała dziewczyna, otrząsnąwszy się wreszcie z szoku.

Podbiegła do nieznajomego. Na ramieniu widniało rozcięcie, inne, o wiele głębsze, znalazła na udzie. Skóra mężczyzny była twarda i poprzecinana bliznami, nieco szorstka, lecz mimo to przyjemna w dotyku. Gdy wodziła po niej palcami, poczuła lekkie mrowienie.

– To drobiazg – odparł Naznaczony. – Czasem jakiś otchłaniec ma szczęście i udaje mu się wbić pazur, zanim odepchną go runy.

Chciał odejść i sięgnąć po szatę, ale Leesha nie dawała za wygraną.

– Demony nigdy nie zadają ran, które można zbyć wzruszeniem ramion. – Poprowadziła mężczyznę do sporego kamienia, gdzie kazała mu usiąść. Po prawdzie bała się go niemal w tym samym stopniu, co samych demonów, ale przecież poświęciła życie pomaganiu rannym. Co więcej, dobrze jej znane obowiązki sprawiły, że znów zdołała zapomnieć o powracającym bólu.

– Trzymam zioła w jukach. – Mężczyzna wskazał gestem siodło. Leesha otworzyła torbę i znalazła sakiewkę. Pochyliła się przy ogniu, by przetrząsnąć jej zawartość.

– Masz liście glisowca?

Naznaczony spojrział na nią ze zdziwieniem.

– A po co? Jest przecież mnóstwo rozchodnika.

– Jasne – mruknęła dziewczyna. – Na Stwórcę, wy, Posłańcy, zawsze twierdzicie, że rozchodnik to lekarstwo na każdą dolegliwość.

Chwyciła sakiewkę, moździerz, tłuczek i bukłak wody, po czym

uknęła przy mężczyźnie, ucierając rozchodnik i kilka innych ziół na miazgę.

– Dlaczego sądzisz, że jestem Posłańcem? – zapytał nagle nieznajomy.

– A któż inny wędrowałby samotnie po nocy?

– Nie pracowałem jako Posłaniec od lat. – Nawet nie drgnął, gdy dziewczyna oczyszczała jego rany nacierała je piekącą mazią. Rojer zwięził oczy, obserwując, jak Leesha rozsmarowuje masć na muskularnych ramionach.

– Jesteś Zielarką? – zapytał Naznaczony.

Leesha przesunęła igłę nad ogniem i nawlekła nić. Kiwnęła głową, ale nie odrywała oczu od pracy. Odgarnęła gęsty pukiel włosów z czoła i założyła o za ucho, przystępując do zaszywania rozcięcia na udzie. Mężczyzna nie odezwał się ponownie, więc niosła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Oczy miał przyjemne, a okalająca je siateczka runów sprawiała, że przypominały mroczne ślepiea jakiegoś potwora, Leesha nie potrafiła znieść tego wzroku i szybko puściła głowę.

– Mam na imię Leesha, a kolację robi nam Rojer. Jest Minstrelem.

Mężczyzna skinął w stronę chłopaka, ale również on nie mógł długo wytrzymać spojrzenia nieznajomego.

– Dziękuję ci za uratowanie nam życia – dodała po chwili.

Naznaczony mruknął coś pod nosem. Dziewczyna milczała, czekając, aż coś powie, ale nie zadał obie tego trudu.

– Masz jakieś imię? – spytała w końcu.

– Nie używałem żadnego od lat.

– Ale jakieś masz?

Obcy wzruszył ramionami.

– A zatem jak mamy cię nazywać?

– Nie wydaje mi się, żebyście w ogóle musieli to robić. – Zauważył, że Zielarka skończyła pracę, i wstał, by znów zakryć się od stóp do głów długim płaszczem. – Niczego mi nie zawdzięczacie, pomógłbym każdemu w takiej sytuacji. Jutro odprowadzę was bezpiecznie do Pniaka.

Dziewczyna zerknęła kątem oka na ogrzewającego się przy ognisku Rojera, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Naznaczonego.

– Właśnie stamtąd wyjechaliśmy, a musimy dotrzeć do Zakątka Drwali. Możesz nas tam zabrać?

Mężczyzna pokręcił głową, na powrót ukrytą pod szarym kapturem.

– Ale wracając do Pniaka, stracimy co najmniej tydzień!

– To nie mój problem. – Wzruszył ramionami.

– Możemy ci zapłacić – powiedziała niespodziewanie Leesha. Naznaczony spojrzał na nią, a ona opuściła wzrok z poczuciem winy. – Nie teraz, rzecz jasna. Zostaliśmy napadnięci na trakcie. Zabrali nam wszystko, naszego konia, krąg, pieniądze, nawet jedzenie. – Jej głos złagodniał. – Zabrali nam... wszystko.

Uniosła wzrok.

– Ale gdy już dotrzemy do Zakątka, będę mogła ci zapłacić.

– Nie potrzebuję pieniędzy.

– Proszę! To niezwykle ważne.

– Przykro mi.

Wtedy podszedł do nich spochmurniały Rojer.

– Nic się nie martw – powiedział. – Jeśli ten człowiek nie zechce nam pomóc, sami znajdziemy sposób.

– Niby jaki? Mamy dać się pozabijać, gdy tymczasem będziesz próbował odpędzić demony głupimi skrzypkami?

Chłopak odwrócił się z urażoną miną, ale Leesha zignorowała go i

znów spojrzała w oczy nieznanemu.

– Proszę – szepnęła błagalnym tonem i pochwyciła go za rękę. – Trzy dni temu do Angiers przybył Posłaniec z wieścią, że w Zakątku szaleje choroba. Zabiła już ponad tuzin mieszkańców, w tym najwspanialszą Zielarkę, jaka kiedykolwiek żyła na tym świecie. Pozostałe Zielarki we wsi nie są w stanie wszystkim pomóc. Oni mnie potrzebują.

– A zatem liczysz, że nie tylko nadłożę drogi, ale zaprowadzę cię do wsi ogarniętej chorobą? – zapytał z niechęcią mężczyzna.

Leesha zaczęła szlochać i padła na kolana, ściskając jego szatę.

– Mój ojciec jest chory. Jeśli tam nie dotrę, umrze!

Naznaczony ostrożnie, jakby na próbę, położył dłoń na ramieniu Zielarki. Dziewczyna nie miała pewności, jak na niego wpłynęła, ale odniosła wrażenie, że poruszyła czułą strunę.

– Proszę – powtórzyła.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– W porządku – powiedział w końcu.

* * *

Zakątek Drwali znajdował się na południowym krańcu Lasu Angieriańskiego, jakieś sześć dni drogi od miasta. Naznaczony powiedział, że będą musieli spędzić jeszcze cztery noce pod gołym niebem, nim dotrą do wsi, trzy, jeśli się pospieszą. Jechał na koniu, zwalniając na tyle, by Leesha i Rojer mogli za nim nadążyć.

– Ruszę przodem, by przepatrzeć szlak – oznajmił. – Wrócę za jakąś godzinę.

Dziewczyna poczuła zimne ukłucie strachu, gdy wbił pięty w bok

wierzchowca i odjechał galopem. Nieznajomy wciąż przerażał ją prawie tak bardzo, jak rozbójnicy czy otchłańce, ale w jego obecności przynajmniej od nich była bezpieczna.

Nie zmrużyła tej nocy oka. Jej warga pulsowała bólem – gryzła się w nią za każdym razem, gdy w jej sercu znów wzbierał płacz. Kiedy mężczyźni zasnęli, oczyściła każdy cal ciała, ale nadal czuła się zbrukana.

– Słyszałem opowieści o tym człowieku – powiedział Rojer. – Kilka nawet sam wymyśliłem. Zawsze mi się wydawało, że to postać z legend, ale przecież nie może istnieć dwóch różnych ludzi wytatuowanych w runy, którzy zabijają otchłańce gołymi rękami.

– Nazwałeś go Naznaczonym – przypomniała sobie Leesha.

Chłopak pokiwał głową.

– Tak o nim mówią. Nikt nie zna jego prawdziwego imienia. Po raz pierwszy usłyszałem o nim jakiś rok temu, gdy po wsiach na Zachodzie wędrowali Minstrele. Sądziłem, że to tylko historyjka do rozweselania wieśniaków przy piwie, ale wygląda na to, że człowiek księcia nie opowiadał dyrdymałów.

– A co opowiedział? – zapytała zaciekawiona dziewczyna.

– Że Naznaczony włóczy się po nocy i poluje na demony. Unika kontaktu z ludźmi, a miasta odwiedza tylko wtedy, gdy mu czegoś brakuje. Płaci starożytnymi monetami. Czasem też opowiadają, że uratował komuś życie na trakcie.

– Cóż, to akurat sami możemy potwierdzić. Ale skoro potrafi zabijać otchłańce, dlaczego jak dotąd nikt nie próbował wykraść mu jego sekretów?

Rojer wzruszył ramionami.

– Podobno nikt się nie ośmielił. Nawet książęta odczuwają przed nim

respekt, jeśli nie strach, zwłaszcza po tym, do czego doszło w Lakton.

– Czyli?

– Mówią, że szefowie doków nasłali na niego ludzi, by skradli jego runy wojenne. Dwunastu chłopów uzbrojonych po zęby. Niektórzy ocaleli, ale pozostaną kalekami do końca życia.

– Na Stwórcę! – jęknęła Leesha, zasłaniając usta. – Cóż to za potwór!

– Niektórzy powiadają, że jest po części demonem. Urodził się ponoć jako dziecko kobiety zgwałconej przez otchłańca, który...

Nagle urwał. Zaczerwienił się po uszy, gdy zrozumiał, co właśnie powiedział, ale jego nieprzemyślana uwaga odniosła wprost przeciwny skutek, pomogła bowiem przełamać dziewczynie strach.

– Przecież to śmieszne – stwierdziła, kręcąc głową.

– Inni mówią, że żaden z niego demon – ciągnął Rojer. – Uważają go za Wybawiciela, który zakończy Plagę. Opiekunowie modlą się do niego i błagają o jego błogosławieństwo.

– Prędzej uwierzę, że w jego żyłach płynie krew demona – rzekła dziewczyna, choć tym razem z mniejszą pewnością siebie.

Wędrowali dalej w niezręcznej ciszy. Jeszcze wczoraj Rojer nie dałby Leeshy ani chwili spokoju, bez przerwy próbując jej zaimponować muzyką i opowieściami, ale teraz maszerował ze spuszczonego wzrokiem, pogrążony w zadumie. Dziewczyna wiedziała, że cierpi, i nawet zapragnęła dodać mu otuchy, ale czuła, że w pierwszej kolejności to ona potrzebuje pocieszenia. Nie umiała obdarować tym, czego sama potrzebowała.

Wkrótce pojawił się Naznaczony.

– Idziecie zbyt wolno – rzucił, zeskakując z konia. – Jeśli chcecie uniknąć czwartej nocy na trakcie, będziemy musieli pokonać dziś

trzydzieści mil. Wskakujcie na siodło, ja pobiegnę.

– Nie powinienesz biec! – zaprotestowała Leesha. – Szwy na udzie z pewnością popękają!

– Rana już się zaleczyła. Potrzebowałem tylko odrobiny odpoczynku.

– Bzdura! To rozcięcie było głębokie na cal!

Chcąc postawić na swoim, podeszła do mężczyzny i uklękła, by unieść luźną połę szaty przesłaniającą muskularną, wytatuowaną nogę. Gdy jednak ściągnęła bandaż, rozdziawiła usta ze zdumienia, Rana całkowicie już zarosła, a końcówki szwów sterczały z całkiem zdrowej, zaróżowionej lekko skóry.

– To przecież niemożliwe – zdołała wymamrotać.

– To było tylko draśnięcie. – Naznaczony ostrzem noża wyciągał szwy jeden po drugim. Leesha nie wiedziała, co odpowiedzieć, a wojownik podszedł o Nocnego Tancerza, ujął jego wodzie i przekazał je Zielarce.

– Dziękuję – wydukała, wciąż oszołomiona. W tej jednej chwili zwątpiła we wszystko, co wiedziała na temat leczenia. Kim był ten człowiek? A może raczej – czym?

Naznaczony biegł u boku Nocnego Tancerza. Sadził długie susy, bez trudu utrzymując tempo narzucone przez rumaka. Jego wytatuowane stopy odmierzały milę za milą. Zatrzymywali się na popas na prośbę Leeshy i Rojera, on sam ani razu nie poprosił o odpoczynek. Dziewczyna przyglądała mu się dyskretnie, poszukując oznak zmęczenia, ale niczego nie dostrzegła. Gdy w końcu zatrzymali się na noc, nakarmił i napoił rumaka. Oddech miał spokojny i miarowy, nawet pomimo tego, że Rojer i Leesha pojękiwali i rozmasowywali obolałe członki.

* * *

Przy ognisku panowało niezręczne milczenie. Dawno już zapadł zmrok, ale Naznaczony swobodnie chodził dookoła obozowiska, zbierając chrust. Ściągnął też pancerz z łba Nocnego Tancerza, dla którego rozłożył osobny krąg, i wyszczotkował jego boki. Przechodził między barierami, nie myśląc nawet o demonach czyhających w ciemnościach. Jeden z nich wyskoczył na niego z krzaków, ale mężczyzna nawet się nie odwrócił, a demon poleciał w tył, odrzucony mocą wytatuowanych na plecach runów.

Gdy Leesha przygotowywała kolację, Rojer kuśtykał dookoła ogniska, usiłując rozprostować członki zeszywniałe od całodziennej jazdy.

– Przez to telepanie chyba zmiażdżyłem sobie klejnoty – jęknął.

– Mogę rzucić okiem, jeśli chcesz – zaoferowała dziewczyna.

Naznaczony parsknął, a chłopak spojrzał na nią ponuro.

– Dam sobie radę – oznajmił, kontynuując spacer. I nagle zatrzymał się jak wryty, spoglądając na trakt.

Pozostali również unieśli głowy. Ujrzeni niesamowite pomarańczowe światło bijące z paszczy i ślepi ognistego demona na długo, nim pędząca na czterech łapach bestia wynurzyła się z ciemności.

– Jak to się dzieje, że ogniste demony nie spalą całego lasu? – zapytał Rojer, uważnie obserwując smugi ognia rozcinające powietrze za mknącym otchłańcem.

– Zaraz się dowiesz – odparł Naznaczony z rozbawieniem. Chłopakowi ten wyraz beztroski wydał się jeszcze bardziej niepokojący od zwyczajnego zachowania mężczyzny.

Nie czekali długo, nim rozległo się wycie zwiastujące nadejście trzech drzewnych demonów, które wyskoczyły na drogę w ślad za demonem ognia. W pysku jednego z nich zwiślało już bezwładne, ociekające czarną

posoką truchło ognistego pobratymca.

Uciekający otchłaniec do tego stopnia pochłonięty był próbami prześcignięcia prześladowców, że nie zauważył tych ukrytych po drugiej stronie drogi. Dostrzegł ich dopiero wtedy, gdy jeden wyskoczył z krzaków, przygwoździł pechowca do ziemi i wypatroszył jednym szarpnięciem czarnych szponów. Mordowany demon zawył z bólu, a Leesha zakryła uszy, nie mogąc znieść przenikliwego dźwięku.

– Drzewiaki nienawidzą ognistych demonów – wyjaśnił Naznaczony po całym zajściu. Jego oczy błyszczały z zadowolenia.

– Dlaczego?

– Bo drzewne demony są wrażliwe na ogień demoniczny – wtrąciła Leesha. Mężczyzna spojrział na nią z zaskoczeniem, ale kiwnął głową.

– To dlaczego ogniste demony nie próbują ich podpalić? – dociekał Rojer.

– Czasem próbują – zaśmiał się Naznaczony – ale ognisty demon nigdy nie sprosta w walce drzewnemu, nawet jeśli ten drugi jest łatwo palny. Drzewne ustępują siłą jedynie skalnym, a w puszczy są praktycznie niewidoczne.

– Oto Wielki Plan Stwórcy – rzekła Leesha. – Ograniczenia i równowaga.

– Bzdura – zaprotestował naraz mężczyzna. – Gdyby ogniste demony wszystko spaliły, nie miałyby na co polować. To natura znalazła sposób na rozwiązanie tego problemu.

– Nie wierzysz w Stwórcę?

– Mam wystarczająco dużo innych zmartwień. – Zmarszczki na czole nieznanego dawały do zrozumienia, że nie zamierza ciągnąć tematu.

– Są ludzie, którzy nazywają cię Wybawicielem – ośmielił się odezwać

Rojer.

Naznaczony parsknął.

– Nie przybędzie do nas żaden Wybawiciel, Minstrelu. Jeśli chcesz żyć w świecie bez demonów, musisz je sam pozabijać.

Jakby w reakcji na jego słowa, wichrowy demon uderzył w sieć chroniącą Nocnego Tancerza. Rozbłysło jaskrawe światło. Ogier zarył w ziemię kopytami, jakby się palił, by wyskoczyć z kręgu i stoczyć pojedynek, ale nawet nie drgnął, czekając na polecenie pana.

– Dlaczego twój koń się nie boi? – zapytała Leesha. – Nawet Posłańcy pętają na noc zwierzęta, by nie uciekły ze strachu, ale twój sprawia wrażenie, jakby chciał ruszyć do walki.

– Trenuję go od źrebięcia. Od zawsze nosi runy, więc nigdy nie poznał strachu przed otchłańcami. Jego ojciec był najpotężniejszym i najbardziej agresywnym zwierzęciem, jakie udało mi się znaleźć, podobnie jak jego matka.

– Wydawał się bardzo spokojny, gdy na nim jechaliśmy.

– Nauczyłem go powściągać agresję – Naznaczony jak zwykle mówił z chłodnym wyrazem twarzy, ale tym razem w jego głosie pobrzmiwała duma. – Odpłaca dobrocią za dobroć, jeśli jednak ktoś z nas znajdzie się w niebezpieczeństwie, zaatakuje bez zawahania. Raz zmiażdżył czaszkę dzikowi, który bez wątpienia rozwłóczyłby mnie po ściółce.

Uporawszy się z ognistymi pobratymcami, drzewne demony zaczęły krążyć wokół obozowiska. Mężczyzna nałożył cięciwę na cisowy łuk i przyciągnął do siebie kołczan pełen strzał z ciężkimi grotami. Zignorował jednak otchłańce, które nacierały na barierę i odskakiwały, odrzucone mocą runów.

Gdy zakończyli posiłek, wybrał zwykłą strzałę i wyjął rylec z zestawu

do stawiania runów. Powoli, w skupieniu grawerował znaki na drzewcu.

– Gdyby nie my... – zaczęła Leesha.

– Nie siedziałbym teraz w ciepłe ogniska – dokończył Naznaczony, nie spoglądając na Zielarkę. – Polowałbym.

Dziewczyna pokiwała głową i umilkła, skupiając uwagę na jego pracy. Rojer poruszył się niespokojnie. Najwyraźniej nie w smak mu była nowa fascynacja Leeshy.

– Widziałeś mój rodzinny dom? – zapytała cicho.

Naznaczony spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale nie odezwał się ani słowem.

– Jadąc z południa musisz przecież przejechać przez Zakątek.

– Omijam wsie szerokim łukiem. – Mężczyzna pokręcił głową. – Pierwszy człowiek, który mnie zobaczy, ucieka przerażony, a w chwilę później pędzi za mną gromada rozszoszczonych wieśniaków z widłami.

Leesha w pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale wnet sobie uświadomiła, że ludzie z Zakątka zareagowaliby dokładnie w opisany sposób.

– Ale przecież oni tylko się boją – usiłowała wytłumaczyć.

– Wiem i dlatego zostawiam ich w spokoju. Ten świat nie kończy się na wsiach i miastach, nie mam czego żałować. – Wzruszył ramionami i dodał:

– Niech się kryją po domach niczym kury w kurniku. Tchórze nie zasługują na nic lepszego.

– A zatem dlaczego nas uratowałeś? – zapytał Rojer.

– Bo wy jesteście ludźmi, a one zwyrodniałymi poczwarami. Poza tym próbowaliście przetrwać aż do ostatniej chwili.

– Cóż innego nam pozostało?

– Zaskoczyłoby cię, jak wielu ludzi po prostu kładzie się na ziemi.

* * *

Czwartego dnia po opuszczeniu Angiers narzucili sobie ostre tempo i pokonali spory szmat drogi. Naznaczony nie wykazywał najmniejszych oznak zmęczenia, podobnie jak jego rumak, który biegł lekko z tą samą prędkością co jego pan.

Gdy w końcu zatrzymali się na noc, Leesha ugotowała chudą zupę z resztek zapasów, ale ledwie napełnili nią żołądki.

– Jak zdobędziemy jedzenie? – zapytała.

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Nie planowałem towarzystwa – odparł, zajęty malowaniem runów na paznokciach.

– Pozostały nam jeszcze dwa dni jazdy! – lamentował Rojer. – Nie damy sobie rady bez jedzenia!

– Możemy przyspieszyć i podróżować po zmroku. Nocny Tancerz prześcignie większość otchłańców, a ja pozabijam resztę. W ten sposób dotrzemy do celu dwa razy szybciej.

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała Leesha. – Martwi nie zdamy się na nic mieszkańcom Zakątka. Będziemy musieli wędrować z pustymi żołądkami.

– Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić nocą poza krąg – stwierdził zgodnie Rojer, ale pogładził się z żalem po brzuchu.

Wtedy Naznaczony wskazał czającego się w pobliżu otchłańca.

– Możemy go zjeść.

– Wolne żarty! – wykrzyknął Rojer z obrzydzeniem.

– Niedobrze mi się robi na samą myśl o jedzeniu demona! –

zawtórowała mu Leesha.

– Nie smakuje aż tak źle.

– Chcesz powiedzieć, że zdarzyło ci się jeść demony?

– Robię wszystko, co mogę, by przetrwać.

– Choćby nie wiem co, nie zamierzam pójść W twoje ślady – oznajmiła Zielarka.

– Ani ja – dodał Rojer.

– Dobrze. – Mężczyzna westchnął. Chwycił łuk, kołczan oraz długą włócznię. Ściągnął szatę, odsłaniając poznaczone runami muskularne ciało i ruszył w kierunku bariery. – Zobaczę, co się trafi.

– Nie musisz przecież... – Leesha chciała go powstrzymać, ale nie zdążyła. Zaraz potem Naznaczony zniknął w ciemnościach.

Wrócił ponad godzinę później, trzymając za uszy parę królików. Podał zdobycz dziewczynie, a sam usiadł w tym samym miejscu co poprzednio i ujął niewielki pędzelek.

– Umiesz grać? – zapytał Rojera, który właśnie kończył zakładać struny i brzdąkał cicho, regulując ich naciąg. Chłopak podskoczył, zaskoczony pytaniem.

– T-t-tak – wyjąkał.

– Zagrasz coś? Nie pamiętam, kiedy ostatnio słyszałem dźwięki muzyki.

– Chętnie bym to zrobił – odparł z żalem Rojer – ale rabusie odrzucili gdzieś smyczek i nie mogłem go znaleźć.

Mężczyzna pokiwał głową. Przez chwilę milczał, a potem nagle wstał i wyciągnął długi nóż. Młody Minstrel skulił się ze strachu, ale Naznaczony p° prostu wyszedł z kręgu. Syknął w kierunku drzewnego demona, który już chciał go zaatakować, i bestia natychmiast odskoczyła.

Powrócił niebawem z kilkoma gałęziami, odzie' rając je z kory w trakcie marszu.

– Jaki był długi? – zapytał.

– O... osiemnaście cali – wyjąkał Rojer.

Mężczyzna znów skinął, skrócił gałąź do odpowiedniej długości i podszedł do Nocnego Tancerza. Bez słowa odciął nieco włosów z jego ogona, ale zwierzę nawet nie zareagowało. Następnie wyszczerbił patyk po obu końcach i mocno związał włosie z jednej strony, po czym uklęknął przy Minstrelu.

– Jak bardzo mam napiąć? – zapytał, zginając gałąź.

Rojer ułożył palce okaleczonej dłoni na włosiu. Gdy uznał, że naciąg jest odpowiedni, kiwnął głową, a Naznaczony związał włosie na drugim końcu i podał chłopakowi gotowy smyczek.

Rozpromieniony Rojer natychmiast posmarował go żywicą. Ujął instrument, przytknął go do podbródka i przeciągnął kilkakrotnie po strunach. Smyczek nie był idealny, ale po kilku chwilach chłopak zaczął go wyczuwać. Przerwał, by dostroić skrzypki, a potem zaczął grać.

Niespodziewanie obozowisko wypełniła porywająca melodia, dzięki której Leesha odpłynęła myślami do Zakątka Drwali. Otrzymała list Viki niemalże tydzień temu – co zastanie po dotarciu na miejsce? Być może epidemia ustąpiła, nie biorąc ze sobą kolejnych ofiar, a zmartwienia okazały się zbyteczne. Z drugiej strony z każdą chwilą wieśniacy mogli potrzebować pomocy coraz bardziej.

Dziewczyna dostrzegła, że muzyka oczarowała również Naznaczonego. Mężczyzna odłożył pędzelek i wpatrywał się w ciemności. Jego twarz skrywały cienie, wypaczając starannie wyrysowane linie tatuaży, i pośród ogarniającego go smutku Leesha zauważyła, że kiedyś był urodziwym

mężczyzną. Jakie cierpienia sprawiły, że rozpoczął takie życie? Dlaczego znaczył się runami i wolał towarzystwo otchłańców od towarzystwa ludzi? Nagle uświadomiła sobie, że w głębi serca pragnie go uzdrowić, choć nie dawał po sobie poznać, by dręczył go jakikolwiek ból.

Niespodziewanie Naznaczony potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć ogarniający go czar. Ten gest w jednej chwili wyrwał Zielarkę z zadumy. Wojownik wskazał coś ręką.

– Spójrz – szepnął. – Tańczą...

Leesha rozejrzała się w zdumieniu. Otchłańce nie sprawdzały już mocy bariery runicznej, przestały posykiwać i wyć. Otaczały obozowisko, kołysząc się do wygrywanej przez Rojera melodii. Ogniste demony podskakiwały i wirowały, każdym ruchem kończyn rozcinając powietrze smugami gasnących natychmiast płomieni. Ich wichrowi pobratymcy zataczali pętle i nurkowali ku ziemi. Z leśnych cieni wypełzły nawet drzewne demony, ale całkiem ignorowały śmiertelnych wrogów, urzeczone muzyką.

Naznaczony spojrzał na Rojera.

– Jak ty to robisz? – zapytał z podziwem.

Chłopak odpowiedział uśmiechem.

– Otchłańce nieźle znają się na muzyce – rzekł, a potem wstał i podszedł do krawędzi kręgu, nie przerywając gry. Demony stłoczyły się, obserwując go w napięciu. Ruszył wzdłuż linii runów, sprawiając, że podążały w ślad za nim jak zahipnotyzowane. Przystanął i zaczął się kołysać, a one najwierniej jak potrafiły naśladowały jego ruchy.

– Nie wierzyłam ci... – wymamrotała Leesha przeproszającym tonem. – Ty naprawdę potrafisz je zaczarować.

– A to nie wszystko! – Rojer przejechał ostro smyczkiem po strunach,

zamieniając czystą melodię w szereg nieprzyjemnych, fałszywych dźwięków. Otchłańce podniosły dziki wrzask i zaczęły się cofać, zakrywając uszy. Odchodziły coraz dalej, ścigane zawodzeniem skrzypek, aż znikły pośród cieni otaczających rozświetlone ogniem obozowisko.

– Daleko nie odeszły – wytłumaczył chłopak. – Wróca, gdy tylko przestanę.

– Co jeszcze potrafisz? – zapytał Naznaczony.

Rojer uśmiechnął się. Gra przed dwiema osobami sprawiała mu tyle samo przyjemności, co występ przed wiwatującą publicznością. Inaczej ułożył smyczek na strunach i ostre dźwięki gładko przeszły w czarującą melodię, która znów zwabiła demony.

– Spójrzcie tylko na to. – Tym razem zaczął wygrywać tak wysokie nuty, że Leesha i Naznaczony musieli zacisnąć zęby i odwrócić głowy.

Otchłańce zareagowały dużo gwałtowniej. Skoczyły ku barierze, przeraźliwie zawodząc. Runy rozbłyskiwały raz za razem, odrzucając ogarnięte furją potwory, ale one nie ustępowały. Nacierały zawzięcie i odbijały się od znaków w szaleńczych próbach uciszenia grajka raz na zawsze.

Raptem dołączyły do nich dwa ogromne demony skał. Rozgoniły mniejsze bestie, przypadły do kręgu i zaczęły grzmocić pięściami w barierę. Naznaczony powstał bezgłośnie i uniósł łuk.

Brzęknęła cięciwa. Strzała przebiła pierś najbliższego demona i eksplodowała niczym błyskawica, zalewając okolicę oślepiającym światłem. Mężczyzna jednakże nie zamierzał na tym poprzestać – napinał cięciwę raz za razem i posyłał kolejne strzały w ciżbę otchłańców. Runiczne groty powalały demony lub odrzucały je między drzewa, a jeśli nawet któryś zdołał powstać po trafieniu, natychmiast rozszarpywali go

pobratymcy.

Smyczek ześlizgnął się ze strun i zawisł w okaleczonej dłoni chłopca, który nie mógł oderwać oczu od pogromu. Demony nadal wrzeszczały, lecz tym razem ze strachu i bólu. Ich zapał do szturmowania bariery osłabł, gdy muzyka ucichła, ale Naznaczony bez litości wybijał je tak długo, aż opróżnił kołczan. Wtedy pochwycił włócznię i cisnął nią w plecy uciekającego demona drzew.

Wokół obozu zapanował chaos. Kilka otchłańców starało się ujść z życiem, ale Naznaczony już zrzucił szatę, gotów wyskoczyć z kręgu i pozabijać je gołymi rękami.

– Nie, proszę! – krzyknęła Leesha, zastępując mu drogę. – One uciekają!

– Chcesz, by uszły z życiem? – prychnął Naznaczony. Na jego twarzy malował się grymas zawziętości. Przerażona dziewczyna postąpiła krok w tył pod wpływem karcącego wzroku.

– Proszę – szepnęła. – Nie idź za nimi.

Bała się, że ją uderzy, ale on nawet nie drgnął. Przez długą chwilę, która zdawała się wiecznością, obserwował ją, ciężko oddychając, aż wreszcie podniósł szatę i zakrył runy.

– Czy to było konieczne? – zapytała, przerywając ciszę.

– Krąg mógłby nie wytrzymać naporu tak wielu otchłańców naraz – odparł Naznaczony. Znów mówił chłodnym, monotonnym głosem pozbawionym emocji. – Mógł zawieść.

– Starczyło poprosić, bym przestał grać – odważył się wtrącić Rojer.

– Starczyłoby.

– Czemu więc tego nie zrobiłeś?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wszedł z kręgu i zaczął wyrywać

strzały z ciał demonów.

* * *

Leesha spała już twardym snem, gdy Naznaczony podszedł do Rojera. Zapatrzone w ciała demonów Minstrel podskoczył ze strachu.

– Masz władzę nad otchłańcami – powiedział wojownik.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ty też. Większą, niż ja kiedykolwiek zdołam osiąść.

– Nauczysz mnie swej sztuki?

Rojer odwrócił się i napotkał świdrujące spojrzenie mężczyzny.

– Po co? Własnymi rękami zabijasz całe zastępy demonów. Czym jest moja sztuka w porównaniu z twoją?

– Sądziłem, że znam wroga dość dobrze, ale ty udowodniłeś, że się mylę.

– Może nie są w gruncie rzeczy takie złe, skoro podoba im się muzyka?

Naznaczony pokręcił głową.

– Otchłańce to nie wielbiciele sztuki, Minstrelu. Z chwilą gdy przestałeś grać, zabiłyby cię bez wahania.

– A więc o co ci chodzi? Nauka gry na skrzypkach wymaga mnóstwa pracy, zwłaszcza jeśli chodzi ci tylko o oczarowywanie bestii, które równie dobrze możesz zabić.

Twarz mężczyzny stężała.

– Nauczysz mnie czy nie?

– Tak – bąknął w końcu Rojer. – Ale chcę czegoś w zamian.

– Mam mnóstwo pieniędzy.

Chłopak machnął ręką z lekceważeniem.

– Sam potrafię je zarobić. Chcę czegoś cenniejszego. Chcę do ciebie dołączyć.

– Nie ma mowy – zaprotestował bez namysłu Naznaczony.

– Przez jedną noc niczego cię nie nauczę. Miną długie tygodnie, nim twoja gra zacznie w ogóle być znośna, a z pewnością trzeba o wiele więcej, by oczarować nawet mało wybredne otchłānce.

– A co ty będziesz z tego miał?

– Opowieść, którą zapełnię amfiteatr księcia po same brzegi.

– Co z nią?

Rojer podążył wzrokiem za dłonią mężczyzny i utkwił spojrzenie w unoszącej się miarowo piersi Leeshy. Naznaczony doskonale wiedział, co oznacza wyraz oczu chłopaka.

– Poprosiła, bym ją odprowadził do rodzinnej wsi. Nie chciała niczego więcej.

– A jeśli poprosi cię, byś został?

– Nie poprosi – odparł cicho Rojer.

– Moje życie nie jest opowieścią o Marku Włóczędze. Nie mogę pozwolić, by spowalniał mnie ktoś, kto w nocy szuka schronienia.

– Mam teraz skrzypki – niemalże krzyknął chłopak, udając odważniejszego, niż w rzeczywistości był. – Nie boję się.

– Będziesz potrzebować czegoś więcej niż tylko odwagi. W dziczy albo jesteś myśliwym, albo ofiarą. Zważ, że nie chodzi mi wyłącznie o demony.

Rojer wyprostował się i ciężko przełknął ślinę.

– Każdy, kto próbuje mnie ochraniać, prędzej czy później ginie. Najwyższy czas, bym nauczył się bronić sam.

Mężczyzna wstał, nie spuszczać wzroku z młodego Minstrela.

– A więc chodź ze mną.

– Na zewnątrz?

– Jeśli cię na to nie stać, na nic mi się nie przydasz – oznajmił twardo Naznaczony, a gdy chłopak zaczął się rozglądać z powątpiewaniem, dodał:

– Wszystkie otchłańce w promieniu wielu mil usłyszały rzeź, którą urządziłem ich pobratymcom. Wątpię, czy dzisiejszej nocy na jakiegoś się natkniemy.

– A co z Leeshą?

– Obroni ją Nocny Tancerz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dalej, chodźmy.

Po tych słowach wojownik wyszedł z kręgu i zniknął w ciemnościach.

Rojer zaklął, ale złapał za skrzypki i ruszył w ślad za nim.

Rojer szedł za Naznaczonym między drzewami, ściskając futerał skrzypek. Z początku chciał je wyciągnąć, ale jego przewodnik zakazał mu tego gestem.

– Nie chcemy nikogo zaalarmować – szepnął.

– Mówiłeś przecież, że nie ujrzymy dziś otchłańców – burknął w odpowiedzi Rojer, ale mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Kroczył pewnie w ciemnościach, jakby słońce stało w zenicie.

– Dokąd idziemy? – zapytał chłopak po raz setny.

Wspięli się na niewielkie wzniesienie. Na szczycie Naznaczony przypadł do ziemi i wskazał coś na dole.

– Spójrz – przykazał. U stóp wzgórza Rojer dostrzegł znajomych ludzi, stłoczonych wraz z koniem w ciasnym, jeszcze lepiej mu znanym przenośnym kręgu.

– To ci rozbójnicy!

Sercem chłopaka targnęły skrajne emocje – strach, wściekłość, bezradność – a w myślach znów ujrzał przebieg napadu z najdrobniejszymi

szczegółami. Niemy olbrzym poruszył się we śnie i Rojer poczuł ukłucie strachu.

– Tropię ich od chwili, gdy was znalazłem – wyszeptał Naznaczony. – Zauważyłem ich ognisko podczas polowania tej nocy.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Doszedłem do wniosku, że chciałbyś odzyskać dobytek.

– Jeśli ukradniemy im teraz krąg, otchłające rozszarpia ich na kawałki, zanim nadejdzie świt!

– Niewiele ich tu zostało. Ci rozbójnicy będą mieli większe szanse niż wy.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że zależy mi na zemście?

– Przyglądam się wam. Słucham was. Wiem, co ci zrobili. Wiem... wiem też, co zrobili dziewczynie.

Rojer milczał przez dłuższą chwilę.

– Jest ich trzech – powiedział w końcu.

– Ale jesteśmy w dziczy. Jeśli chcesz wieść bezpieczny żywot, wracaj do miasta.

Ostatnie słowo niemalże wypluł, prawie jak obelgę.

Chłopak zdawał sobie sprawę, że w mieście nie zazna spokoju. Nagle oczyma wyobraźni zobaczył Jaycoba padającego na bruk i usłyszał śmiech Jasina. Mógł dochodzić sprawiedliwości, ale miast tego wołał uciec. Przez całe życie uciekał, a inni umierali za niego. Wpatrzony w ognisko, szukał dłonią talizmanu, który przecież już stracił.

– Myle się? – zapytał Naznaczony. – Wracamy do obozowiska?

– Wracamy. Gdy tylko odzyskam to, co do mnie należy.

Tajemnice

323 RP

Leeshę obudziło ciche rzenie. Otworzyła oczy i ujrzała Rojera szczotkującego brunatną klacz, którą zakupiła w Angiers. Przez chwilę próbowała sobie wmówić, że ostatnie dwa dni były tylko snem.

Wtedy jednak w pole widzenia wkroczył potężny Nocny Tancerz i złudzenie prysło jak mydlana bańka.

– Rojer – mruknęła półgłosem Zielarka – skąd tu się wziął mój koń?

Chłopak już otwierał usta, ale wtedy do obozowiska wkroczył Naznaczony, niosąc dwa króliki oraz garść jabłek.

– Ujrzałem ognisko waszych przyjaciół zeszłej nocy – wyjaśnił. – Pomyślałem, że na dwóch koniach szybciej dotrzemy do Zakątka.

Leesha milczała przez dłuższą chwilę, trawiając wieści.

Targnął nią szereg emocji, spośród których wiele budziło wstyd i niesmak. Ani Rojer, ani Naznaczony nie drażyli tematu, dając jej czas na przemyślenia, za co była im wdzięczna.

– Pozabijałeś ich? – zapytała w końcu.

Zimna, bezlitosna część jej osobowości pragnęła usłyszeć „tak”, nawet

jeśli przeczyło to wszystkiemu, w co wierzyła, wszystkiemu, czego uczyła ją Bruna.

Naznaczony spojrział dziewczynie prosto w oczy.

– Nie – rzucił stanowczo. Leesha natychmiast poczuła, jak zalewa ją bezbrzeżna ulga. – Odciągnąłem ich na tyle, by ukraść konia. To wszystko.

– Napiszę o nich do książęcego sędziego – odparła, kiwając głową. – Wręcę list pierwszemu Posłańcowi, który przejedzie przez Zakątek.

Płachta z kieszonkami na zioła została niezgrabnie zwinięta i przytroczona do siodła. Leesha ściągnęła ją, by przejrzeć jej zawartość, i znów odetchnęła z ulgą – większość butelek i sakiewek była nietknięta. Bandyci wypalili cały turuń, ale bez trudu mogła uzupełnić jego zapas.

Po śniadaniu Minstrel dosiadł klaczy, a Zielarka z Naznaczonym Nocnego Tancerza. Pędzili bez wytchnienia, gdyż nad ich głowami zbierały się chmury niosące groźbę deszczu.

Dziewczyna czuła, że powinna się bać. Bandyci wciąż żyli, a ponadto wyprzedzali ich na drodze. Doskonale pamiętała lubieżny uśmiech czarnobrodego i chrapliwy rechot jego kompana, a przede wszystkim bezrozumną, dziką żądzę niemowy.

Powinna drżeć ze strachu, lecz nie drżała. W towarzystwie Naznaczonego czuła się bezpieczna, bezpieczniejsza nawet niż przy Brunie. Nie męczył się, nie znał lęku – tak długo, jak pozostawała pod jego opieką, nic jej nie groziło.

Opieka. Potrzeba powierzenia się czyjejs opiece stanowiła dla niej osobliwe uczucie, jakby pochodzące z innego, zapomnianego już życia. Od dawna musiała sama o sobie dbać. Umiejętności Zielarki i zdrowy rozsądek pozwalały wieść bezpieczny żywot w cywilizowanym świecie, ale tu, w środku dziczy, nie wystarczały.

Naznaczony zmienił nieco pozycję i dopiero wtedy Leesha uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu mocniej obejmuje go w pasie, wręcz przytula się do jego pleców, układając mu głowę na ramieniu. Odsunęła się gwałtownie, tak zawstydzona i zażenowana, że nieomal przeoczyła leżącą wśród krzaków na skraju drogi rękę.

A gdy ją dojrzała, wrzasnęła.

Naznaczony ściągnął wodze, a dziewczyna niemalże spadła z konia. Nie zważając na nic, ruszyła biegiem w kierunku znaleziska. Rozsunęła krzaki i z przerażeniem stwierdziła, że ręka nie łączy się z ciałem. Została odgryziona.

– Leesha, co się dzieje? – zawołał Rojer.

– Obozowali gdzieś tutaj? – zapytała dziewczyna, unosząc szczątki. Naznaczony skinął głową. – Zaprowadźcie mnie tam.

– Leesha, cóż zdołasz poradzić... – zaczął Minstrel, ale nawet na niego nie spojrzała.

– Zaprowadź mnie tam – powtórzyła dobitnie. Naznaczony bez słowa zawiązał wodze klaczy wokół gałęzi.

– Pilnuj – przykazał Nocnemu Tancerzowi. Ogier zarżał w odpowiedzi.

Już po chwili dotarli do obozowiska zabryzganego krwią i pełnego ludzkich szczątków. Leesha zakryła nos fartuchem, by się ochronić przed smrodem. Rojer pobladł. Przełknął ślinę i odbiegł w las.

Zielarka oglądała jednak krew zbyt często, by się jej bać.

– Tylko dwa ciała – mruknęła. Nie miała pojęcia, jak zareagować.

Naznaczony kiwnął głową.

– Brakuje niemowy – powiedział. – Największego z nich.

– Tak. Niemowy i kręgu.

– To prawda – przytaknął raz jeszcze mężczyzna.

* * *

Ciężkie chmury wciąż kłębiły się na niebie, gdy wracali do koni.

– Za jakieś dziesięć mil dotrzemy do jaskini Posłańców – oznajmił Naznaczony. – Jeśli darujemy sobie popas i popędzimy cwałem, zdążymy przed deszczem.

– Człowiek, który zabija otchłańce gołymi rękami, boi się kilku kropel wody? – parsknęła Leesha.

– Jeśli niebo mocno się zachmurzy, mogą powstać otchłańce.

– A odkąd stanowi to dla ciebie przeszkodę? – naciskała dziewczyna.

– Walka w deszczu to głupia i niebezpieczna sprawa. Deszcz zamienia ziemię w błoto, a błoto przykrywa runy i zakłóca pracę nóg.

Deszcz lunął, ledwie weszli do groty, i niebawem zamienił trakt w bagno. Mroczne niebo tu i ówdzie przecinały błyskawice. Wiatr dziko zawodził, a jego posępną melodię przerywały huki piorunów.

Wejście do jaskini częściowo chroniły wyryte w skale symbole. Naznaczony szybko uzupełnił sieć kamieniami runicznymi. Tak jak przewidywał, fałszywy zmrok zwabił kilka demonów. Patrzył ponuro, jak wypełzają z najciemniejszych mateczników puszczy, rozkoszując się wczesnym wyjściem z Otchłani. Rozcinające niebo błyskawice co rusz ukazywały ich złowieszcze postaci.

Próbowały wdrzeć się do jaskini, ale bariera nie puszczała. Te, które podeszły zbyt blisko, zasmakowały ostrza włóczni dzierżonej przez zasepionego wojownika.

– Dlaczego jesteś zły? – zapytała Leesha, wyciągając z sakwy miski i łyżki. Rojer mozolił się z rozpaleniem niewielkiego ogniska.

– Wystarczy, że dręczą nas w nocy. – Naznaczony splunął. – Nie mają prawa pokazywać się w dzień.

Zielarka pokręciła głową.

– Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś przyjął świat takim, jaki jest.

– Ja nie chcę być szczęśliwy – mruknął mężczyzna.

– Każdy chce. Gdzie garnek?

– W mojej sakwie – odpowiedział Rojer i szybko wstał. – Zaraz ci go podam.

– Nie ma potrzeby – rzuciła Leesha. – Zajmij się ogniem, ja przyniosę.

– Nie! – wrzasnął chłopak i skoczył do tobołów, ale było już za późno.

Dziewczyna z cichym westchnieniem wyciągnęła zwinięty przenośny krąg.

– Przecież... Przecież ten krąg nam skradziono!

Zauważyła, że spojrzenie Rojera uciekło ku Naznaczonemu. Odwróciła się ku mężczyźnie, ale cienie rzucane przez kaptur ukryły wyraz jego twarzy.

– Wyjaśni mi to ktoś? – zapytała.

– My... Cóż, odzyskaliśmy go – bąknął Minstrel.

– To akurat widzę! – Leesha cisnęła zwój z drewnianymi płytkami o ziemię. – Chcę wiedzieć, w jaki sposób!

– Zabrałem go razem z koniem – odparł Naznaczony. – Nie chciałem, byś miała to na sumieniu, więc schowałem krąg.

– Ukradłeś go?

– To oni go ukradli. Ja go odzyskałem.

Zielarka milczała przez dłuższą chwilę.

– Zabrałeś go w nocy – powiedziała w końcu ściszym głosem.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Korzystali z niego? – wycodziła przez zęby.

– Trakty są wystarczająco niebezpieczne nawet bez takich ludzi.

– Zamordowałeś ich. – Leesha stwierdziła z zaskoczeniem, że oczy wezbrały jej łzami. Jej ojciec powiedział kiedyś: „Odszukaj najbardziej niegodziwego człowieka na świecie, a wyglądając w nocy przez okno, i tak ujrzysz coś potworniejszego”. Nikt nie zasługiwał, by stać się żerem demonów. Nawet takie łajdaki.

– Jak mogłeś? – spytała.

– Nikogo nie zamordowałem. Odzyskałem tylko krąg – odparł Naznaczony.

– Na jedno wychodzi!

– Oni potraktowali was w ten sam sposób.

– I to cię usprawiedliwia? Spójrz tylko na siebie! Przecież to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia! Zginęło przynajmniej dwoje ludzi, a ty śpisz równie dobrze jak wcześniej! Jesteś zwykłym potworem!

Doskoczyła do mężczyzny z zaciśniętymi pięściami, ale on tylko złapał ją za nadgarstki i patrzył na nią bez emocji.

– A czemu to cię w ogóle obchodzi? – zapytał.

– Bo jestem Zielarką! Złożyłam przysięgę! Przysięgałam, że będę leczyć, ale tobie – zmierzyła wojownika zimnym spojrzeniem – tobie zależy jedynie na zabijaniu, prawda?

W końcu straciła ochotę na dalsze zmagania i wyszarpnęła dłonie.

– Śmiesz cię to, kim jestem – rzuciła i opadła bez sił na ziemię. Siedziała przez kilka minut, aż spojrzała na Rojera.

– Powiedziałeś: „my” – stwierdziła oskarżycielskim tonem.

– Co? – Minstrel próbował udawać zaskoczonego.

– Powiedziałeś: „odzyskaliśmy go”. Krąg był w twojej sakwie. Poszedłeś tam z nim?

– Ja... – zawahał się chłopak.

– Nawet nie próbuj kłamać, Rojer!

Minstrel wbił wzrok w ziemię i po chwili skinął potakująco.

– Naznaczony cię okłamuje – wytłumaczył. – Mówił prawdę tylko na początku. On jedynie wziął konia i odciągnął ich uwagę, a ja w międzyczasie złapałem krąg i płachtę z ziołami.

– Dlaczego? – zapytała Leesha drżącym głosem. Głęboki zawód, który pobrzmiewał w jej głosie, zranił Minstrela do żywego.

– Dobrze wiesz dlaczego – odparł ponuro.

– Dlaczego? – powtórzyła dziewczyna. – Dla mnie? Dla mojej czci? Powiedz mi to, Rojer. Powiedz, że zabiłeś ich ze względu na mnie.

– Oni musieli zapłacić. Musieli zapłacić za to, co zrobili. Nie mogliśmy puścić im tego płazem!

Leesha wybuchła śmiechem, w którym nie było ani odrobiny wesołości.

– Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że pilnowałam wianka przez dwadzieścia siedem lat, by go oddać zgrai bandytów?

W jaskini zawisła ciężka cisza, przzerwana po chwili uderzeniem pioruna.

– Pilnowałaś... – zająknął się Rojer.

– Tak, ty demoni pomocie! – Po policzkach Zielarki pociekły łzy wściekłości. – Byłam dziewicą! Ale czy nawet to daje ci prawo, by wydawać ludzi na pastwę otchłanców?

– Wydawać? – zapytał niespodziewanie Naznaczony.

– Oczywiście! Jestem pewna, że twoi przyjaciele z Otchłani nie posiadali się z radości na widok takiego prezentu. Przecież nic nie sprawia im większej radości niż okazja do zabicia kilku ludzi. Zostało nas przecież tak niewielu, cóż za wspaniała niespodzianka!

Oczy Naznaczonego rozszerzyły się, odbijając blask ognia, co stanowiło najbardziej ludzki odruch, jaki Leesha kiedykolwiek widziała na twarzy wojownika. W jednej chwili zapomniała o wściekłości. Wyglądał na skrajnie przerażonego – zaczął się cofać do wyjścia z jaskini, jak najdalej od nich.

W tym samym momencie na barierę skoczył otchłaniec, zalewając wnętrze grotы srebrzystą poświatą. Naznaczony odwrócił się i wydał z głębi duszy przeraźliwy wrzask. Leesha nigdy przedtem go nie słyszała, ale rozpoznała go od razu – stanowił on wyraz tego wszystkiego, co sama czuła, gdy ją gwałcono.

Wojownik porwał za jedną z włóczni i wyskoczył prosto w deszcz. Magia eksplodowała, gdy trafił demona, ciskając nim w błoto.

– Niech cię szlag trafi! – ryknął, zrywając z siebie szaty. – Przysięgam, że niczego wam nie oddam! Niczego!

Skoczył na otchłańca, by go przygnieść do ziemi. Ogromny run na piersi eksplodował światłem, a potwór stanął w płomieniach mimo rześistej ulewy.

– Walczcie ze mną! – wrzasnął Naznaczony, rozstawiając szeroko nogi. Otchłańce podjęły wyzwanie i doskoczyły do ofiary, tnąc pazurami i gryząc, ale mężczyzna walczył, jakby sam był demonem. Bestie wylatywały w powietrze niczym liście porywane przez wiatr.

Spętany w jaskini Nocny Tancerz rżał i szarpał za powróż, wyszkolony, by walczyć u boku pana. Rojer podszedł do zwierzęcia, by je uspokoić, i spojrział niepewnie na Leeszę.

– Przecież on im wszystkim nie podoła! – jęknęła dziewczyna. – Na pewno nie w tym deszczu!

W rzeczy samej, wiele z runów na ciele mężczyzny zniknęło już pod

warstwą błota.

– On chce zginąć – wyszeptała.

– Co powinniśmy zrobić? – jęknął chłopak.

– Twoje skrzypki! Odpędź demony!

Rojer pokręcił głową.

– Wiatr i gromy zagłuszą muzykę!

– Ale nie możemy pozwolić, by dał się zabić! – wrzasnęła Leesha.

– Co racja, to racja – przytaknął Rojer i podbiegł do arsenału wojownika. Chwycił lekką włócznię oraz tarczę runiczną. Gdy Zielarka zrozumiała intencje chłopaka, natychmiast zastąpiła mu drogę, ale on wyprzedził ją i wypadł z jaskini.

Otchłaniec plunął ogniem, lecz płomienie zasyczały w deszczu i nie dosięgły celu. Widząc, że ten rodzaj ataku nie przyniesie rezultatów, demon naprężył mięśnie do skoku. Rojer w porę zasłonił się tarczą i odbił napastnika. Skupiony na tym, co się działo przed nim, nie spostrzegł innego demona za plecami. Bestia już wyciągała pazury, lecz wtedy pojawił się Naznaczony. Pochwycił długiego na trzy stopy potwora w locie i cisnął nim o ziemię. Ciało otchłańca zaskwierczało pod wpływem jego dotyku.

– Do środka! – rozkazał wojownik.

– Tylko z tobą! – odkrzyknął Rojer. Mokre włosy opadały mu na twarz, mrużył oczy pod naporem wiatru i deszczu, ale patrzył prosto na Naznaczonego, nie okazując ani krzty uległości.

Wtem skoczyły na nich dwa drzewne demony. Mężczyzna przypadł do błotnistej podłogi i podciął Rojerowi nogi. Zabójcze szpony przemknęły tuż nad głową chłopaka, a wojownik gołymi pięściami odrzucił obie bestie daleko w tył. Nadciągały jednak inne, zwabione rozbłyskami światła i

odgłosami starcia. Było ich wiele, zbyt wiele.

Naznaczony dyszał, obserwując leżącego w błocie Minstrela. Szaleństwo stopniowo go opuszczało. W końcu wyciągnął dłoń. Chłopak pochwycił ją skwapliwie i obaj puścili się pędem do jaskini.

* * *

– Co wam strzeliło do głów? – warknęła Leesha, zawiązując ostatni bandaż.

Rojer i Naznaczony siedzieli przy ognisku opatuleni kocami. Nie odezwali się ani razu podczas całej tyrady. W końcu dziewczyna zamilkła i zabrała się do przygotowywania gorącego rosółu z ziół i warzyw. Bez słowa podała im miski.

– Dziękuję – mruknął chłopak, wypowiadając pierwsze słowo od powrotu do jaskini.

– Wciąż jestem na ciebie zła – odparła Zielarka, nie patrząc mu w oczy.
– Okłamałeś mnie.

– Nie okłamałem.

– Ukryłeś prawdę, to bez różnicy.

Rojer wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

– Dlaczego opuściłaś Zakątek Drwali? – zapytał.

– Co takiego? Nie zmieniaj tematu!

– Skoro ci wszyscy ludzie tyle dla ciebie znaczą, że jesteś gotowa zaryzykować wszystko, byle dotrzeć do domu, to po co wyjeżdżałaś?

– Moja nauka... – zaczęła Leesha, ale chłopak pokręcił głową.

– Wiem sporo o uciekaniu od problemów. W twoim przypadku nie chodzi tylko o naukę.

– Tak czy inaczej, to nie twoja sprawa – rzekła kategorycznie.

– Nie moja? To dlaczego wyczekuję końca ulewy w jaskini w sercu dziczy, otoczony wściekłymi otchłańcami?

Dziewczyna westchnęła. Nie miała ochoty na kłótnię.

– Pewnie i tak wkrótce zaspokoisz ciekawość. Mieszkańcy Zakątka Drwali nigdy nie byli dobrzy w dochowywaniu tajemnic.

Przez chwilę milczała, a potem opowiedziała o wszystkim. Nie miała co prawda takiego zamiaru, ale zimna, wilgotna jaskinia naraz wydała jej się konfesjonałem Opiekuna i gdy już zaczęła, słowa popłynęły wartkim strumieniem. Mówiła o matce, o Garedzie, o zgubnych plotkach, o ucieczce do Bruny i o życiu wyrzutka. Naznaczony pochylił się i otworzył usta, gdy usłyszał o płynnym ogniu demonicznym, ale w końcu cofnął się, nie chcąc przerywać.

– No i tak to wyglądało – zakończyła. – Miałam nadzieję, że przyjdzie mi zostać w Angiers na zawsze, ale wygląda na to, że Stwórca ma inny plan.

– Zaslugujesz na coś lepszego – powiedział Naznaczony.

Leesha pokiwała głową.

– Dlaczego wybiegłeś z jaskini? – zapytała cichym głosem.

Mężczyzna skulił się i wbił wzrok w kolana.

– Złamałem przysięgę.

– Tylko tyle?

Spojrzał dziewczynie w twarz, a ona po raz pierwszy nie dostrzegła tatuaży – tylko oczy przenikające ją na wylot.

– Zaprzysiągłem, że niczego im nie oddam. Nawet po to, by uratować życie. Miast tego oddałem im wszystko, co czyni ze mnie człowieka.

– Nic im nie oddałeś – wtrącił Rojer. – To przecież ja zabrałem krąg.

Leesha mocniej zacisnęła dłonie na brzegach miski, ale nie odezwała się słowem.

– Beze mnie byś tego nie zrobił – odparł Naznaczony. – Wiedziałem, jak się czujesz. Oddać ich tobie, rzucić otchłāncom na pożarcie – to bez różnicy.

– Przecież oni napadaliby na ludzi! – zaprotestował chłopak. – Świat bez nich jest lepszym miejscem.

Mężczyzna pokiwał głową, ale zaraz dodał:

– To jednak nie powód, by oddawać ich demonom. Równie dobrze sam mogłem odebrać im ten krąg, a nawet pozabijać ich w świetle dnia, twarzą w twarz.

– A zatem poszedłeś do tego obozu z poczucia winy – zawyrokowała Leesha. – A te poprzednie walki? Dlaczego wypowiedziałeś otchłāncom wojnę?

– Czyżbyś przeoczyła, że ludzkość toczy ją od wieków? Dlaczego więc nie odpowiadać ciosem na cios?

– Myślisz, że jesteś Wybawicielem?

Naznaczony spojrzał na Zielarkę krzywo.

– Przez ostatnie trzysta lat oczekiwania na Wybawiciela ludzkość zniedołężniała bez reszty. Wybawiciel to mit, on nie nadejdzie. Czas, by ludzie przejrżeli na oczy i zaczęli walczyć.

– Mity skrywają wielką moc – odezwał się Rojer. – Nie przekreślaj ich znaczenia.

– Odkąd to masz w sobie tyle wiary? – zapytała Leesha.

– Wierzę jedynie w nadzieję. Jestem Minstrelem, odkąd pamiętam, i przez te dwadzieścia trzy lata nauczyłem się jednego – opowieści, których ludzie łakną i które noszą w sercu, zawsze przynoszą nadzieję.

– Dwadzieścia – przypomniała dziewczyna.

– Co?

– Mówiłeś, że masz dwadzieścia lat.

– Ja?

– Nie masz nawet dwudziestu, prawda?

– Mam!

– Nie jestem głupia. Urosłeś o dobry cal, odkąd cię poznałam, a było to ledwie trzy miesiące temu. W wieku dwudziestu lat nie rośnie się tak szybko. A zatem ile? Szesnaście?

– Siedemnaście – warknął Rojer. Cisnął miską o ziemię, rozlewając resztki rosółu. – Zadowolona? Miałaś rację, kiedy mówiłaś Jizell, że niewiele brakuje, a mogłabyś być moją matką.

Leesha otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś kąśliwego, ale nagle zmieniła zdanie.

– Przepraszam – mruknęła w zamian.

– A ty? – Rojer odwrócił się ku wojownikowi. – Dodasz „zbyt młody” do listy powodów, dla których nie powinienem z tobą wędrować?

– W wieku siedemnastu lat zostałem Posłańcem. Zacząłem podróżować znacznie wcześniej.

– A ile lat ma Naznaczony?

– Naznaczony urodził się na krasjańskiej pustyni cztery lata temu.

– A człowiek ukryty pod runami? – zapytała Leesha. – Ile miał lat, gdy umarł?

– To bez znaczenia. Był po prostu głupim, naiwnym dzieciakiem z głową nabitą szkodliwymi marzeniami.

– Czy to dlatego musiał umrzeć?

– On został zabity. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.

– Jak miał na imię? – zapytała cicho.

Naznaczony milczał przez dłuższą chwilę.

– Arlen – powiedział w końcu. – Miał na imię Arlen.

Brzask

332 RP

Gdy Naznaczony uniósł powieki, już nie padało, ale niebo nadal przesłaniały ciemne chmury, zwiastując kolejny deszcz. Zajrzał do wnętrza jaskini – jego okolone runami oczy z łatwością przenikały ciemności – i dostrzegł oba konie oraz śpiącego Minstrela. Nigdzie jednak nie widział Leeshy.

Wciąż było stosunkowo wcześnie, brzask dopiero zaczynał odpędzać noc. Większość demonów z pewnością umknęła już do Otchłani, ale przy takim zachmurzeniu istniało ryzyko, że gdzieś w cieniu czaili się maruderzy. Naznaczony powstał, zrywając bandaż, które Zielarka założyła poprzedniej nocy. Wszystkie rany już się zagoiły.

Na mokrej ziemi wytropienie Leeshy nie stanowiło żadnego problemu. Znalazł ją nieopodal jaskini, gdzie zbierała zioła. Podwinęła suknie powyżej kolan, by nie powalać ich błotem. Na widok jej gładkich, jasnych ud policzki wojownika oblał rumieniec. Blade światło świtu czyniło ją niezwykle piękną.

– Nie powinnaś wychodzić z jaskini. Słońce jeszcze nie wstało, nie jest

tu bezpiecznie.

Leesha spojrzała na niego z uśmiechem.

– Ty masz zamiar mnie pouczać, że nie wolno mi narażać życia? – zapytała, unosząc brew. – Poza tym – ciągnęła, nie doczekawszy się odpowiedzi – jaki demon mógłby mnie skrzywdzić, skoro tu jesteś?

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Turuń? – zapytał.

Dziewczyna pokiwała głową. Podniosła roślinkę z szorstkimi liśćmi i grubymi pąkami.

– Palony w fajce rozluźnia mięśnie i wywołuje stany euforyczne. Parząc go z werbeną, można uzyskać wywar nasenny, który uspi najdzikszego lwa.

– Podziałałby na demona?

– Czy tobie zdarza się myśleć o czymkolwiek innym?

– Niech ci się nie wydaje, że mnie znasz – burknął urażony. – Tak, zabijam otchłańce i z tego właśnie powodu odwiedzałem miejsca, których nie pamięta nikt z żyjących. Chcesz posłuchać poezji, którą przetłumaczyłem ze starożytnego ruskiańskiego? Mam ci namalować freski ze ścian Słońca Anocha? Opowiedzieć o maszynach ze starego świata, które mogłyby wykonać pracę dwudziestu mężczyzn?

Leesha położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam. Nie powinnam była tak prędko cię osądzać. Wiem coś o odpowiedzialności, która pociąga za sobą pilnowanie mądrości starego świata.

– Nie przeszkadza mi to.

– Ale to mnie nie usprawiedliwia. Jeśli zaś chodzi o twoje pytanie – szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Otchłańce jedzą i wydalają, a zatem

teoretycznie można je otruć. Moja nauczycielka mawiała, że podczas Wojen z Demonami Zielarki nieźle dały I im popalić. Mam nieco werbeny, mogę zaparzyć ów wywar w Zakątku, jeśli chcesz.

Naznaczony pokiwał z zapalem głową.

– A mogłabyś uwarzyć coś jeszcze?

– Zastanawiałam się, kiedy o to poprosisz – odparła Leesha z westchnieniem. – Nie, nie zrobię dla ciebie płynnego ognia.

– Dlaczego?

– Bo mężczyznom nie można powierzać jego sekretów. Będiesz z niego korzystał, choćbyś miał podpalić pół świata. Zresztą po co ci to? Przecież już dysponujesz mocami, które przewyższają wszystko, co może ci dać kilka ziół czy wywarów.

– Jestem zwykłym... – zaczął wojownik, ale Zielarka przerwała mu w pół słowa.

– Bzdura. Twoje rany goją się w kilka minut, biegiesz przez cały dzień z szybkością konia, a nawet się nie zasapiesz, podrzucasz drzewnymi demonami niczym dziećmi i widzisz w ciemnościach jak w świetle dnia. W żadnym wypadku nie stosuj słowa „zwykły”, gdy o sobie mówisz.

– Nic nie umknie twej uwadze – odparł Naznaczony, uśmiechając się szeroko.

Coś w jego słowach sprawiło, że przez ciało Leeshy przemknął dreszcz.

– Zawsze taki byłeś?

Pokręcił głową.

– To przez runy. Runy działają na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Znasz to określenie?

– Widziałam je w naukowych księgach pochodzących sprzed Plagi.

– Otchłańce to magiczne stworzenia. Runy ochronne zasysają część ich

magii i używają jej, by stworzyć barierę. Czym potężniejszy demon, tym silniej go odpychają. Runy bojowe działają w ten sam sposób, osłabiając pancerze otchłańców i wzmacniając siłę ciosu. Przedmioty nieożywione nie mogą długo wytrzymać podobnych wyładowań, stąd też natychmiast się ono rozprasza. Ale z jakiegoś powodu za każdym razem, gdy uderzę demona albo on uderzy mnie, wchłaniam nieco jego siły.

– Poczułam mrowienie w palcach tej nocy, gdy po raz pierwszy dotknęłam twojej skóry – przypomniała sobie Leesha.

Wojownik pokiwał głową.

– Gdy znaczyłem ciało runami, nie tylko mój wygląd utracił... ludzkie cechy.

Dziewczyna przytknęła dłonie do jego policzków.

– To nie ciała czynią nas ludźmi. Możesz odzyskać człowieczeństwo, jeśli tego pragniesz.

Pochyliła się ku Naznaczonemu i delikatnie go pocałowała.

Z początku zeszywniał, ale zdumienie minęło w jednej chwili i odpowiedział na pocałunek. Zamknęła oczy i rozchyliła szerzej usta. Pieściła jego gładką, ogoloną głowę. Nie czuła runów, a jedynie ciepło skóry i blizny.

Oboje nosimy blizny, pomyślała. Jedyne różnica polega na tym, że jego są widoczne.

Opadła ku ziemi, pociągając go za rękę.

– Ubłocimy się – ostrzegł.

– Za późno. – Chwilę potem już leżała na plecach, a on na niej.

* * *

Krew huczała Leeshy w uszach, gdy obsypywał ją pocałunkami. Przesuwała dłonie po jego twardych mięśniach i rozchyliła nogi, zapraszając jego męskość.

Niech to będzie mój pierwszy raz, pomyślała. Tamci mężczyźni już odeszli, a on zdejmie ze mnie ich piętno. Robię to, bo tego chcę.

Ale mimo to bała się.

Jizell miała rację, nie powinnam była tak długo czekać. Nie wiem, co robić. Każdemu się wydaje, że będę to doskonale wiedzieć, a ja nie mam pojęcia! On zaś pomyśli, że Zielarka musi w tym być ekspertką... Na Stwórcę, a jeśli go nie zadowolę? Co będzie, jeśli komuś wygada?

Z całej siły odepchnęła tę myśl.

Nikomui nie powie. Właśnie dlatego to musi być on. To zawsze miał być on. Jest dokładnie taki jak ja. Jest kimś z zewnątrz. Wędrował tą samą drogą.

Gmerała przy jego przepasce biodrowej i wreszcie znalazła sposób, by ją rozpiąć. Jęknął cicho, gdy ujęła jego członka.

Wie, że byłam dziewicą. Jego męskość pęcznieje mi w dłoniach, ja robię się wilgotna... Cóż więcej trzeba wiedzieć?

– A jeśli zrobię ci dziecko? – wyszeptał.

– Mam nadzieję, że tak właśnie będzie – odpowiedziała cicho i naprowadziła go na siebie. Pchnął,

Cóż więcej trzeba wiedzieć?

* * *

Pocałowała go. Nie mógł w to uwierzyć. Jeszcze przed chwilą podziwiał jej uda, ale nigdy by nie pomyślał, że obudzi w niej podobną

fascynację. Nie przyszłoby mu do głowy, że jakakolwiek kobieta mogłaby poczuć coś takiego na jego widok.

Zesztywniał jak sparaliżowany, ale, jak zawsze w podobnych przypadkach, ciało przejęło kontrolę nad sytuacją. Nim się spostrzegł, pochwyił ją i łapczywie wpił się w jej usta.

Ile czasu upłynęło, odkąd ktoś go całował? Ile czasu minęło od chwili, gdy odprowadził Mery do domu i usłyszał, że nigdy by nie została żoną Posłańca? Leesha zmagala się z jego szatami i raptem pojął, że zamierza to pociągnąć o wiele dalej, niż sam kiedykolwiek zaszedł. Znienacka zdjął go strach, nieznane, zdradzieckie uczucie. Nie miał pojęcia, co robić. Nie miał pojęcia, jak zadowolić kobietę. Czyżby liczyła, że jego doświadczenie w walce przekładało się na doświadczenie w miłości?

Choć może miała rację. Podczas gdy w jego głowie jedna myśl ścigała drugą, ciało podjęło własną grę, działając wedle instynktów głęboko zakorzenionych w podświadomości. Tych samych instynktów, które poderwały go do walki.

Ale to nie była bitwa. To było coś innego.

W jego głowie rozbrzmiała kolejna myśl: czy ona będzie tą jedyną? Dlaczego ona, a nie Renna? Gdyby jego życie potoczyło się inaczej, od piętnastu lat prowadziłby gospodarstwo z żoną i gromadką dzieci. Nie po raz pierwszy przed oczami przemknęło mu wyobrażenie Renny w ciele dojrzałej kobiety, Renny należącej tylko do niego.

A dlaczego nie Mery? Mery, którą by poślubił, gdyby przystała na życie z Posłańcem. Związałby się z Miln dla miłości, podobnie jak Ragen. Doskonale by na tym wyszedł, ujrzał to teraz w pełni. Ragen się nie mylił, Ragen, który miał przecież Elisę...

Obraz Elissy przemknął mu przed oczyma, gdy ściągnął suknię Leeshy,

obnażając jej miękkie piersi. Znów ujrzał ową chwilę, gdy Elissa po raz pierwszy w jego obecności karmiła piersią Maryę. Zapragnął wtedy samemu zacząć ją ssać. Czuł później wstyd, ale to wspomnienie nigdy go nie opuściło.

Czy Leesha była kobietą przeznaczoną tylko dla niego? Czy coś takiego w ogóle istniało? Jeszcze godzinę temu parsknąłby ze śmiechu na samą taką myśl, a teraz patrzył na Leeszę, jakże piękną i rozochoconą, jak dobrze rozumiejącą to, kim sam był. Zrozumiałaby, gdyby zachował się niezręcznie, gdyby nie wiedział, gdzie jej dotknąć lub jak się poruszyć. Kawalek błotnistej ziemi opromieniony brzaskiem może nie stanowił najodpowiedniejszego łoża małżeńskiego, ale w tej chwili wydawał się lepszy niż puchowe materace w posiadłości Rageny.

Mimo to wciąż nękały go wątpliwości.

Ryzykowanie życia w mroku nocy to jedno – nie miał przecież nic do stracenia, nikt z pewnością by po nim nie płakał. Gdyby zginął, łzami po nim nie napełniono by ani jednej fiołki. Czy potrafiłby jednak podejmować ryzyko, gdyby Leesha oczekiwała go w ciepłym domu? Czy porzuciłby wówczas walkę i stał się kimś podobnym do ojca? Czy przyzwyczaiłby się do ukrywania tak bardzo, że nie umiałby stanąć do walki we własnej obronie?

Dzieci potrzebują ojca, usłyszał nagle słowa Elissy.

– A jeśli zrobię ci dziecko? – wyszeptał między pocałunkami, nie wiedząc, jakiej odpowiedzi tak naprawdę oczekuje.

– Mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

Trzymała go mocno, ciągnęła ku sobie, a cały jego świat chwiało się w posadach, ale proponowała mu coś w zamian. Z ulgą przyjął ten dar.

A potem wszedł w nią i poczuł się spełniony.

* * *

Przez chwilę całym ich światem było dudnienie krwi w uszach i rozpalona namiętnością skóra. Teraz, gdy umysły straciły znaczenie, zadanie z łatwością przejęły ciała. Szata mężczyzny odfrunęła na bok, suknia kobiety otaczała jej talię. Pojękiwali i wzdychali, myśląc wyłącznie o sobie nawzajem.

Dopóki nie zjawił się demon drzew.

Otchłaniec podchodził bezszelestnie, zwabiony odgłosami miłości. Wiedział, że nadciąga świt, a znenawidzone słońce lada chwila go opromieni, ale widok dwóch nagich ciał pobudził jego apetyt. Zebrał się do skoku, zamierzając powrócić do Otchłani z ciepłą krwią na szponach i świeżym mięsem w pysku.

Zaszarżował prosto na nagie plecy Naznaczonego. Umieszczone tam runy odrzuciły potwora, a kochankowie zderzyli się głowami.

Otchłaniec przetoczył się po mchu, lecz natychmiast skoczył na cztery łapy, czujny i niezrażony. Znów zaatakował. Leesha wrzasnęła. Naznaczony, tym razem przygotowany, pochwycił bestię za szpony. Obrócił się i cisnął nią o ziemię, wykorzystując jej pęd.

W jego ruchach nie było przypadkowości ani zawahania. Natarł, wykorzystując chwilową przewagę. Był nagi, ale nie stanowiło to przeszkody, walczył w ten sposób, odkąd wytatuował pierwsze runy.

Znów zawirował i wbił piętę w szczękę otchłańca. Uderzeniu nie towarzyszył rozbłysk magii, gdyż runy zniknęły pod warstwą błota, ale siłą kopnięcia wojownik dorównywał swemu rumakowi. Gdy tylko bestia upadła, z dzikim wraskiem ruszył do dalszej walki. Dobrze wiedział, jak

straszliwym przeciwnikiem potrafi być demon, gdy tylko zdoła się podnieść.

Ten, całkiem spory jak na swój rodzaj, sięgał niemalże ośmiu stóp, a siłą wielokrotnie przewyższał przeciwnika. Naznaczony uderzał, kopał, walił łokciami, lecz całe ciało miał oblepione błotem i niemal wszystkie runy straciły moc. Korowaty pancerz rozdzierał mu skórę, a ciosy nie odnosiły większego skutku.

Nagle otchłaniec odwrócił się i zdzielił mężczyznę ogonem w żołądek, pozbawiając go tchu. Leesha ponownie krzyknęła, a wtedy potwór zwrócił na nią uwagę. Z dzikim wrzaskiem zaatakował.

Naznaczony skoczył w ślad za nim. Pochwycił go za stopę, zdołał powalić i przygnieść własnym ciałem. Po chwili szaleńczych zapasów wcisnął nogę pod pachę bestii, a drugą założył miażdżący chwyt na szyję. Jedną z nóg zgiał odrobinę i przytrzymał obiema dłońmi, uniemożliwiając przeciwnikowi powstanie.

Demon miotał się, tnąc pazurami, ale wojownik zdobył w końcu przewagę. Złączeni potężnym chwytem tarzali się w błocie, aż słońce wreszcie weszło, a jego promienie odnalazły lukę w chmurach. Otchłaniec zdwoił rozpaczliwe wysiłki, gdy jego korowaty pancerz zaczął dymić, lecz Naznaczony trzymał go mocno.

Jeszcze tylko kilka chwil.

Wtedy jednak doszło do czegoś niesamowitego. Świat dookoła niespodziewanie wydał się mglisty, niematerialny. Naznaczony poczuł, że coś go pociąga w dół. Wraz z demonem zaczęli się zapadać.

Nagle ujrzał przed sobą drogę. Wzywała go Otchłań.

Przepełniło go skrajne przerażenie i obrzydzenie. Ciągący go otchłaniec wciąż był materialny, nawet jeśli reszta świata przypominała

cienie. Spojrzał ku górze i dostrzegł, jak ukochane słońce z wolna się rozpląwa.

Uchwycił się tego widoku niczym tonący liny, rozluźnił chwyt i szarpnął za nogę bestii, wlokąc ją ku światłu. Walczyła zaciekle, ale przerażenie dodało Naznaczonemu sił i z okrzykiem determinacji wydobył potwora na powierzchnię.

Powitało ich słońce, jasne i błogosławione, a mężczyzna poczuł, jak jego ciało odzyskuje materialność. Demon w jednej chwili stanął w płomieniach. Darł pazurami ziemię, bezskutecznie próbując wyrwać się z uścisku człowieka.

Gdy Naznaczony w końcu puścił zwęglone truchło, broczył krwią z dziesiątek ran. Leesha natychmiast do niego podbiegła, ale odepchnął ją, nie potrafiąc dojść do siebie. Czym się stał, skoro mógł kroczyć drogą do Otchłani? Czyżby jednym z demonów? Jakim potworem okaże się dziecko zrodzone z jego nasienia?

– Jesteś ranny – wyjąkała dziewczyna, próbując go dotknąć.

– Wszystko się zagoi. – Łagodny, przepełniony miłością głos bezpowrotnie znikł, na powrót zastąpiony chłodnym i pozbawionym uczuć. Naznaczony nie przesadzał jednak – wiele z mniejszych rozcięć już się zasklepiało.

– Ale... Ale co z...

– Dokonałem wyboru już dawno temu. Wybrałem noc. Przez chwilę sądziłem, że zdołam to cofnąć, ale... – Pokręcił głową. – Od takiej decyzji nie ma odwrotu.

Podniósł szatę i ruszył w kierunku płynącego nieopodal strumyka, by obmyć rany.

– Niech cię Otchłań pochłonie! – wrzasnęła za nim Leesha. – Ciebie i

twoją obsesję!

Plaga

332 RP

Rojer wciąż spał, gdy wrócili. Zdjęli ubłocone ubrania i założyli czyste, odwróceni do siebie plecami. Potem Leesha kilkoma szarpnięciami dobudziła chłopaka, a Naznaczony osiodłał konie. W milczeniu zjedli zimne śniadanie i wyruszyli w drogę, nim słońce wzeszło na dobre. Rojer siedział za Leeshą na klaczy, a Naznaczony jechał samotnie na wielkim ogierze. Niebo zasnuwały nisko wiszące chmury.

– Nie powinniśmy już minąć jadącego na północ Posłańca? – zapytał naraz Minstrel.

– Racja – rzekła Leesha i rozejrzała się po trakcie.

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Dotrzemy do Zakątka w samo południe – oznajmił. – Tam się pożegnamy, a ja ruszę w dalszą drogę.

– Tak będzie najlepiej – zgodziła się Leesha.

– Tak po prostu? – zapytał Rojer.

– Oczekiwałeś czegoś więcej, Minstrelu? – Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy? Na noc, oczywiście, że tak!

– Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale mam swoje sprawy do załatwienia.

– Niech cię Stwórca chroni, byś przypadkiem nie zapomniał czego usiec co noc – mruknęła Leesha.

– Kiedy zawarliśmy umowę! – naciskał chłopak. – Miałem wyruszyć u twego boku!

– Rojer! – krzyknęła Zielarka.

– Doszedłem do wniosku, że to jednak zły pomysł – powiedział Naznaczony, zerkając na dziewczynę. – Jeśli ta muzyka nie jest w stanie zabijać demonów, to na nic mi się nie przyda. W pojedynkę lepiej dam sobie radę.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – oznajmiła Leesha. Jej policzki naraz poczerwieniały na widok urażonego spojrzenia Rojera. Wiedziała, że nie zasługiwał na tak oschłe traktowanie, ale właśnie próbowała powstrzymać płacz, a w podobnych sytuacjach nie potrafiła ani pocieszać, ani cierpliwie tłumaczyć.

Poznała prawdziwą naturę Naznaczonego. Wcześniej liczyła, że jednak się myli, ale musiała w końcu przyznać, że ten mężczyzna nie jest zdolny do okazywania uczuć. Jedyne, co od niego otrzymała, to krótką chwilę zapomnienia. Och, pragnęła tej chwili, pragnęła bezpieczeństwa w jego ramionach, pragnęła wreszcie poczuć go w sobie. Bezwiednie potarła brzuch. Gdyby w innej sytuacji odkryła, że nosi pod sercem dziecko, pielęgnowałaby ciążę troskliwie i nigdy się nie zastanawiała, kto tak naprawdę jest ojcem, ale teraz... Na szczęście miała w zapasie wystarczającą ilość liści glisowca, by zrobić to, co należało.

Jechali w milczeniu, a bijący od nich chłód był niemalże namacalny. Nie minęło wiele czasu, gdy znaleźli się za zakrętem, skąd mogli dojrzeć pierwsze zabudowania Zakątka Drwali.

Nawet z tej odległości dostrzegli, że po wiosce zostały jedynie dymiące zgliszcza.

* * *

Na widok dymu Leesha popędziła konia do galopu, ledwie Rojer zdążył mocniej ją objąć. Naznaczony pognał za nimi. Pomimo wiszącej w powietrzu wilgoci ognie pożerały zabudowania Zakątka, i wyrzucając w niebo gęste kłęby dymu. Nagle chłopak ujrzał w wyobraźni ostatnie chwile Rzczułki. Z trudem łapiąc oddech, ścisnął tajemną kieszeń i dopiero wtedy przypomniał sobie, że stracił talizman. Klacz zawadziła kopytem o występ drogi, a Rojer w ostatniej chwili złapał za suknię Zielarki, by uniknąć upadku.

Zaraz potem dostrzegli ocalałych, którzy uwijali się jak mrówki.

– Dlaczego nie walczą z pożarem? – zapytała Leesha, ale chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć.

Wstrzymała konia, gdy wjechali między zabudowania. W oszołomieniu oceniali skalę zniszczeń.

– Niektóre z nich płoną od wielu dni – zauważył Naznaczony, wskazując szczątki przytulnych niegdyś domostw. Po wielu z nich zostały jedynie osmalone ruiny, znad których unosił się dym, w innych popioły już dawno wystygły. Tawerna Smitta, jedyny dwupiętrowy dom we wsi, zapadła się pod własnym ciężarem, a niektóre bele wciąż płonęły. Innym budynkom brakowało dachów bądź całych ścian.

Wjeżdżając coraz głębiej, Leesha przyglądała się okopconym, mokrym od łez twarzom, rozpoznając każdą z nich. Pogrążeni w rozpacz wieśniacy nawet nie zauważyli przybyszów. Zagryzła wargę, by powstrzymać płacz.

W samym środku wsi mieszkańcy ułożyli poległych. Na ziemi leżało ponad sto ciał, zabrakło nawet koców, by wszystkie pozakrywać. Nieszczęsny Niklas. Saira i jej matka. Opiekun Michel. Steave. Dzieci, których nigdy nie spotkała, starsi, których znała całe życie. Niektórzy zginęli w płomieniach, inni od ciosów otchłańców, ale większość nosiła ślady choroby.

Nieopodal klęczała Mairy, szlochając nad niewielkim zawiniątkiem. Leesha z trudem przełknęła ślinę, ale zdołała zeskoczyć z siodła i podejść bliżej, by położyć dłoń na ramieniu przyjaciółki.

– Leesha? – zapytała Mairy z niedowierzaniem. Zerwała się na nogi i objęła Zielarkę, uderzając w płacz.

– To Elga! – Miała na myśli najmłodszą córeczkę, która nie skończyła nawet dwóch lat. – Ona... Ona odeszła!

Leesha głaskała przyjaciółkę po plecach. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc nuciła pod nosem uspokajającą melodię. Inni mieszkańcy już ją dostrzegli, ale nie podchodzili bliżej z szacunku dla matki, która wypłakiwała rozpacz.

– Leesha – szeptali. – Leesha wróciła! Dzięki niech będą Stwórcy!

W końcu Mairy zdołała przezwyciężyć ból. Wyszwoodziła się z objęć przyjaciółki i otarła twarz brudnym od sadzy fartuchem.

– Co tu się stało? – zapytała cicho Zielarka. Mairy spojrzała na nią oczyma, z których znów pociekły łzy. Zadrżała, niezdolna wypowiedzieć choćby słowa.

– Plaga – rzekł ktoś znajomym głosem. Dziewczyna zauważyła wspartego na lasce Jonasa. Z jego szaty Opiekuna oddarto nogawkę, a bandażę, którymi owinięto łydkę, przesiąkły już krwią. Leesha objęła go i zerknęła znacząco na poranioną nogę.

– Złamana goleń – mruknął Jonas, machnąwszy lekceważąco ręką. – Vika się tym zajęła – dodał i raptem spochmurniał. – Była to zresztą jedna z ostatnich rzeczy, które zdążyła zrobić, nim i ją dopadło.

– Vika nie żyje? – wykrztusiła Leesha.

– Jeszcze nie odeszła, ale choroba nie odpuszcza, wyniszczając jej ciało gorączką. Długo to nie potrwa. – Opiekun rozejrzał się wokół i wyszeptał, by wieśniacy go nie słyszeli: – Wszystkim nam pozostało niewiele czasu. Obawiam się, że wybrałaś zły moment na powrót do domu, ale może właśnie tego życzył sobie Stwórca. Gdybyś zwlekała choć dzień dłużej, nie byłoby już domu, do którego mogłabyś powrócić.

Dziewczyna spojrzała twardo na Jonasa.

– Nie chcę już słuchać takich bredni! Gdzie jest Vika? – Odwróciła się i zmierzyła wzrokiem niewielkie zbiegowisko. – Na Stwórcę, gdzie są wszyscy?

– Chorzy dogorywają w Świętym Domu. Ci, którzy wyzdrowieli lub dzięki błogosławieństwu Stwórcy nie zapadli na chorobę, zbierają i oplakują martwych.

– Dobrze, a zatem chodźmy. – Leesha chwyciła Jonasa pod ramię, by go podtrzymywać podczas marszu do świątyni. – A teraz opowiadaj. Wszystko.

Mężczyzna pokiwał głową. Twarz miał bladą, oczy zapadnięte, a skórę wilgotną od potu. Najwidoczniej stracił też sporo krwi, a ból zwalczał jedynie dzięki ogromnej sile woli. Rojer i Naznaczony szli bezgłośnie za

nimi wraz z większością wieśniaków, którzy widzieli przybycie Zielarki.

– Plaga pojawiła się kilka miesięcy temu – zaczął Opiekun. – Vika i Darsy utrzymywały, że to tylko grypa, i niezbyt się nią przejęły. Niektórzy z chorych, głównie młodzi i silni, szybko dochodzili do siebie, ale inni leżeli w łóżkach przez długie miesiące, a niektórzy umierali. Mimo to nie traciliśmy ducha. Wciąż myśleliśmy, że to niezbyt groźna epidemia. Tak było, póki nie zaczęła się rozprzestrzeniać. Zdrowi ulegali jej błyskawicznie – starczył dzień, a już ciskali się w delirium, zbyt osłabieni, by powstać. Wybuchwały pożary – ciągnął. – Ludzie omdlewali nocami, nierzadko w chwili, gdy nieśli lampę lub świeczkę. Inni byli zanadto osłabieni, by sprawdzać runy. Gdy choroba dopadła twego ojca oraz pozostałych Patronów, bariery runiczne zaczęły pękać w całej wsi, bowiem popioły i dymy zakrywały bądź zamazywały większość znaków. Walczyliśmy z pożarami, ale coraz więcej ludzi zapadało na chorobę i wkrótce zabrakło rąk do pracy. Smitt zebrał wówczas ocalałych w kilku dobrze chronionych budynkach oddalonych od szalejącego ognia. Miał nadzieję, że razem będziemy bezpieczniejsi, a tymczasem pomógł tylko zarazie szybciej się rozprzestrzenić. Zeszłej nocy podczas burzy zemdląła Saira. Potrafiła lampę i wzniciła pożar, który błyskawicznie objął całą tawernę. Ludzie musieli uciekać prosto w mrok nocy...

Gdy głos uwiązał Opiekunowi w gardle, Leesha w milczeniu pogładziła go po plecach. Resztę potrafiła sobie wyobrazić.

Święty Dom był jedynym budynkiem w Zakątku Drwali w całości wykonanym z kamienia. Oparł się iskrom niesionym przez wiatr i górował teraz dumnie nad ruinami jako symbol przetrwania. Zielarka przeszła przez wielkie drzwi i aż jęknęła ze zgrozy. Ławki zostały wyniesione, a podłogę niemalże co do cala pokrywały słomiane sienniki rozłożone tak ciasno, że

ledwie dało się między nimi przejść. Na każdym spoczywał chory. Wielu ciskało się na posłaniach, podczas gdy inni, sami wycieńczeni chorobą, próbowali ich uspokoić. Nie potrafiła wszystkich zliczyć, ale podejrzewała, że zarażonych może być nawet dwustu. Dostrzegła nieprzytomnego Smitta, a nieco dalej Vikę. Rozpoznała dwoje dzieci Mairy i wielu, wielu innych, nigdzie jednak nie widziała ojca.

Jakaś kobieta uniosła głowę. Przedwcześnie posiwiiała i wychudła, dawno już przestała dbać o wygląd, ale jej krępa sylwetka od razu naprowadziła Leeszę na właściwe skojarzenia.

– Stwórcy niech będą dzięki! – zawołała Darsy. Zielarka puściła Jonasa, by zamienić z nią kilka słów. Po paru minutach wróciła do Opiekuna.

– Czy chata Bruny stoi w całości? – zapytała.

– Tak sędzę, ale nikt tam nie zaglądał od chwili śmierci Wiedźmy, czyli od niespełna dwóch tygodni.

Leesha pokiwała głową. Osłonięta drzewami chatka stała daleko od wioski i wydawało się mało prawdopodobne, by sadza mogła przesłonić runy.

– Muszę zabrać stamtąd wszystkie zapasy – powiedziała dziewczyna i ruszyła do wyjścia. Znów zaczynało padać. Jednolicie szare niebo nie dodawało otuchy.

Na zewnątrz czekali Rojer i Naznaczony w towarzystwie grupki wieśniaków.

– To naprawdę ty! – zawołała Brianne. Kilka kroków za nią stał Evin z małą dziewczynką na ramionach, a obok niego Callen, który wyrósł na wysokiego chłopca, choć nie miał nawet dziesięciu lat.

Leesha przytuliła serdecznie przyjaciółkę.

– Czy ktoś widział mojego ojca? – zapytała.

– Jest w domu – odpowiedział ktoś z zebranych. – Tam, gdzie i twoje miejsce.

Dziewczyna odwróciła się i ujrzała nadchodzącą matkę, której następował na pięty Gared. Nie wiedziała, czy ten widok powinien przynieść jej ulgę, czy może raczej przyprawić o przerażenie.

– Przybyłaś, by zajmować się wszystkimi z wyjątkiem rodziny? – zapytała ostro Elona.

– Mamo, ja tylko... – zaczęła Leesha, ale matka nie dała jej dokończyć.

– Ja tylko to, ja tylko tamto! Zawsze znajdziesz powód, by odwrócić się od bliskich. Twojego nieszczęsnego ojca śmierć trzyma już w objęciach, a ja zastaję cię...

– Kto go pilnuje? – przerwała jej dziewczyna.

– Jego czeladnicy.

– Niech go tutaj przyniosą. Musi leżeć z pozostałymi.

– Niedoczekanie! Mam go wyrwać z wygodnych puchowych pierzyn i ułożyć na zarobaczonym sienniku w izbie cuchnącej zarazą? – Elona złapała córkę za ramię. – Natychmiast przyjdiesz go zbadać! Jest twoim ojcem!

– Sądysz, że o tym zapomniałam? – Leesha wyrwała się z uścisku matki. – A niby o kim myślałam, gdy rzuciłam wszystko w Angiers i ruszyłam do Zakątka? Ale ojciec nie jest jedynym człowiekiem we wsi, matko! Nie mogę porzucić dla niego wszystkich chorych!

– Ci ludzie już nie żyją! Zgłupiałaś do reszty, jeśli sądzisz inaczej! – warknęła Elona, wywołując okrzyki zdumienia wśród zebranych. Nie zważając na to, wskazała ściany Świętego Domu. – Wydaje ci się, że te runy przetrwają dzisiejszy atak otchłańców?

Wszyscy zwrócili spojrzenia ku poczerniałym od dymu i popiołów kamieniom. Mało który znak był nadal widoczny.

Tymczasem Elona pochyliła się ku córce i wyszeptała:

– Nasz dom leży na uboczu. Być może to ostatni dobrze chroniony budynek w Zakątku. Nie pomieści wszystkich, ale dla ciebie starczy miejsca.

Wtedy Leesha z całej siły uderzyła ją w twarz. Zaskoczona Elona upadła w błoto i przycisnęła dłoń do policzka. Przez chwilę wydawało się, że Gared doskoczy do dziewczyny, ale ona zatrzymała go lodowatym spojrzeniem.

– Nie mam zamiaru kryć się po kątach i porzucić przyjaciół na pastwę nocy! Znajdziemy sposób, by zabezpieczyć Świąty Dom. Zrobimy to razem! A jeśli demony spróbują porwać któreś z moich dzieci, gorzko tego pożałują! Posiadłam bowiem sekrety ognia, które wypalą je z tego świata!

Moje dzieci, pomyślała raptem, gdy po jej przemowie zapadła głucha cisza. Czy stałam się już Bruna, by tak o nich myśleć?

Rozejrzała się po przestraszonych, brudnych twarzach. Nikt ze zgromadzonych nie wydawał się gotów, by objąć dowództwo nad pozostałymi. Wtedy zrozumiała, że dla nich wszystkich była Bruna, Zielarką Zakątku Drwali. A to oznaczało, że czasem będzie musiała uzdrawiać, a czasem...

Czasem trzeba będzie sygnąć komuś pieprzem w oczy albo spalić drzewnego demona na czyimś podwórzu.

Niespodziewanie podszedł do niej Naznaczony. Ludzie zaczęli szeptać, zupełnie jakby dopiero teraz dostrzegli zakapturzone widmo w długich szatach.

– Nie tylko drzewnym demonom przyjdzie wam stawić czoła –

oznajmił. – Ognistym twoje sztuczki sprawią wiele uciechy, a wichrowe wzniosą się wyżej, nie sięgną ich płomienie. Masakra ściągnie nawet skalne demony ze wzgórz. Będą tu czekać, gdy zajdzie słońce.

– Czeka nas wszystkich śmierć! – wykrzyknął Ande to, co inni tylko myśleli.

– A co ciebie to obchodzi? – warknęła Leesha do wojownika. – Dotrzymałeś obietnicy. Doprowadziłeś nas do celu, wskakuj więc na tę szkapę rodem z Otchłani i ruszaj w drogę. Pozostaw nas swemu losowi!

Naznaczony pokręcił zdecydowanie głową.

– Przysięgałem, że niczego nie oddam otchłańcom, i nie złamię tej przysięgi po raz drugi. Prędeż mnie porwą do samej Otchłani, niż pozwolę im zabrać tę wioskę.

Odwrócił się do zebranych, ściągając kaptur. Tu i ówdzie rozległy się jęki przerażenia i zaskoczenia, ale ludzie na moment zapomnieli o strachu.

– Gdy otchłańce przybędą dziś w nocy do Świętego Domu, wyjdę i stawię im czoła!

Zgromadzeni zaszemrali. Niektórzy patrzyli na nieznanego błyszczącymi oczyma, jakby właśnie coś sobie przypomnieli. Nawet tu docierały opowieści o wytatuowanym mężu, który niósł śmierć demonom.

– Czy staniecie u mego boku?

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Żony ujmowały ich za ręce i samymi spojrzeniami zakazywały cokolwiek mówić.

– A cóż takiego zdziałamy przeciwko demonom? – krzyknął znów Ande. – Porozdzierają nas na strzępy! Przecież nie można zabić demona!

– Mylisz się. – Naznaczony podszedł do Nocnego Tancerza, by odroczyć szczelnie zawinięty w szmaty pakunek. – Nawet skalnego demona da się zabić. – Cisnął w błoto zakrzywiony przedmiot

żółtobrazowej barwy, długi na około trzy stopy, z jednym końcem zaostrowym i poszarpanym, a drugim szerszym i spękany u podstawy.

Wieśniacy otworzyli szeroko usta, a wtedy zza chmur na krótką chwilę wyjrzało słońce. Niespodziewanie róg ułamany z czaszki skalnego demona zaczął dymić. Drobne krople mżawki zasyczały na jego powierzchni, a zaraz potem stanął w płomieniach.

– Każdego demona da się zabić! – zawołał wojownik. Wyciągnął z juków Nocnego Tancerza runiczną włócznię i wbił ją w płonący róg, który buchnął rojem iskier jak fajerwerk przygotowany na wioskowe święto.

– O łaskawy Stwórco – wydukał Jonas, kreśląc w powietrzu run. Wielu wieśniaków poszło za jego przykładem.

Naznaczony skrzyżował ręce na piersi.

– Potrafię sporządzić taką broń, ale nic nam ona nie pomoże, jeśli zabraknie mężczyzn zdolnych ją dzierżyć. Zatem pytam raz jeszcze: kto stanie u mego boku?

Cisza, która zapadła po tych słowach, zdawała się nie mieć końca.

– Ja.

Mężczyzna odwrócił się i z zaskoczeniem ujrzał u swego boku Rojera.

– I ja! – zawołał Yon Szary. Opierał się ciężko na lasce, ale w jego oczach płonęła determinacja. – Od przeszło siedemdziesięciu lat patrzę, jak te ścierwa porywają naszych bliskich, jednego po drugim. Jeśli tej nocy pisany jest mi koniec, to przynajmniej splunę wcześniej któremuś z nich w ślepie!

Pozostali wciąż milczeli, a wtedy z szeregu wystąpił Gared.

– Głupcze, co ty wyczyniasz?! – krzyknęła Elona, łapiąc go za ramię, ale olbrzymi drwał strząsnął jej dłoń. Z początku chwycił włócznię niepewnie. Potem zacisnął palce na drzewcu i wyrwał broń z ziemi.

Lśniącymi oczyma oglądał runy wyryte na całej jej długości.

– Pożarły mojego ojca zeszłej nocy – powiedział głosem drżącym ze złości. Zacisnął dłoń jeszcze mocniej, aż pobiełały mu kłykcie, i spojrzął na Naznaczonego. – Teraz spłacą swój dług.

Jego słowa poruszyły lawinę. Pojedynczo lub w grupach, powodowani strachem, gniewem, a przede wszystkim rozpaczą, ludzie z Zakątka decydowali się wydać tej nocy walkę śmiertelnemu wrogowi.

– Głupcy! – splunęła Elona i uciekła.

* * *

– Nie musiałeś tego robić – powiedziała Leesha, gdy pędzili na grzbiecie Nocnego Tancerza do chatki Bruny. Mocniej objęła Naznaczonego w pasie.

– Cóż dobrego wyniknie z mojej obsesji, jeśli nie pomogę tym ludziom?

– Dziś rano czułam się... Nie mówiłam tego poważnie.

– Mówiłaś. Co więcej, miałaś rację. Walka pochłonęła mnie do tego stopnia, że całkiem zapomniałem, o co walczę. Nie pamiętałem już, co tak naprawdę jest moim celem. Przez całe życie marzyłem tylko o tym, by walczyć z demonami, ale jaki jest sens zabijać demony w środku dziczy, ignorując te, które co noc polują na ludzi?

Dojechali do chatki. Naznaczony zeskoczył z siodła i podał dziewczynie dłoń. Leesha uśmiechnęła się i pozwoliła, by pomógł jej zejść.

– Chatka wygląda na nietkniętą – zauważyła. – Znajdziemy tam wszystko, czego nam potrzeba.

Chciała od razu skierować kroki w stronę kąta, gdzie Bruna trzymała

zioła, ale niespodziewanie tknęła ją aura tego miejsca. Naraz zdała sobie sprawę, że nigdy więcej nie ujrzy już nauczycielki, nie usłyszy jej przekleństw ani nie ofuknie jej za plucie na podłogę, nie skorzysta z jej mądrości ani nie to zaśmieje się z jej grubiańskich dowcipów. Ten rozdział jej życia został raz na zawsze zamknięty.

Nie była to jednak pora na ronienie łez. Leesha odepchnęła od siebie wszelkie uczucia i zaczęła myszkować wśród zapasów. Wybierała niektóre słoje i buteleczki, po czym wkładała je do fartucha, inne zaś przekazywała Naznaczonemu, który pakował je szybko do juków.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego mnie tu przywiodłaś – burknął. – Powiniennem przygotowywać broń. Zostało nam ledwie kilka godzin.

Zielarka podała mu ostatnie zioła, a kiedy już zniknęły w torbach, zaprowadziła go na środek pokoju i odsunęła dywan, odsłaniając klapę w podłodze. Poprosiła Naznaczonego, by ją uniósł. Ich oczom ukazały się drewniane schody wiodące w ciemność.

– Mam ci podać świeczkę? – zapytał.

– Ależ skąd!

– W porządku. – Wzruszył ramionami. – Ja w ciemnościach widzę całkiem nieźle.

– Wybacz, nie chciałam cię urazić. – Sięgnęła do jednej z kieszeni fartucha i wyciągnęła dwie fiołki. Odkorkowała je, a następnie przelała zawartość jednej do drugiej. Wstrząsnęła pełną fiolką, która natychmiast zaczęła się mienić łagodnym blaskiem, i ruszyła w dół po spróchniałych stopniach. Naznaczony zszedł zaraz za nią. Ściany zakurzonej piwnicy nie były odeskowane, tylko na wspornikach stropu widniały runy ochronne. Wszędzie stały skrzynie i beczki, a wzdłuż ścian biegły półki pełne rozmaitych butelek i słoiczków.

Leesha podeszła do jednej z nich i chwyciła pudełko z ognistymi patyczkami.

– Drzewne demony można zabić ogniem – zaczęła głośno myśleć. – Ciekawe, jak by zadziałał silny rozpuszczalnik...

– Nie mam pojęcia – odparł Naznaczony. Leesha rzuciła mu pudełko i uklękła, by przetrząsnąć zawartość niższej półki.

– No to się przekonamy. – Podała do tyłu ogromną butlę wypełnioną przezrzystym płynem. Wykonany ze szkła korek przytrzymała siatka z cienkiego drutu.

– Tłuszcz i olej sprawią, że nie będą mogły utrzymać się na nogach – mruzczała dziewczyna, nie ustając w poszukiwaniach. – A płonąć będą jasno nawet w deszczu...

Sięgnęła po dwa zalakowane dzbany z gliny i piorunowe patyczki, zwykle używane do usuwania zawadzających pniaków. Po chwili zastanowienia chwyciła też pudło z fajerwerkami. Wreszcie podeszła do wielkiej beczki na deszczówkę.

– Otwórz – przykazała. – Ale ostrożnie.

Wojownik skwapliwie wypełnił polecenie. Gdy uniósł pokrywę, ujrzął cztery ceramiczne dzbanki unoszące się na wodzie. Spojrzał pytająco na Leeszę.

– Płynny ogień demoniczny – wytłumaczyła.

* * *

Dzięki znacznym runami kopytom Nocnego Tancerza dotarli do domu Jepha w kilka minut. Leesha znów poczuła tęsknotę za tym miejscem, ale tak jak poprzednio zdecydowanie stłamsiła emocje. Ile godzin im zostało?

Nie wiedziała. Najpewniej za mało.

Na podwórzu zgromadzili się starcy i dzieci, a Brianne i Mairy przydzieliły im zadanie zbierania narzędzi. Oczy Mairy były puste, niemalże martwe, gdy przyglądała się maluchom. Przekonanie jej, by zostawiła swoją dwójkę w świątyni, nie przyszło Leeshy łatwo, ale w końcu zwyciężył rozsądek. Z dziećmi został ojciec, a Mairy miała przeczekać noc w domu Jepha – gdyby wszystko skończyło się źle, pozostałe pociechy będą potrzebować matek.

Elona wypadła z domu na widok córki.

– To był twój pomysł?! – wrzasnęła. – To ty postanowiłaś zamienić mój dom w oborę?!

Leesha precyzyjnie się obok niej do sieni, a zaraz za nią wszedł Naznaczony. Elona nie miała wyboru, musiała podążyć w ślad za nimi.

– Tak, matko – rzekła Zielarka. – To był mój pomysł. Dla wszystkich zabraknie miejsca, ale dzieci i starcy, których nie zaatakowała choroba, będą tu bezpieczni bez względu na to, co się wydarzy.

– Nie pozwalam!

– Nie masz wyboru! Miałaś rację, kiedy stwierdziłaś, że nasz dom ma najsilniejszą barierę w całej wsi, więc zostały ci dwa rozwiązania: albo ścierpisz ten tłok, albo staniesz do walki wraz z resztą. Ale, na Stwórcę, bez względu na twoją decyzję dzieci i najstarsi mieszkańcy spędzą tutaj noc!

Elona zgromiła córkę wzrokiem.

– Nie odzywałabyś się do mnie tym tonem, gdyby nie choroba ojca!

– Gdyby nie choroba, sam by wszystkich zaprosił – wycedziła Leesha, nie ustępując ani o krok. Potem odwróciła się ku Naznaczonemu.

– Papiernia jest za tymi drzwiami. Znajdziesz tam miejsce do pracy i

narzędzia do stawiania runów. Dzieciaki będą ci znosić broń.

Mężczyzna pokiwał głową i bez słowa zniknął w warsztacie.

– Skąd ty go, u licha, wytrzasnąłeś? – zapytała Elona.

– Uratował nas przed demonami na trakcie – odparła Zielarka, ruszając do pokoju ojca.

– Wątpię, czy zdołasz mu w jakikolwiek sposób pomóc – ostrzegła ją matka. – Darsy utrzymuje, że jego życie zależy teraz wyłącznie od Stwórcy.

– Bzdura – rzuciła Leesha, po czym weszła do pokoju i natychmiast podbiegła do łóżka. Policzki ojca były blade, a skóra wilgotna od potu, ale dziewczyny nie przestraszył ten widok. Przyłożyła dłoń do czoła chorego, a potem przesuwiała czułymi palcami po gardle, nadgarstkach i klatce piersiowej. W międzyczasie wypytywała matkę o wszelkie symptomy i leki stosowane przez Darsy. Elona wykręcała dłonie, ale odpowiadała najdokładniej jak potrafiła.

– Inni są w dużo gorszym stanie – stwierdziła w końcu Leesha. – Ojciec jest silniejszy, niż ci się wydaje.

Po raz pierwszy Elona powstrzymała się od kąśliwego komentarza.

– Uwarzę dla niego lek. Będziesz go podawać co najmniej raz na trzy godziny.

Zielarka ujęła kawałek pergaminu i szybko wypisała instrukcje.

– Nie zostaniesz z nim? – zapytała Elona.

– W Świętym Domu na moją pomoc czeka blisko dwieście osób, mamo, a wiele z nich cierpi bardziej niż ojciec.

– Mają tam przecież Darsy!

– Darsy wygląda, jakby nie zmrużyła oka od początku zarazy. W tej chwili jest chodzącym trupem, a ja nie zaufałam jej lekom, choćby je

uwarzyła w przypiływie natchnienia. Jeśli zostaniesz przy tacie i wypełnisz moje polecenia, będzie miał większe szanse doczekać świtu niż większość ludzi w Zakątku.

– Leesha? – jęknął niespodziewanie Erny. – To ty?

Dziewczyna usiadła na skraju łoża i ujęła jego dłoń.

– Tak, tato. – Jej oczy zaszklily się od łez. – To ja.

– Przybyłaś – wyszeptał. Przywołał na twarz delikatny uśmiech i zacisnął słabo palce na dłoni córki. – Wiedziałem, że przybędziesz.

– Oczywiście.

– Ale musisz już iść – westchnął. – Słyszałem, co mówiłaś. Idź i zrób, co należy. Sam twój widok dodał mi sił.

Leeshy zebrało się na płacz, ale zamaskowała go śmiechem. Ucałowała czoło ojca.

– Naprawdę jest tak źle? – szepnął Erny.

– Wielu ludzi zginie tej nocy.

Uścisnął mocniej jej dłoń i podniósł nieco głowę.

– A zatem dopilnuj, by nie zginęło ich więcej, niż trzeba. Jestem z ciebie dumny, Leesh. Kocham cię.

– Ja ciebie też, tato – odparła dziewczyna. Otarła oczy i wybiegła z pokoju.

* * *

Rojer szalał na całej długości wąskiego przejścia wytyczonego między rzędami sienników w prowizorycznym szpitalu. Opowiadał chorym o walce, którą Naznaczony stoczył kilka nocy wcześniej w ich obronie.

– Wtedy pojawił się największy skalny demon, jakiego widziałem na

oczy. Stał dokładnie między nami a obozowiskiem!

Wskoczył na stół i wznosił wysoko ręce, machając nimi na znak, że nawet w ten sposób nie odda prawdziwego wzrostu potwora.

– Jak nic mierzył piętnaście stóp! Jego kły były ostre niczym włócznie, a kolczastym ogonem mógłby zmiażdżyć konia. Stanęliśmy z Leeshą jak wryci, ale czy Naznaczony w ogóle się zawahał? Nie! Parł naprzód, spokojny niczym w poranek Siódmego Dnia, patrząc bestii prosto w ślepiea...

Widok szeroko rozwartych oczu słuchaczy sprawiał mu ogromną satysfakcję. Zamarł, przez dłuższą chwilę budując napięcie, a potem niespodziewanie klasnął w dłonie i wykrzyknął: „Barn!”. Wszyscy aż podskoczyli.

– W tejże chwili zaszarżował rumak Naznaczonego! Czarny jak noc, złowieszczy jak demon, przebił otchłańca rogami na wylot!

– Jego koń miał rogi? – zapytał jakiś starzec, unosząc szarą brew, niemal tak gęstą jak ogon wiewiórki. Leżał na sienniku, wsparty na łokciu. Bandaże, którymi obwiązano kikut jego prawej nogi, nasiąkły już krwią.

– Och tak! – Rojer przyłożył palce do skroni, wywołując zduszone chichoty. – Miał wspaniałe rogi z błyszczącego metalu, przymocowane do uprzęży, naostrzone i wzmocnione runami! Tej nocy jawił się niczym najwspanialszy rumak, jakiego ludzkie oko kiedykolwiek oglądało! Jego kopyta uderzyły w plecy bestii niczym gromy! Przewrócił ją i przygniótł do ziemi, a my wbiegliśmy do kręgu, by wreszcie odetchnąć.

– A co się stało z koniem? – zapytało jakieś dziecko.

– Naznaczony zagwizdał – Rojer włożył palce do ust i gwizdnął przenikliwie – a jego rumak zagalopował, roztrącając otchłańce, przesadził barierę i wpadł w sam środek kręgu.

Wybił rytm kopyt na udach i podskoczył, by zobrazować swe słowa.

Chorzy zatracili się w opowieści. Mało kto pamiętał o chorobie czy nadchodzącej nocy, a Rojer wiedział, że wlewa w ich serca nadzieję. Nadzieję, że Leesha zdoła ich uleczyć, nadzieję, że Naznaczony zdoła ich obronić.

Żałował tylko, że nie potrafi odnaleźć nadziei dla siebie.

* * *

Leesha kazała dzieciom wyszorować wielkie kadzie, w których ojciec wytwarzał masę papierową. Chciała je wykorzystać do warzenia leków na większą skalę niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet zapasy Bruny wkrótce się skończyły, więc poprosiła Brianne o pomoc. Ta rozesała dzieciaki we wszystkie strony wsi w poszukiwaniu rozchodnika i innych ziół.

Wciąż umykała wzrokiem ku blaskowi słońca, który wpadał do warsztatu przez okno i pełził wolno po podłodze. Dzień dobiegał końca.

Tuż obok pracował Naznaczony. Oszczędnymi, precyzyjnymi ruchami nanosił runy na topory, kilofy, włócznie, strzały i kamienie do proc. Dzieci znosiły mu wszystko, co uchodziło we wsi za broń, a gdy tylko farba obeschła, wносиły wzmocniony oręż i układały na wozie.

Co chwilę ktoś wbiegał do warsztatu z wieścią dla Leeshy bądź Naznaczonego. Szybko przekazywali gońcom instrukcje i natychmiast wracali do pracy.

Gdy do zmroku zostało już tylko kilka godzin, wrócili na wozie do Świętego Domu. Padał rześysty deszcz. Na ich widok wieśniacy przerwali pracę i ruszyli wyładować leki. Kilku podeszło do Naznaczonego, chcąc i jemu pomóc, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by umykali ze zwieszonymi

głowami.

Leesha podała wojownikowi ciężki dzban.

– Turuń i werbena. Zmieszaj to z paszą trzech krów i dopilnuj, by wszystko zjadły.

Naznaczony ujął naczynie i skinął głową. Dziewczyna już zawróciła w kierunku Świętego Domu, gdy złapał ją za rękę.

– Weź to. – Podał jej jedną ze swych włóczni, wykonaną z jesionu i długą na pięć stóp. Na zaostrzonym przemyślnie ostrzu wyryto kilka runów wojennych. Wzdłuż gładkiego drzewca ciągnęły się rzędy symboli obronnych, aż po metalową nasadę wieńczącą tępy koniec broni. Nasadkę również wzmocniono runami.

Leesha przyjrzała się podarunkowi z powątpiewaniem.

– I co miałabym z tym zrobić? Jestem Ziela...

– To nie czas na recytowanie przysięgi. – Naznaczony wcisnął jej broń do ręki. – Bariera chroniąca twój prowizoryczny szpitalik jest rozpaczliwie słaba. Jeśli nie zatrzymamy naporu otchłańców, ta włócznia może być ostatnią zaporą między demonami a twymi podopiecznymi. Co w takich sytuacjach nakazuje przysięga Zielarki?

Leesha niechętnie chwyciła broń. Spojrzała wojownikowi w oczy w poszukiwaniu czegoś jeszcze, lecz znów otaczały je runy, które przesłaniały jego duszę. Zaprażyła odrzucić włócznię i objąć go z całej siły, ale nie zniosłaby kolejnej suchej reprimendy.

– Cóż... – przemogła się. – Powodzenia.

– Powodzenia. – Wojownik skinął głową i wrócił do wozu. Leesha odprowadziła go wzrokiem. Chciała krzyknąć.

* * *

Naznaczony wreszcie rozluźnił mięśnie. Odwrócenie się od dziewczyny kosztowało go mnóstwo wysiłku, musiał do tego celu zaprząć całą siłę woli, ale wiedział, że tak trzeba uczynić. Tej nocy każde z nich musiało się skupić tylko i wyłącznie na własnym zadaniu.

Odepchnąwszy uczucia, powrócił myślami do nadchodzącej bitwy. Krasjańska święta księga, Evejah, zawierała opisy podbojów Kajego, pierwszego Wybawiciela. Studiował je podczas nauki krasjańskiego.

Wojenna filozofia Kajego była w Krasji otoczona nimbem świętości i towarzyszyła wojownikom przez całe stulecia nocnych potyczek z otchłańcami. Istniały cztery boskie prawa, które rządziły przebiegiem bitwy: walcz pod jednym dowódcą o jeden cel; wydaj bitwę w miejscu i czasie dla siebie dogodnym; zaakceptuj to, na co nie masz wpływu, i przygotuj całą resztę; atakuj tak, by zaskoczyć wroga, odszukaj i wykorzystaj jego słabe punkty.

Krasjańskim wojownikom od urodzenia wpajano przekonanie, że jedyna droga do zbawienia wiedzie przez wojnę z *alagai*. Gdy Jardir wzywał ich, by wypadli zza bezpiecznych barier runicznych, wykonywali rozkazy bez wahania. Walczyli i umierali przeświadczeni, że służą Everamowi i zostaną wynagrodzeni w przyszłym życiu.

Naznaczony obawiał się, że mieszkańcy Zakątka zapomną o wspólnym celu i będą unikać walki, ale gdy patrzył, jak biegają tam i z powrotem, gotując się do starcia, pomyślał, że być może ich nie docenia. Nawet w Potoku Tibbeta każdy przybywał sąsiadowi na odsiecz. Tylko dzięki poczuciu wspólnoty odległe wsie jeszcze istniały i miały się dobrze, nawet pomimo braku murów obronnych z wielkimi runami. Gdyby utrzymał wieśniaków w kupie i zapobiegł panice, być może ruszyliby do walki jak

jeden mąż.

W przeciwnym razie nikt w Świątym Domu nie dożyje świtu.

Krasja nieugięcie stawiała opór otchłāncom nie tylko dzięki męstwu wojowników, ale również skrupulatnemu przestrzeganiu drugiego prawa – zawsze walczyli bowiem na własnym terenie. Krasjański Labirynt został starannie zaprojektowany, by chronić *dal'Sharum* i zwabiać demony do miejsc, gdzie ludzie mieli nad nimi przewagę.

Po jednej stronie Świątego Domu ciągnął się las, dwa inne skupiska drzew górowały nad zrujnowanymi domostwami i ulicami pełnymi pogorzeliisk. Otchłānce mogły tam znaleźć wiele kryjówek, ale za wybrukowanym placikiem przed głównym wejściem do świątyni znajdował się rynek. Właśnie w to miejsce musieli ściągnąć demony, by mieć szansę na zwycięstwo.

Oczyszczenie kamiennych ścian świątyni z tłustego popiołu i wymalowanie nowych runów w deszczu stanowiło trud ponad siły, tak więc okna i wejście zostały zabite deskami, na których runy pospiesznie nakreślono kredą. Obrońcy pozostawili jedynie wąskie wejście z boku, przed którym rozłożyli kilka kamieni runicznych. Demonom o wiele łatwiej byłoby przebić się do środka przez ścianę.

Sama aktywność ludzi pod nocnym niebem bez wątpienia mogła przyciągnąć uwagę otchłānców, ale Naznaczony dołożył wszelkich starań, by je odciągnąć od budowli i skłonić do ataku z przeciwnej strony placu. Pod jego kierunkiem wieśniacy ustawiali rozmaite przeszkody wokół świątyni i zatykali słupy runiczne, na które osobiście nanosił runy oszołomienia. Każdy demon, który przebiegnie obok nich z zamiarem zaatakowania Świątego Domu, natychmiast zapomni o celu, a wtedy niechybnie przyciągnie go zamieszanie na rynku.

Za placem stała zagroda, w której za dnia Opiekun trzymał bydło. Nie należała do największych, ale rozstawione wokół niej słupy runiczne zapewniały silną ochronę. Kilka zwierząt kręciło się przy ludziach wznoszących w jej wnętrzu prymitywne schronienie.

Po drugiej stronie placu wykopano rowy, które w okamgnieniu wypełniła deszczówka. Wedle założeń Naznaczonego miały one skłonić ogniste demony do wybrania łatwiejszej drogi natarcia. Na wodzie unosiła się gruba warstwa oleju Leeshy.

Wieśniacy dobrze się spisali podczas wprowadzania w życie trzeciego prawa Kajego – przygotowań. Dzięki nieustającej ulewie na rynku było ślisko, a twardą, ubitą ziemię pokrywała cienka warstewka błota. Idąc za wskazówkami Naznaczonego, na polu bitwy rozmieszczono przenośne kręgi, które miały stanowić zarówno punkty wypadowe, jak i miejsca schronienia. Wykopano też głęboki dół, który został zamaskowany ubłoconym płótnem. W międzyczasie wieśniacy pochwycili za miotły i smarowali kocie łby tłuszczem.

Czwarte prawo – atakuj tak, by zaskoczyć – miało wejść w życie samo z siebie. Przecież wróg nie spodziewał się oporu.

Gdy Naznaczony obchodził pole bitwy, podbiegł do niego jakiś człowiek.

– Zrobiłem wszystko, o co mnie prosiliście, panie – powiedział. – Nazywam się Benn – dodał po chwili na widok zaskoczenia malującego się na twarzy wojownika. – Jestem mężem Mairy. Wydmuchuję szkło.

Naznaczony kiwnął głową.

– Dobrze. A zatem pokaż.

Benn wyciągnął niewielką szklaną butelkę.

– Z cienkiego szkła, jak kazaliście. Jest bardzo kruche.

Wojownik znów skinął, tym razem z aprobatą.

– Ile dacie radę zrobić?

– Trzy tuziny. Mogę wiedzieć, do czego są potrzebne?

– Niebawem sam się przekonasz. Przynieś je, gdy będą gotowe. Znajdź też jakieś szmaty.

Chwilę później pojawił się Rojer.

– Widziałem, że Leesha dostała włócznię. Przyszedłem po moją.

– Ty nie będziesz walczył. Zostaniesz z chorymi.

Chłopak wybałuszył oczy.

– Ale powiedziałeś Leeshy...

– Gdybym dał ci włócznię, wytrąciłbym ci z rąk twą prawdziwą broń.

Zgiełk starcia zagłuszy muzykę, która wewnątrz świątyni okaże się potężniejsza niż tuzin włóczni. Jeśli otchłańce przedrą się do środka, powstrzymasz je do chwili mojego powrotu.

Spochmurniały Minstrel ruszył powolnym krokiem do Świętego Domu.

Tymczasem Naznaczonego otoczyli kolejni ludzie domagający się jego uwagi. Słuchał meldunków i przydzielał nowe zadania, a chłopci bezzwłocznie przystępowali do ich wykonania. Poruszali się żwawo, lecz przygarbieni, jak zające gotowe do ucieczki.

Ledwie ich wszystkich odprawił, podeszła do niego Stefny, a za nią grupa rozzłoszczonych kobiet.

– Dlaczego odsyłacie nas do chaty Bruny? – zapytała.

– Chroniące ją runy nadal są silne. Nie ma dla was miejsca w świątyni ani w rodzinnym domu Leeshy.

– Nie interesuje nas to. Chcemy walczyć.

Wojownik przyjrzał się kobiecie uważniej. Mierzyła ledwie pięć stóp i była chuda jak szczapa, a jej wątłe ciało okrywała cienka, szorstka skóra.

Przeżyła już bez mała pięćdziesiąt wiosen. Nawet najmniejszy demon drzew przytłoczyłby ją swym ogromem.

Lecz blask w jej oczach zdradzał, że nie miało to wielkiego znaczenia. Naznaczony zdawał sobie sprawę, że ta kobieta weźmie udział w bitwie bez względu na to, co jej teraz powie. Krasjanie zamykali kobiety w domach, ale nie miał zamiaru powtarzać ich błędu. Nie odprawi nikogo, kto tej nocy zechce dołączyć do walczących. Zdjął z wozu włócznie i wręczył ją Stefny.

– Znajdziemy wam jakieś stanowisko do obrony – obiecał.

Stefny spodziewała się kłótni i decyzja wojownika zupełnie zbiła ją z tropu. Mimo to przyjęła broń, kiwnęła głową i odeszła na bok. Pozostałe kobiety podchodziły do wozu jedna po drugiej, by odebrać oręż.

Widząc, że Naznaczony rozdaje broń, zbliżyli się również mężczyźni. Chwyтали za topory, przyglądając się z powątpiewaniem świeżo wymalowanym runom. Przecież nie można było przebić pancerza drzewnego demona ciosem topora.

– Nie wezmę tego – zaproponował Gared, oddając włócznie. – Z patykiem biegać nie będę. Wiem za to aż nazbyt dobrze, jak machać moją siekierą.

Któryś z drwali przyprowadził dziewczynkę liczącą najwyżej trzynaście lat.

– Nazywam się Flinn, panie. Moja córka Wonda chodzi czasem ze mną na polowania. Nie chcę, żeby biegała nocą po wsi, ale jak dacie jej łuk i miejsce za dobrymi runami, pokaże wam, jak się strzela.

Wojownik spojrzał na dziewczynkę. Wysoka i krępa, bez wątpienia odziedziczyła posturę po ojcu. Podszedł do Nocnego Tancerza i odtroczył cisowy łuk oraz kołczan ze strzałami.

– Nie przydadzą mi się dziś na wiele – powiedział. Wskazał okno w poddaszu Świętego Domu. – Wejdz na górę i zobacz, czy uda ci się wyrwać wystarczająco dużo desek, by móc stamtąd strzelać.

Wonda ujęła łuk i pobiegła w stronę świątyni. Jej ojciec uklonił się i odszedł, a wtedy Naznaczony zobaczył utykającego Opiekuna Jonasa.

– Powinieneś być w środku – rzucił. Zawsze czuł się nieswojo w towarzystwie Świętych Mężów. – Jeśli nie jesteś w stanie nosić ciężarów ani kopać, tylko tu zawadzasz.

Opiekun pokiwał głową.

– Chciałem jedynie rzucić okiem na przygotowania.

– Powinny wystarczyć – odparł wojownik pewnym głosem, choć w głębi duszy dręczyło go wiele wątpliwości.

– I wystarczą. Stwórca nie porzuci tych, którzy schronili się w Jego domu. To dlatego przysłał nam ciebie.

– Nie jestem Wybawicielem, Opiekunie. Nikt mnie nie przysłał, jeśli zaś chodzi o dzisiejszą noc, to niczego nie możemy być pewni.

Jonas rozciągnął usta w pobłażliwym uśmiechu, jakim dorośli zwykli reagować na głupotę dzieci.

– A zatem fakt, że pojawiłeś się w chwili największej potrzeby, stanowi li tylko zbieg okoliczności? Nie mnie ustalać, czy jesteś Wybawicielem, czy nie, ale znalazłeś się tutaj, podobnie jak my wszyscy, ponieważ tego chciał Stwórca, a On niczego nie czyni bez powodu.

– A miał jakiś powód, by zesłać na wieś chorobę?

– Nie będę udawał, że potrafię przejrzeć Jego zamysły – odparł ze spokojem Jonas. – Wierzę jednakże w ich słuszność. Pewnego dnia spojrzymy w przeszłość i nie będziemy mogli się nadziwić, jak to możliwe, że ich nie rozumieliśmy.

* * *

Gdy Leesha wkroczyła do Świętego Domu, skrajnie wyczerpana Darsy kuciała przy posłaniu Viki, usiłując ostudzić jej rozpalone czoło mokrym ręcznikiem. Zielarka bez chwili wahania podeszła do położnej i wyrwała jej ręcznik z dłoni.

– Idź się przespać – przykazała. – Słońce niebawem zajdzie, a wtedy będziemy potrzebować wszelkiej pomocy. Idź. Odpoczywaj, póki to jeszcze możliwe.

Darsy pokręciła głową.

– Odpocznę, gdy wreszcie porwą mnie demony. Do tego czasu zamierzam pracować.

Leesha po chwili zastanowienia skinęła głową. Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła zwitek nawoskowanego papieru, w którym znajdowała się grudka ciemnej substancji.

– Zaczynij to żuć. Jutro poczujesz się, jakbyś naprawdę wróciła z Otchłani, ale przez całą noc nie zmrużysz oka.

Kobieta posłusznie włożyła specyfik do ust, podczas gdy Leesha pochyliła się nad Viką. Zdjęła z ramienia bukłaczek i wyciągnęła korek.

– Podnieś ją odrobinę – poprosiła.

Darsy podparła Vikę, by Zielarka mogła wlać w jej usta eliksir. Chora zakaszlała, ale gdy Darsy pomasowała jej gardło, przełknęła całą dawkę.

Leesha wstała, próbując objąć wzrokiem niekończące się rzędy posłań. Poradziła sobie z najcięższymi przypadkami, nim odjechała do chaty Bruny, ale wciąż musiała opatrzyć wiele poparzeń, nastawić niejedną kość i zaszyć mnóstwo ran, nie mówiąc o wlaniu lekarstw w usta dziesiątek

nieprzytomnych ludzi.

Sądziła, że z czasem zdoła przegnać chorobę ze wsi. Być może kilku z tych, których choroba dotknęła najciężej, po kres życia nie odzyska pełni sił lub nawet umrze, ale większość z jej dzieci z pewnością wyzdrowieje.

O ile przetrwają tę noc.

Zwołała ochotników, którzy zaproponowali jej pomoc, rozdała lekarstwa i zaczęła objaśniać, czego należy się spodziewać i co trzeba będzie robić, gdy zaczną napływać ranni.

* * *

Rojer patrzył, jak Leesha i pozostali przystępują do pracy. Stroił skrzypki, czując się jak tchórz. W głębi serca wiedział, że Naznaczony ma rację. Wiedział, że powinien mierzyć siły na zamiary, jak zwykł mawiać Arrick, ale nie podniosło go to na duchu. Musiał siedzieć za murami, podczas gdy inni szykowali się do bitwy.

Jeszcze nie tak dawno temu sama myśl o odłożeniu skrzypek i pochwyceniu za jakiegokolwiek narzędzie wydawała mu się odpychająca. Teraz miał już dosyć uciekania, kiedy bliscy mu ludzie walczyli i ginęli.

Jeśli tylko ujrzy światło brzasku, ułoży opowieść o tytule „Bitwa o Zakątek Drwali”. Opowieść, która przeżyje jego wnuki. Ale gdzie znajdzie w niej miejsce dla siebie? Granie na skrzypkach w bezpiecznym miejscu nie było czynem, który zasługiwałby na balladę, ani nawet na marny wers.

Bitwa o Zakątek Drwali

332 RP

Na samym przedzie stali drwale. Ścinając drzewa i nosząc kłody, dorobili się potężnych mięśni i szerokich barków, ale niektórzy, jak Yon Szary, najlepsze lata mieli już za sobą, a inni, jak Linder, syn Rena, nie zdążyli jeszcze nabrać pełnej krzepy. Stali w jednym z przenośnych kręgów, zaciskając dłonie na mokrych od potu drzewcach toporów. Nad nimi ciemniało niebo.

Za drwalami, na samym środku rynku, leżały trzy najtłustsze krowy Zakątka. Objadłszy się paszą nasączoną wywarem Leeshy, spały teraz w najlepsze.

Zaraz za zwierzętami ustawiono najszerszy krąg. Zgromadzeni w nim ludzie nie dorównywali drwalom siłą, ale za to było ich więcej. Prawie połowę stanowiły kobiety i dziewczyny, niektóre z nich ledwie piętnastoletnie. Stały z ponurymi, zaciętymi minami obok mężów, ojców, braci i synów. Merrem, barczysta małżonka rzeźnika Duga, dzierżyła wzmocniony runami tasak i sprawiała wrażenie gotowej użyć go w każdej chwili.

Dalej ciągnęła się zamaskowana płótnem jama, a za nią, dokładnie przed wrotami Świętego Domu, leżał trzeci przenośny krąg. Broniła go uzbrojona we włócznię Stefny, a wraz z nią wszyscy zbyt starzy lub słabi, by biegać po zabłoconym rynku.

Każdy z tych ludzi otrzymał broń opatrzoną znakami, a niektórzy, ci o najmniejszym zasięgu ramion, dzierżyli również puklerze wykonane ze spodów beczek, na których wymalowano runy zakazu. Naznaczony zrobił tylko jedną tarczę tego typu, ale wieśniacy skrupulatnie przerysowali run na pozostałe.

Na skraju zagrody, za słupami runicznymi, kryła się artyleria Zakątka – grupka wyrostków zbrojna w łuki i proce. Kilku towarzyszących im dorosłych otrzymało po jednym z cennych piorunowych patyków lub po flaszeczce Benna, które zaczopowano namoczonymi szmatkami. Najmłodszy trzymali osłonięte przed deszczem latarnie, by oświetlać cele. Ci, którzy nie chcieli walczyć, przebywali ze zwierzętami w rozstawionym wewnątrz zagrody szałasie, gdzie schowano również świąteczne fajerwerki Bruny, by je zabezpieczyć przed zamknięciem.

Takich jak Ande, którzy od początku nie chcieli walczyć, zebrała się spora grupka. Odprowadzeni pogardliwymi spojrzeniami reszty mieszkańców, skryli się w zagrodzie, ale gdy Naznaczony dosiadł Nocnego Tancerza i objeżdżał rynek, dostrzegł, że wielu innych spogląda ku azyłowi z tęsknotą i strachem w oczach.

Otchłańce powstawały przy akompaniamencie głośnych wrzasków. Wielu wieśniaków cofnęło się o krok, natychmiast tracąc zapal do walki. Wojownik zrozumiał, że przerażenie może pokonać niewielką armię Zakątka jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Garść wskazówek, którą zdołał im przekazać, wydawała się teraz niczym w porównaniu z pielęgnowanym

przez całe życie strachem.

Zauważył, że spodnie Benna były mokre bynajmniej nie od deszczu, a nogawki przylgnęły do drżących ud. Zeskoczył z konia i stanął przed szklarzem.

– Dlaczego tu przyszedłeś, Benn? – zapytał na tyle głośno, by pozostali go usłyszeli.

– M-m-moje córki – wyjąkał mężczyzna, zezując w kierunku świątyni. Jego dłonie trzęsły się tak bardzo, jakby trzymana w nich włócznia miała zaraz wypaść na ziemię.

Naznaczony pokiwał głową. Większość mieszkańców Zakątka wyszła na rynek, by bronić bliskich, którzy leżeli bez sił w Świętym Domu. Gdyby nie oni, wszyscy pognaliby do zagrody. Gestem wskazał unoszące się nad placem smugi mgły, które formowały ciała potworów.

– Boisz się ich? – zapytał jeszcze głośniej.

– T-t-tak! – wyjąkał Benn. Łzy mieszały się na jego policzkach z kroplami deszczu. Wojownik zerknął szklarzowi przez ramię i dostrzegł, że inni potakują.

Wtedy ściągnął szaty. Na widok runów pokrywających każdy cal jego ciała podniósł się szmer zdumienia.

– No to patrz – powiedział do Benna, choć kierował słowa do wszystkich.

Wyszedł z kręgu i ruszył w kierunku mierzącego siedem stóp drzewnego demona, który właśnie kończył przyjmować materialną postać. Obejrzał się, usiłując ogarnąć wzrokiem możliwie największą liczbę wieśniaków, a gdy zdobył pewność, że przyglądają mu się w napięciu, wykrzyknął:

– Patrzcie, co was przeraża!

Odwrócił się gwałtownie i uderzył otchłańca wnętrzem dłoni w szczękę, odrzucając go w rozbłysku magii. Demon zawył z bólu, ale natychmiast poderwał się na nogi i uniósł ogon, gotowy do natarcia. Wieśniacy zadrżeli, przekonani, że ich dowódca zaraz postrada życie.

Drzewny demon skoczył do ataku, ale wtedy wojownik strząsnął sandał i wymierzył kopniaka z półobrotu. Znaczona runami pięta uderzyła w pancerz chroniący klatkę piersiową przeciwnika z hukiem przypominającym grzmot pioruna. Otchłaniec odtoczył się w kłębach buchającego z piersi dymu.

Raptem dołączył do niego mniejszy pobratymiec, czający się od kilku chwil na zdobycz, ale Naznaczony pochwycił go za łapy, wykręcił je, by znaleźć się za plecami napastnika, i wbił kciuki w jego ślepia. Zaskwierzało, a potwór odskoczył, drapiąc pysk.

Nie zważając na oślepionego demona, wojownik przeniósł uwagę na pierwszego przeciwnika. Stał nieruchomo, gdy ten sadył ku niemu długimi susami, w ostatniej chwili uskoczył i wykorzystując pęd otchłańca przeciwko niemu, błyskawicznie zarzucił mu ręce za szyję. Zacisnął ramię, ignorując daremne próby wyrwania się z potrzasku. Czekał, aż magia przybierze na sile, aż w końcu eksplozja rozsadziła bestii czaszkę. Bezgłowe truchło upadło w błoto.

Pozostałe demony zachowywały bezpieczną odległość. Syczały wściekle, bacznie obserwując człowieka w poszukiwaniu oznak słabości. Wojownik zaryczał, a stojące najbliżej otchłańce natychmiast uskoczyły.

– To nie ty powinieneś się ich bać, Bennie szklarzu! – huknął. Wiatr niósł daleko jego donośny głos. – To one powinny bać się ciebie!

Nikt z zebranych nie odezwał się słowem, za to wielu padło na kolana, kreśląc w powietrzu runy. Naznaczony podszedł zaś do Benna, który

wreszcie przestał drżeć.

– Pamiętaj o tym – powiedział, ścierając błoto z ciała połą jego szaty. – Pamiętaj, gdy następnym razem pochwyci cię strach.

– Wybawiciel – szepnął Benn, a inni powtórzyli.

Wojownik potrząsnął energicznie głową, aż krople deszczu przysły naokoło.

– Nie, to ty jesteś Wybawicielem! – Szturchnął szklarza w pierś.

Złapał za odzienie klęczącego obok człowieka i podniósł go jednym szarpnięciem.

– I ty też! Wszyscy jesteście Wybawicielami! – krzyczał, obejmując gestem zgromadzonych na placu mężczyzn. – Jeśli otchłańce boją się Wybawiciela, rzućmy przeciwko nim całą ich setkę!

Uniósł zaciśniętą pięść, a chłopcy ryknęli z entuzjazmem.

Obserwujące ten spektakl otchłańce wołały trzymać się chwilowo z daleka. Biegały w ciemnościach, głucho zawodząc, lecz wkrótce zaczęły zwalniać, aż znieruchomiały. Jeden po drugim kucaly z napiętymi mięśniami. Naznaczony spojrział na lewą flankę, świdrując mrok okolonymi runami oczyma. Ogniste demony unikały napełnionych wodą rowów, ale nadchodziły tamtędy demony drzew, dla których woda nie stanowiła przeszkody.

– Podpalać! – zawołał, wskazując rów.

Benn potarł ognistym patyczkiem o kciuk, osłonił płomyk przed wiatrem i deszczem, a następnie zbliżył go do fajerwerku. Gdy tylko lont zaskwierczał i strzelił iskrami, szklarz rzucił fajerwerkiem w kierunku rowu.

Lont spłonął w momencie, gdy pocisk znalazł się w najwyższym punkcie lotu. Z jego końca wystrzelił słup ognia. Papierowa tubka obracała

się szybko, siejąc naokoło iskrami, aż w końcu dotarła do rowu z deszczówką i wylaną nań warstwą oleju.

Drzewne demony wrzasnęły, gdy sięgająca im kolan woda buchnęła ogniem. Rzuciły się do ucieczki, próbując ugasić płomienie, ale w ten sposób jedynie rozbryzgiwały olej i podsycaly pożary.

Tymczasem ogniste demony zawyły z uciechy. Jeden po drugim wskakiwały w płomienie, zapominając, że pod nimi znajduje się deszczówka. Naznaczony rozciągnął usta w uśmiechu, gdy usłyszał ich wrzaski. Wierzały odnóżami, rozchlapując wrzącą wodę.

Płomienie zalały rynek migotliwym światłem, a wtedy zgromadzeni na przedzie drwale jęknęli ze zgrozy na widok nacierającego wroga. Wysoko nad nimi powietrze przecinały wichrowe demony, zwinne nawet pomimo deszczu i wiatru. Do przodu wyrwały kolejne demony ognia o ślepiach i paszczach mieniących się czerwienią, widać też było kontury skalnych demonów, które nadchodziły z flank.

Wśród nich kroczyły zaś demony drzew. Tak wiele demonów drzew...

– Coś mi mówi, że drzewa szukają zemsty na topornikach – wymamrotał oszołomiony Yon Szary, a inni mężczyźni przytakiwali.

– Nie widziałem jeszcze drzewa, którego nie dałbym rady zrębać! – warknął Gared, zaciskając palce na drzewcu topora. Przechwałka nie przeszła bez echa, drwale wyprostowali się i unieśli broń.

Nie przyszło im długo czekać na atak. Otchłańce jeden pod drugim, z wyszczerzonymi kłami i wyciągniętymi szponami, skakały w kierunku zbiorowiska ludzi. Runy kręgu odrzucały je w tył, a drwale unieśli siekiery, gotując się do kontrataku.

– Stać! – wykrzyknął Naznaczony. – Pamiętajcie o planie!

Mężczyźni opamiętali się i pozwolili demonom na kolejne natarcia.

Przypuszczały atak za atakiem, ale runy trzymały mocno. Zniechęcone, miały się wokół kręgu, szukając słabego ogniwa. Co chwila dołączały do nich kolejne bestie i wkrótce tłum potworów o korowatej skórze przesłonił drwalom widok.

Krowy jako pierwszy dostrzegł ognisty demon nie większy od małego kota. Z dzikim wrzaskiem wskoczył na grzbiet jednego ze zwierząt i zatopił w nim pazury. Krowa przebudziła się i zaryczała z bólu, a mały otchłaniec wydarł z jej ciała kawałek skóry.

Ryki zwierzęcia sprawiły, że pozostałe demony natychmiast zapomniały o ludziach. Dopadały do bydła ze wszystkich stron, aż krew i strzępy mięsa bryzgnęły na boki. Strumienie posoki zmieszanej z deszczem spływały po placu. Nawet jakiś wichrowy demon obniżył lot, by oderwać kawał mięsa, nim wzbił się na nowo w górę.

Zwierzęta zostały pożarte w kilka sekund, ale żaden z otchłanców nie wydawał się nasycony. Ponownie natarły na krąg, a w powietrze strzeliły snopy iskier.

– Czekajcie! – zawołał raz jeszcze Naznaczony, gdy ludzie dookoła niego napięli mięśnie. Cofnął włócznię, przyglądając się demonom w napięciu. Czekał.

Któryś z demonów potknął się i stracił równowagę.

– Teraz! – ryknął wojownik. Wskoczył z kręgu, przebijając otchłancowi czaszkę.

Mieszkańcy Zakątka Drwali wydali z siebie dziki, pierwotny wrzask i rzucili się na upojone narkotykiem demony, tnąc i kłując ze wszystkich sił. Potwory zawyły, ale dzięki eliksirowi Leeshy reagowały opieszale. Zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami chłopci działali w niewielkich grupkach – podczas gdy jedna osoba zwracała na siebie uwagę potwora,

inna dźgała go w plecy. Runy na broni zaczęły się jarzyć i tym razem w powietrze wystrzeliła czarna posoka otchłańców.

Merrem czysto odcięła drzewnemu demonowi rękę, a jej mąż Dug wbił rzeźnicki nóż pod jego pachę. Wichrowy demon, który oderwał strzęp zatrutego mięsa, runął na plac, a wtedy przypadł do niego Benn. Szklarz nadział go na włócznię i przekręcił ją brutalnie, gdy rozgrzane runiczne ostrze przebiło twardą skórę.

Szpony potworów nie potrafiły pokonać symboli wymalowanych na drewnianych tarczach i gdy wieśniacy uzmysłowili sobie ten fakt, nabrali jeszcze większej pewności siebie. Zaatakowali oszołomione demony ze zdwojoną siłą.

Lecz nie wszystkie bestie skosztowały zatrutego mięsa. Te oddalone najbardziej napierały teraz, by jak najszybciej dostać się w pobliże walczących. Naznaczony odczekał, aż przewaga osiągnięta dzięki zaskoczeniu zaczęła maleć, a wtedy zawołał:

– Artyleria!

Dzieciaki w zagrodzie odpowiedziały zgodnym chórem. W okamgnieniu flaszki znalazły się w ich procach i pomknęły w sam środek zajadłej hordy stłoczonej przed kręgiem drwali. Cienkie szkło roztrzaskiwało się w zetknięciu z korowatą skórą drzewnych demonów, zalewając ich ciała gęstym płynem, który nie ściekał nawet pomimo deszczu. Otchłańce ryczały dziko, ale nie mogły przebić bariery ze słupów runicznych.

Miotaly się bezsilnie, podczas gdy dzieci z latarenkami biegały między strzelcami. Przytykały płomienie do owiniętych w szmaty grotów strzał, które zawczasu zamoczono w smole, i do lontów fajerwerków ze świątecznego zapasu Bruny. Strzelcy nie oddali salwy jednocześnie, jak im

przykazał Naznaczony, ale nie miało to większego znaczenia. Już pierwsza strzała wywołała eksplozję na plecach drzewnego demona, który wrzasnął przeraźliwie i wpadł na pobratymca, przenosząc na niego ogień. Do deszczu strzał dołączyły fajerwerki. Niektóre bestie rzuciły się do ucieczki, przerażone rozbłyskami i hałasem, inne stanęły w płomieniach. Raptem na polu bitwy rozjaśniało jak w dzień.

Jeden z fajerwerków wpadł do płytkiego rowu biegnącego przez całą szerokość rynku. Iskry natychmiast podpaliły wypełniający go płynny ogień, który objął kilka drzewnych demonów, a pozostałe odciął od ich pobratymców.

Tymczasem między kręgami, z dala od ściany ognia, nadal trwała zacięta bitwa. Zatrute demony szybko padały pod ciosami wieśniaków, lecz pozostałe bynajmniej nie czuły lęku przed uzbrojonymi ludźmi. Utworzone przez Naznaczonego zespoły zaczęły się rozpadać. Niektórzy chłopcy cofali się, znów zdjęci przerażeniem, tworząc luki, dzięki którym otchłańce przełamywały szyk armii przeciwnika.

– Drwale! – ryknął wojownik, nabiwszy ognistego demona na włócznię.

Nie musząc się dłużej martwić o zaplecze, Gared i jego towarzysze ryknęli głośno, wyskakując z kręgu, by spaść na otchłańce atakujące oddział Naznaczonego. Skóra drzewnego demona była gruba i sękata niczym kora starego drzewa, lecz przecież drwale przywykli do ścinania nawet tych najgrubszych, a znaki wymalowane na toporach wysysały magię, która wzmacniała pancerze przeciwników.

Gared jako pierwszy odczuł szok, gdy runy obróciły magię demonów przeciwko nim samym. Wstrząs przemknął od drzewca topora do ramion, które aż zawibrowały. Na ułamek sekundy ciało drwala przepelniła

ekstaza. Gared zamachnął się raz jeszcze, ścinając potworowi łeb, a potem zawył i doskoczył do następnego.

Atakowane z dwóch stron demony ginęły jeden po drugim. Całe stulecia dominacji nauczyły je, że ludzi, nawet jeśli podejmowali walkę, nie należy się obawiać, więc były zupełnie nieprzygotowane na tak zaciekły opór. Usadowiona na poddaszu Świętego Domu Wonda słała strzałę za strzałą z oszalamiającą precyzją. Każdy runiczny pocisk wbijał się w ciało kolejnego demona niczym grom z jasnego nieba.

Ale w powietrzu nadal wisiał ostry zapach krwi, a wrzaski bólu niosły się na wiele mil. Z oddali dobiegało posępne wycie. Posiłki otchłańców nadchodziły, podczas gdy ludzie nie mieli już żadnych.

Nie czekali zresztą długo, nim potwory otrząsnęły się z szoku. Mało kto miał szansę wyjść cało z potyczki twarzą w twarz z drzewnym demonem, nawet pozbawionym twardego pancerza. Ludzie pokroju Gareda ledwo dorównywali siłą najmniejszym z przeciwników.

Merrem natarła na ognistego demona rozmiarów dużego psa. Ostrze jej tasaka poczerniało od zakrzepłej posoki. W obronnym geście uniosła puklerz, trzymając broń w pogotowiu.

Otchłaniec plunął. Wymalowane na tarczy runy nie chroniły przed ogniem i Merrem wrzasnęła, gdy płomień objęły jej ramię. Padła w błoto, a demon natychmiast zaszarżował. Drogę zastąpił mu Dug. Zwalisty rzeźnik wypatroszył bestię niczym kurczaka, ale krew, która trysnęła na jego skórzany fartuch, podpaliła go w jednej chwili.

Evin zamachnął się toporem na któregoś z drzewnych demonów, potwór zdążył jednak przykucnąć i przemknął na czworakach za plecy przeciwnika. Błyskawicznie poderwał się i przewrócił go na ziemię. Mężczyzna krzyknął na widok rozwartej paszczy potwora, lecz w tej samej

chwili rozległo się głośnie szczekanie. Demon padł na ziemię, zbity z nóg przez ogromne ogary Evina. Drwał skoczył na równe nogi i zdzielił go siekierą. Spóźnił się o ułamek sekundy – wypatroszony pies odtoczył się w błoto. Evin zaryczał z wściekłości i raz jeszcze spuścił topór na głowę otchłańca, a potem odwrócił się w poszukiwaniu kolejnego. Jego oczy płonęły wściekłością.

Chwilę później wypalił się demoniczny ogień w rowie i uwieszone dotąd drzewne demony ruszyły do natarcia.

– Piorunowe patyczki! – wrzasnął Naznaczony. Kopyta Nocnego Tancerza przygniotły obalonego demona skał.

Najstarsi ze strzelców wydobyli część cennych pocisków. Był ich niecały tuzin, gdyż Bruna wytwarzała je niechętnie, bojąc się, że zostaną wykorzystane w niewłaściwym celu.

Lonty zapłonęły i patyki poszybowały w kierunku nadchodzących otchłańców. Wszystkie oprócz jednego – nieuważny wieśniak upuścił mokry od deszczu patyk w błoto. Pochylił się, by go podnieść, ale nie zdążył. Wybuch rozerwał na kawałki zarówno jego, jak i dziecko z latarnią, sięgnął też kilku stojących najbliżej miotaczy i cisnął nimi w błoto.

Któryś z patyków eksplodował między dwoma drzewnymi demonami, posyłając je na ziemię. Jeden, ogarnięty płomieniami, już się nie podniósł, ale drugi, ugasiwszy ogień, wsparł się na łapie, by powstać. Przepelniająca go magia szybko leczyła rany.

Inny pocisk leciał prosto na mierzącego dziewięć stóp demona skał. Potwór złapał go w locie i przyjrzał mu się w zaciekawieniu. W tym samym momencie patyk eksplodował.

Gdy wiatr rozwiął kłęby dymu, okazało się, że otchłaniec nie odniósł

żadnych obrażeń i nadal zmierza w kierunku wieśniaków. Wonda wbiła w niego trzy strzały, lecz potwór jedynie zawył z bólu. Parł dalej, dodatkowo rozjuszony.

Na spotkanie ruszył mu Gared. Przypadł do demona jako pierwszy z obrońców, odpowiadając rykiem na jego przenikliwe zawodzenie. Zwalisty drwal uniknął ciosu, przemknął pod ramieniem przeciwnika i wbił mu topór w mostek, rozkoszując się mrowieniem magii w ramionach. Otchłaniec padł na ziemię, a Gared musiał stanąć na trupie, by wyrwać broń.

Z lotu nurkowego zaatakował demon wichru. Jego zakrzywione pazury rozdarły ciało Flinna niemalże na pół. Wonda krzyknęła z rozpaczą i zabiła otchłanica jedną strzałą, ale czasu cofnąć w ten sposób nie zdołała. Jej ojciec osunął się w błoto.

Zamaszysty cios drzewnego demona oderwał Renowi głowę i posłał ją daleko w ciemność. Siekiera mężczyzny wpadła w kałużę. W tej samej chwili jego syn Linder odrąbał napastnikowi rękę, która odebrała mu ojca.

Walczący na prawej flance zagrody Yon Szary został muśnięty przez któregoś z otchłanów, ale to wystarczyło, by staruszek upadł. Demon skoczył na niego, lecz wtedy Ande wydał z siebie zdławiony krzyk, wyskoczył z chronionej zagrody i porwał topór Rena. Celnym machnięciem zatopił go w plecach bestii.

Inni wybiegli w ślad za nim. Nie pamiętali już o strachu, bez wahania porzucali zagrodę, by unieść broń i dołączyć do walki lub odciągnąć rannych w bezpieczne miejsce. Keet wcisnął szmatę do ostatniej buteleczki z demonicznym ogniem, podpalił ją i rzucił pociskiem w pysk drzewnego demona, osłaniając siostry ciągnące rannego. Skóra otchłanica zapłonęła. Keet wzniósł okrzyk triumfu, ale wtedy pojawił się ognisty demon.

Zatańczył na płonących zwłokach, popiskując z uciechy. Chłopak zbyt późno rzucił się do ucieczki – napastnik wskoczył mu na plecy i powalił na ziemię.

Naznaczony starał się być wszędzie jednocześnie. Szalał po polu bitwy, zabijając demony włócznią, a niekiedy gołymi rękami i nogami. Nocny Tancerz trzymał się blisko niego, siejąc spustoszenie kopytami i rogami. Wpadali we dwójkę w największe zgrupowania przeciwników, gromili ich, a niedobitki zostawiali dla pozostałych walczących. Wojownik nie był w stanie zliczyć, ile razy powstrzymał demona przed zadaniem śmiertelnego ciosu i pomógł tym samym niedoszłej ofierze zerwać się na nogi i powrócić do walki.

W zamieszaniu bitewnym zgraja otchłańców minęła drugi krąg i wpadła w przygotowaną zawczasu pułapkę. Płótno maskujące dół zapadło się pod ich ciężarem i potwory zleciały prosto na zaostrome paliki z wrytymi runami. Większość zadygotała w konwulsjach, porażona śmiertelną magią, ale jeden zdołał wypełznąć na zewnątrz. Topór odciął mu łeb, ledwie go wystawił poza krawędź dołu.

Kolejna fala otchłańców ominęła pułapkę. Zaraz potem podniosły się krzyki. Naznaczony spojrział w kierunku, z którego dochodziły – demony wywęszyły obecność chorych i słabych w Świętym Domu, a zapach ten obudził w nich szaleństwo. Napierały zaciekle, by się dostać do środka i rozpocząć rzeź. Tymczasem runy wyrysowane kredą na ścianach zostały zmyte przez nieustającą ulewę.

Gęsty tłuszcz, którym wysmarowano kocie łby, spowalniał ich natarcie. Kilka otchłańców przewróciło się na ogony, inne wpadły na runy trzeciego kręgu, ale większość wciąż parła naprzód, wbijając głębiej pazury, by utrzymać równowagę.

Kobiety strzegące wrót powitały napastników ciosami włóczni. Dźgały zajadle, skryte za barierą runiczną, i przez długą chwilę utrzymywały pozycję. W pewnym momencie Stefny pchnęła jednak zbyt mocno. Ostrze utkwilo w sękatym pancerzu demona, a gdy próbowała je wyrwać, demon wyszarpnął ją na zewnątrz. Wylatując z kręgu, zahaczyła stopą o linę i naruszyła położenie płytek. W jednej chwili bariera przestała działać.

Naznaczony gnał ile sił w nogach i jednym susem przesadził szeroką na dwanaście stóp jamę, ale nawet on nie mógł zdążyć na czas. Gdy wpadł w tłum atakujących otchłańców, ciała masakrowanych kobiet wylatywały już w powietrze, ciągnąc za sobą strugi krwi.

Chwilę później dobił ostatniego demona. Ciężko dyszał, a obok stało kilka ocalałych kobiet oraz, co zaskoczyło go najbardziej, Stefny. Przywódczyni była ochlapana demonią posoką, ale wydawało się, że nie odniosła większych obrażeń. W jej oczach lśniła zaciekłość.

Znienacka zaszarżował na nich demon drzew. Błyskawicznie utworzyli szyk, by zatrzymać atak, ale bestia w odpowiednim momencie wybiła się w powietrze i wylądowała na ścianie świątyni. Pazurzaste łapy bez trudu znalazły oparcie między kamieniami i demon pomknął w górę, nim Naznaczony zdążył złapać go za ogon.

– Uważaj! – krzyknął do Wondy, ale dziewczyna, zanadto pochłonięta celowaniem, nie zareagowała w porę. Otchłaniec pochwycił ją w szpony i cisnął za siebie, jakby była tylko irytującą przeszkodą. Wojownik wypadł z kręgu. Poślizgnął się, przejechał na kolanach po natłuszczonych kocich łbach, ale zdołał pochwycić jej zakrwawione ciało, nim uderzyło w ziemię. W międzyczasie demon wcisnął się przez otwarte okno do Świętego Domu.

Naznaczony popędził w kierunku bocznego wejścia. Ledwie jednak

skreślił za róg, drogę zastąpił mu tuzin znieruchomiałych otchłańców, które padły ofiarą runów oszołomienia. Ryknął ochryple i wskoczył w sam środek watahy, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie zdąży do środka na czas.

* * *

Kamienne ściany Świętego Domu odbijały echo wrzasków bólu, a wycie demonów szalejących tuż przed wrotami podsycalo atmosferę skrajnego niepokoju. Wielu chorych szlochało na głos lub kołysało się w przód i w tył, inni rzucali się po posłaniach.

Leesha robiła, co mogła, by utrzymać spokój. Co rozsądniejszym szeptała kojące słowa, a półprzytomnym podawała usypiające wywary, by nie pozrywali szwów lub nie wyrządzili sobie krzywdy w malignie.

– Przecież nadaję się do walki! – naciskał Smitt. Ogromny karczmarz nie zważał na protesty Rojera i włókł go w kierunku wrót.

– Jesteś chory! – wrzasnęła Leesha. – Zabiją cię, ledwie stąd wyjdiesz!

Otworzyła buteleczkę i wylała jej zawartość na szmatkę. Wiedziała, że gdy przyciśnie ją mężczyźnie do twarzy, opary szybko zwalczą jego zapalczywość.

– Moja Stefny jest na zewnątrz! – wykrzyknął Smitt. – Mój syn i moje córki!

Leesha wyciągnęła dłoń ze szmatką, ale Smitt brutalnie ją odepchnął. Dziewczyna straciła równowagę i wpadła na Rojera. Karczmarz tymczasem przypadł do założonej w poprzek wrót zasuw.

– Smitt, stój! – krzyknęła Zielarka. – Wpuścisz je tylko do środka! Wszyscy zginiemy!

Rozgorączkowany mężczyzna nie zważał jednak na ostrzeżenia i złapał za kłodę.

W tej samej chwili Darsy chwyciła go za ramię. Smitt obrócił się na pięcie. Zdażył jeszcze zobaczyć nadlatującą pięść, po czym padł bez przytomności na podłogę.

– Czasem bezpośrednio podejście do problemu działa lepiej niż zioła i igły – mruknęła Darsy, rozmasowując dłoń.

– Teraz już wiem, po co Bruna nosiła laskę – odparła Leesha.

Nachyliły się, podniosły Smitta za ręce i nogi i zaniósły na posłanie. Na zewnątrz wciąż trwała bitwa.

– Wygląda na to, że wszystkie demony z Otchłani próbują się tu dostać – mruknęła Darsy.

Nagle usłyszeli krzyk Wondy, a chwilę później balustrada chóru poszła w drzazgi. Spadające belki zabiły jednego z chorych i poraniły innego. Na środek sali opadł jakiś ciemny kształt. Zawył głośno i rozdarł gardło jednej z kobiet, nim ta zrozumiała, co się dzieje.

Drzewny demon wyprostował się, ogromny i przerażający. Leesha poczuła, że jej serce przestaje bić. Obie z Darsy zamarły, nadal trzymając Smitta. Włócznia Naznaczonego stała przy ścianie, zbyt daleko, by po nią sięgnąć. Zielarka nie sądziła zresztą, by zdołała nią zatrzymać ogromnego otchłańca. Kiedy potwór wrzasnął, prawie ugięły się pod nią kolana.

Lecz wtedy drogę zastąpił mu Rojer. Otchłaniec zasyczał, a chłopak przełknął z trudem ślinę. Instynkt podpowiadał mu, by uciekać, ale miast tego wsunął skrzypki pod brodę, przytknął smyczek do strun i nappełnił Święty Dom ckliwą, żalospną melodią.

Bestia znów wrzasnęła, obnażając kły, ale Minstrel nie przestawał grać. Wtedy przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Po chwili Rojer zaczął się kołysać. Bestia uczyniła to samo.

Wykonał krok w lewo, a ona ruszyła jego śladem.

Zrobił krok w prawo i znów powtórzyła jego ruch.

Chłopak grał, powoli obchodząc demona szerokim łukiem. Oczarowany potwór obracał się razem z nim, aż zwrócił się plecami do przerażonych chorych.

W międzyczasie Leesha położyła Smitta i sięgnęła po broń. Włócznia Naznaczonego wydawała się cierniem przy demonie, którego zasięg ramion przekraczał długość drzewca, ale mimo to ruszyła do przodu, wiedząc, że nie będzie lepszej okazji. Zaciśnęła zęby i rzuciła się do desperackiego ataku, z całej siły wbijając ostrze w kark bestii.

Rozbłysła magia, ramiona Leeshy przeszły mrowienie, ale potem poleciała w tył, odrzucona ciosem potwora. Patrzyła, jak się miota, usiłując wyrwać z ciała rozjarzoną broń. Rojer w ostatniej chwili uskoczył w bok. Otchłaniec bez życia padł na drewniane wrota i wyłamał je swym ciężarem.

Zgromadzone na zewnątrz demony zawyły z radością i rzuciły się do środka, gdzie przywitała je muzyka Minstrela. Miast kojącej, hipnotyzującej melodii wygrywał teraz ostre, zgrzytliwe dźwięki. Otchłance cofnęły się, zakrywając uszy.

– Leesha!

Bocznymi drzwiami do świątyni wpadł Naznaczony, zbryzgany własną krwią i posoką demonów. Rozglądał się z szaleństwem w oczach i dopiero na widok trupa drzewnego demona spojrzął Zielarce w oczy. Jego ulga była wręcz namacalna.

Leesha chciała mu się rzucić w ramiona, ale zignorował ją i popędził ku wyłamanym wrotom. Rojer bronił wejścia w pojedynkę, a jego muzyka

powstrzymywała demony równie skutecznie jak bariera runiczna. Naznaczony odepchnął truchło demona na bok, wyrwał z niego włócznie, rzucił ją Leeshy i wybiegł w mrok.

Zielarka wyjrzała na zewnątrz i jej serce aż ścisnęło się z bólu. Ciała dziesiątek jej dzieci leżały w błocie.

– Darsy! – krzyknęła. Obie wypadły na zewnątrz, by wciągnąć rannych do środka.

Zakrwawiona Wonda leżała na ziemi, z trudem łapiąc oddech. Gdy wraz z Darsy nachyliły się, by ją unieść, dostrzegł je jakiś drzewny demon. Ruszył już do ataku, ale Leesha wyciągnęła fiolkę z kieszeni fartucha i cisnęła nią celnie. Cienkie szkło roztrzaskało się o pysk demona. Napastnik zawył głośno, kiedy rozpuszczalnik zalał mu ślepią, a kobiety pospieszyły z ranną do świątyni.

Ułożywszy ją na podłodze, Leesha wykrzyknęła kilka poleceń do jednej z pomocnic, po czym znowu wybiegła na zewnątrz. Rojer stał w wejściu, zgrzytliwą muzyką chroniąc uwijających się obok ludzi.

* * *

Punkt kulminacyjny starcia dawno już minął i bitwa z wolna traciła na intensywności, dzięki czemu ci wieśniacy, którzy ledwie trzymali się na nogach, mogli dobrnąć do kręgów lub Świętego Domu, by złapać oddech albo napić się wody. Przez godzinę nie pojawił się żaden demon. Potem nadeszła ich cała zgraja, a po jej rozgromieniu znów przez godzinę nic się nie działo.

W pewnym momencie przestał padać deszcz. Mało kto zdołał to zauważyć – wszyscy byli zanadto pochłonięci walką lub znoszeniem

ranych. Drwale uformowali szereg przy wrotach świątyni, a Rojer chodził po rynku i odpędzał demony muzyką, podczas gdy inni zbierali cierpiących towarzyszy.

Nim nad horyzontem zajaśniała łuna brzasku, błoto na rynku zamieniło się w mieszaninę ludzkiej krwi i posoki demonów. Wszędzie zalegały stosy ciał i odrąbanych kończyn. Wielu ludzi podskoczyło z przerażenia, gdy oświetlone promieniami słońca ścierwa zaczęły niespodziewanie płonąć. I tak świt zakończył bitwę, dobijając nieliczne z otchłańców, które wciąż dygotały w konwulsjach.

Naznaczony przyglądał się twarzom ocalałych. Bitwę przeżyła co najwyżej połowa wieśniaków, ale mimo to ze zdumieniem wyczytał w ich obliczach siłę i zdecydowanie. Nie mógł uwierzyć, że byli to ci sami ludzie, którzy ledwie wczoraj okazywali jedynie strach i przygnębienie. Wielu poległo, lecz ci, którzy przeżyli, stali się silniejsi niż kiedykolwiek wcześniej.

– Chwalmy Stwórcę! – zawołał Opiekun Jonas, wychodząc ze świątyni. Kreślił runy w powietrzu, przyglądając się płonącym truchłom demonów. Podszedł do Naznaczonego. – To wszystko dzięki tobie.

Wojownik pokręcił głową.

– Nie. To wy tego dokonaliście. Wy wszyscy.

– To prawda – przytaknął Jonas. – Ale tylko dlatego, że przybyłeś i pokazałeś nam, jak walczyć. Nie zgodzisz się z tym?

Naznaczony spochmurniał.

– Przypisując sobie zasługę za zwycięstwo, umniejszyłbym poświęcenie wszystkich tych, którzy polegli. Zatrzymaj swe przepowiednie dla siebie, Opiekunie. Ci ludzie ich nie potrzebują.

Jonas uklonił się głęboko.

– Jak sobie życzysz – rzekł, ale Naznaczony wyczuł, że to jeszcze nie koniec.

Nowa nazwa

332 – 333 RP

Leesha pomachała do Rojera i Naznaczonego. Gdy zeskakiwali z koni, odstawiła pędzel do miski z farbą i ruszyła im na spotkanie.

– Szybko się uczysz – rzekł mężczyzna, oglądając runy wymalowane na balustradzie ganku. – Ta sieć powstrzyma napór całego zastępu otchłańców.

– Szybko? – odezwał się Rojer, – Na noc, czemu tak jej skąpisz pochwał? Przecież jeszcze miesiąc temu nie potrafiła odróżnić runu wichrowego od ognistego!

– Co racja, to racja. Widziałem Patronów z przeszło dwudziestoletnim doświadczeniem, których dzieła nie były ani w połowie tak dokładne.

– Nauka zawsze przychodziła mi bez trudu, a ponadto mam dobrych nauczycieli – odparła rozpromieniona Leesha. – Szkoda tylko, że nie chciało mi się wcześniej do tego zabrać.

Naznaczony wzruszył ramionami.

– Gdy już znamy przyszłość, każdy z nas chętnie cofnąłby się w czasie, by zmienić to i owo.

– Myślę, że przeżyłbym wówczas swe życie zupełnie inaczej – stwierdził Rojer.

Zielarka roześmiała się i gestem zaprosiła ich do środka.

– Kolacja jest prawie gotowa – powiedziała, idąc w kierunku paleniska.

– Jak przebiegło spotkanie rady wioski?

– To idioci – burknął wojownik.

– Poszło aż tak dobrze?

– Rada zatwierdziła zmianę nazwy wsi na Zakątek Wybawiciela – rzekł Rojer.

– Przecież to tylko nazwa – stwierdziła Leesha, nalewając herbaty.

– Nie o nazwę mi chodzi, ale o myślenie, które się za nią kryje – wytłumaczył Naznaczony. – Powiedziałem wieśniakom wprost, by przestali mnie nazywać Wybawicielem, ale wciąż słyszę, jak szepczą to imię za moimi plecami.

– Lepiej się z tym pogódź – zasugerował Minstrel. – Nie powstrzymasz pędu tej historii. Opowiada ją każdy Minstrel na północ od Krasji.

Naznaczony parsknął.

– Nie mam zamiaru kłamać i udawać, że jestem kimś innym, tylko po to, by żyło mi się wygodniej. Gdybym marzył o prostym, nieskomplikowanym życiu...

Przerwał nagle i utkwiał wzrok w przestrzeni.

– A jak przebiega odbudowa? – zapytała Leesha, by na powrót przyciągnąć jego uwagę.

– Wielu mieszkańców Zakątka stanęło już na nogi dzięki twym lekarstwom – odparł Rojer z uśmiechem. – Mam wrażenie, jakby nowy dom wyrastał niemal każdego dnia. Niebawem będziesz mogła zamieszkać w samej wsi.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ten dom to wszystko, co mi zostało po Brunie. To teraz mój dom.

– To miejsce znajduje się daleko od najsilniejszych runów – ostrzegł ją Naznaczony.

– Rozumiem przyczyny, dla których wytyczyliście nowe ulice i osłoniliście je kamieniami runicznymi, ale tak czy inaczej warto tu mieszkać.

– Czyżby? – Mężczyzna uniósł okoloną runami brew.

– Warto mieszkać w chacie tuż obok siedliska demonów? – zawtórował mu Rojer.

Leesha upiła łyk herbaty.

– Moja mama również nie chce się przeprowadzić. Twierdzi, że teraz, gdy dałeś nam nowe runy, a drwale uganiają się dookoła z toporami i zabijają każdego demona w zasięgu wzroku, szkoda w ogóle fatygi.

Wojownik zmarszczył brwi.

– Może i wygraliśmy tę bitwę, ale historia Wojen z Demonami uczy, że otchłańce nigdy nam tego nie darują. Wrócą ze zdwojoną siłą i chęcą, by Zakątek Drwali był wtedy gotów.

– Zakątek Wybawiciela – poprawił go Rojer i uśmiechnął się na widok jego miny.

– Jeśli zostaniesz, Zakątek będzie zawsze gotów – stwierdziła Leesha, upijając kolejny łyk. Przyglądała się Naznaczonemu uważnie znad brzegów naczynia, czekając na odpowiedź, która nie nadeszła. – A zatem wyjeżdżasz. – Odstawiła kubek na stół. – Kiedy?

– Gdy Zakątek będzie gotów – powtórzył wojownik, nie mając zamiaru dłużej ukrywać prawdy. – Zmarnowałem całe lata, zazdrośnie ukrywając runy, które mogłyby nadać nazwie „Wolne Miasta” prawdziwy sens.

Jestem coś winien każdemu miastu i każdej wiosce w Thesie. Muszę dopilnować, by wszyscy ci ludzie mogli bez lęku oczekiwać nocy.

Leesha pokiwała głową.

– Chcemy ci pomóc – powiedziała.

– Już pomagacie. Zostawiam Zakątek w dobrych rękach.

– Będziesz potrzebował czegoś więcej. Będziesz potrzebował kogoś, kto nauczy inne Zielarki, jak leczyć rany zadane przez otchłańce, jak wyrabiać trucizny i ogniste pociski...

– Mogłabyś to wszystko spisać.

– I wydać mężczyznom sekrety ognia? Za żadne skarby.

– Poza tym nie da się spisać nauki gry na skrzypkach – dodał Rojer.

Naznaczony zawahał się.

– Nie – zdecydował w końcu. – Tylko mnie spowolnicie. Będę wędrował całymi tygodniami przez bezdroża. Nie nadajecie się do tego.

– Nie nadajemy? Rojer, zawrzyj okiennice.

Obaj mężczyźni spojrzeli na dziewczynę z zaciekawieniem.

– Zrób, co mówię – powtórzyła i chłopak powstał, by wypełnić polecenie. W izbie zapadły ciemności. Leesha potrząsnęła fiolką z tajemniczym środkiem, który zaczął emanować blaskiem.

– Unieście klapę w podłodze – przykazała.

Naznaczony otworzył zejście do piwnicy, gdzie Zielarka trzymała ogień demoniczny. Ze środka buchnął ostry zapach specyfików.

Leesha poprowadziła ich w dół, unosząc wysoko fosforyzującą fiolkę. Podeszła do niewielkich półeczek na ścianie i sprawiła, że stojące tam szklane słoje również zaświeciły. Nim to się jednak stało, oczy Naznaczonego, który doskonale widział nawet w całkowitych ciemnościach, były już szeroko rozwarte.

Środek piwnicy zajmowały ogromne stoły. Leżało na nich pół tuzina otchłańców w różnych stadiach sekcji.

– Na Stwórcę... – wybełkotał Minstrel, zakrył usta i umknął na górę.

– Cóż, może Rojer w istocie się nie nadaje. – Leesha pozwoliła sobie na drwiący uśmiezek. – Wiedziałeś, że drzewne demony mają dwa żołądki? – zapytała, odwracając się do wojownika. – Jeden nad drugim, ułożone na podobieństwo klepsydry.

Ujęła instrument chirurgiczny i odchyłała kolejne warstwy ciała martwego otchłańca.

– Ich serca znajdują się nieco bardziej w dół i na prawo w stosunku do serca ludzi – dodała. – Między trzecim i czwartym żebrem istnieje luka. To coś, co powinien wiedzieć każdy człowiek, który chce uderzyć tak, by zabić.

Naznaczony przyglądał się trupowi, nie kryjąc zaskoczenia. Gdy ponownie spojrzał na Leeszę, odniósł wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy w życiu.

– Skąd je masz?

– Szepnęłam słówko drwalom, których wysłałeś na obchód po tej stronie Zakątka. Z wielką ochotą dostarczyli mi kilka okazów. Och, jest jeszcze coś. Te demony nie mają organów płciowych. Wszystkie są bezpłciowe.

– Czy to możliwe?

– Bezpłciowość nie jest niczym dziwnym wśród owadów. Niektóre gatunki dzielą się na bezpłciowe kasty, których zadaniem jest praca i obrona, oraz kasty płciowe, które sprawują władzę nad rojem.

– Nad rojem? Masz na myśli Otchłań?

Leesha wzruszyła ramionami, a Naznaczony nagle zmarszczył brwi.

– Na ścianach grobowców w Słońcu Anocha widziałem malowidła przedstawiające Pierwszą Wojnę z Demonami. Znajdowały się na nich gatunki otchłańców, których nigdy nie widziałem.

– Nic w tym dziwnego. Tak niewiele o nich wiemy.

Zielarka ujęła dłonie mężczyzny.

– Przez całe życie towarzyszy mi przekonanie, że powinnam robić coś ważniejszego od warzenia leków na przeziębienie czy odbierania porodów. Oto moja szansa, by uczynić coś dla ludzkości. Uważasz, że nadciąga kolejna wojna? Rojer i ja pomożemy ci ją wygrać.

Naznaczony przytaknął.

– Masz rację. Zakątek przetrwał tę noc w tym samym stopniu dzięki mnie, co dzięki tobie i Rojerowi. Byłbym głupcem, gdybym odrzucił teraz twą pomoc.

Leesha wsunęła rękę w głąb kaptura wojownika. Jej dłoń wydała mu się chłodna i na chwilę przechylił głowę, by pełniej odczuć jej dotyk.

– Ta chatka wystarczy dla nas dwojga – szepnęła.

Otworzył szerzej oczy i zeszywniał.

– Dlaczego przeraża cię to bardziej od walki z demonami? Czyżby była aż tak odpychająca?

– Oczywiście, że nie!

– A zatem o co chodzi? Przecież nie powstrzymam cię od walki.

Naznaczony milczał przez chwilę.

– Wkrótce byłoby nas troje – powiedział w końcu, odsuwając głowę.

– Czy to aż takie straszne?

Odetchnął głęboko i odszedł do innego stołu, unikając jej wzroku.

– Tego poranka, gdy walczyłem wręcz z demonem... – nagle urwał.

– Pamiętam – ponagliła go Leesha, gdy nie odzywał się przez dłuższą

chwile.

– ...ten demon usiłował uciec do Otchłani.

– To też pamiętam. Chciał cię zabrać ze sobą. Zobaczyłam, że oboje stajecie się przejrzysti i znikacie pod ziemią. Byłam przerażona.

– Na pewno nie bardziej ode mnie. Ujrzałem, jak otwiera się przede mną droga do Otchłani. Usłyszałem jej zew.

– A co to ma wspólnego z nami?

– To nie demon nas wciągał, to ja się zapadałem. W końcu przejąłem kontrolę i wywlokłem demona na powierzchnię, ale nawet teraz czuję zew Otchłani. Gdybym na to pozwolił, pograżyłbym się w piekielnych czeluściach wraz z innymi otchłańcami.

– Runy... – zaczęła Leesha.

– To nie runy, tu chodzi o mnie. Przez wszystkie te lata wchłonałem zbyt wiele ich magii. Już nie jestem człowiekiem. Któż może wiedzieć co za potwór wyrośnie z mojego nasienia?

Dziewczyna podeszła do niego i objęła dłońmi jego twarz, zupełnie jak tego poranka, gdy się kochali.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała, powstrzymując łzy. – Bez względu na to, co zrobiła ci ta magia, nie zabiła w tobie dobra. Nic innego się nie liczy.

Już chciała go pocałować, ale on się cofnął.

– Dla mnie to się liczy. Dopóki nie zrozumiem, kim jestem, nie mogę być ani z tobą, ani z kimkolwiek innym.

– A zatem odkryję, kim jesteś. Przysięgam.

– Nie, Leesha. Nie możesz...

– Nie mów mi, co mogę, a czego nie! Wystarczająco często słyszałam podobne uwagi z ust innych osób.

Uniósł przepaszająco dłoń.

– Wybacz.

Dziewczyna parsknęła i chwyciła go za rękę.

– Nie chcę, żebyś mnie przepaszał. To tylko dolegliwość, którą muszę zdiagnozować i wyleczyć. Dolegliwość taka sama jak wszystkie inne.

– Nie jestem chory.

– Wiem o tym. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – To chyba ty tego nie wiesz.

* * *

Daleko na krasjańskiej pustyni coś zamajaczyło na horyzoncie, a potem zza wydm wyłonił się długi szereg ludzi. Były ich tysiące, wszyscy odziani w luźne czarne szaty, z twarzami przesłoniętymi płótnem dla ochrony przed kłującym piaskiem. Straż przednia składała się z dwóch grup jeźdźców, jednej dosiadającej lekkich koni, a drugiej potężnych, garbatych zwierząt, doskonale przystosowanych do wędrówek przez pustkowia. Za nimi zmierzały kolumny piechurów, a jeszcze dalej ciągnęły się na pozór niemające końca tabory. Każdy z wojowników dzierżył włócznię, na której wyryto skomplikowany wzór runiczny.

Przewodził im odziany w biel mężczyzna, dosiadający smukłego rumaka tej samej barwy. Uniósł dłoń i maszerująca za nim armia stanęła. Wojownicy w milczeniu przyglądali się ruinom Słońca Anocha.

W przeciwieństwie do swych podkomendnych, których broń wykonano z drewna i żelaza, odziany w biel przywódca dzierżył włócznię z jasnego, nieznanego metalu. Zwał się Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir, lecz jego ludzie od lat nie używali już tego imienia.

Zwali go Shar'Dama Ka. Wybawicielem.

KONIEC KSIĘGI DRUGIEJ